

MISTYKA KOBIECOŚCI

BETTY FRIEDAN

PRZEŁOŻYŁA AGNIESZKA GRZYBEK

WYDAWNICTWO CZARNA OWCA
WARSZAWA 2012

Tytuł oryginału
The Feminine Mystique

Redakcja
Monika Baranowska

Projekt okładki
Izabela Rogowicz

Skład
Izabela Rogowicz

Korekta
Małgorzata Denys

Copyright © 1997, 1991, 1974, 1963 by Betty Friedan

W.W Norton & Company, Inc.
500 Fifth Avenue, New York, N. Y. 10110

Copyright for the Polish edition © by Wydawnictwo Czarna Owca, Warszawa 2012



An America 21 Title: This book published with support from the U.S. Department of State, to spread the gift of reading worldwide

Wydanie I

Druk i oprawa: Read Me
Wydrukowano na papierze Ecco Book Lux 80 g/m², vol. 1,8

dystrybuowanym przez antalis® | map

ISBN 978-83-7554-611-8

Wydawnictwo

**CZARNA
OWCA**

ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa
e-mail: wydawnictwo@czarnaowca.pl
Dział handlowy: tel. (22) 616 29 36; faks (22) 433 51 51
Zapraszamy do naszego sklepu internetowego:
www.czarnaowca.pl

SPIS TREŚCI

<u>Wstęp</u>	8
Metamorfoza. Dwie generacje później	25
<u>Wstęp do dziesiątego wydania</u>	50
Wstęp i podziękowania	56
I. <u>Problem, który nie ma nazwy</u>	60
II. Bohaterka: szczęśliwa pani domu	80
III. <u>Kryzys kobiecej tożsamości</u>	119
IV. Pasjonująca podróż	131
V. Seksualny solipsyzm Zygmunta Freuda	159
VI. Funkcjonalne zamrożenie, kobiecy protest i Margaret Mead	186
VII. Orędownicy edukacji sprofilowanej pod kątem płci	215
VIII. Błędny wybór	256
IX. Sprzedaż sprofilowana pod kątem płci	284
X. Bycie panią domu staje się zajęciem pełnoetatowym	314
XI. Poszukiwaczki przygód seksualnych	343
XII. <u>Postępująca dehumanizacja: wygodny obóz koncentracyjny</u>	374
XIII. <u>Utracone „Ja”</u>	407
XIV. <u>Nowy życiowy plan dla kobiet</u>	441
Epilog	490

WYKAZ

WYKAZ

Wydawnictwo Książki

Wydawnictwo Książki

Wydawnictwo Książki

Wydawnictwo Książki

Wydawnictwo Książki

Wydawnictwo Książki

Wydawnictwo Książki

Wydawnictwo Książki

Wydawnictwo Książki

Wydawnictwo Książki

Wydawnictwo Książki

Wydawnictwo Książki

Wydawnictwo Książki

Wydawnictwo Książki

Wydawnictwo Książki

Wydawnictwo Książki

Wydawnictwo Książki

Wydawnictwo Książki

Wydawnictwo Książki

Wydawnictwo Książki

Wydawnictwo Książki

Wydawnictwo Książki

Wydawnictwo Książki

Wszystkim nowym kobietom
i nowym mężczyznom

wstęp

Mistyka po amerykańsku, mistyka po polsku

Betty Friedan nie była pierwsza. Przed nią wielokrotnie dowodzono, że równość płci to istotna wartość w demokratycznym społeczeństwie. Że kobieta, by osiągnąć pełnię człowieczeństwa, potrzebuje czegoś więcej niż życia domowego. Albo z grubej politycznej rury: że masowe udomowienie wykształconych kobiet to absurdalne marnotrawstwo ludzkiego potencjału, na które nowoczesne społeczeństwo nie może sobie pozwolić. A jednak wydana w 1963 roku *Mistyka kobiecości* okazała się przełomem. Dzieło Friedan to nie tylko klasyka myśli feministycznej i amerykańskiej humanistyki – to jedna z tych książek, o których się mówi, że zmieniły świat, bo wpłynęły na sposób, w jaki o świecie się myśli i mówi. W większym stopniu niż jakakolwiek konferencja, demonstracja, pozew sądowy, bojkot czy wiec, *Mistyka* stała się katalizatorem społecznej zmiany, która miała przeorać Stany Zjednoczone i znaczną część świata w ciągu następnych dwudziestu lat – zmiany w postrzeganiu roli kobiet we współczesnym świecie, w naszym statusie prawnym i ekonomicznym, a także w skali naszego uczestnictwa w życiu publicznym.

Ta zmiana jest nadal w toku, a w Polsce odbywa się niezwykle burzliwie. Na wielu poziomach – w zbiorowej wyobraźni, w obyczajowości, w sferze ekonomicznej – toczy się gorący spór o to, jak ma wyglądać polski wzorzec relacji płci. Z jednej strony są Manify, Kongres Kobiet, kolejne feministyczne publikacje, równościowa argumentacja w znacznej części mediów, a nawet w ustach polityków; z drugiej – lamente, że to wszystko uzurpacja, katastrofa i „cywilizacja śmierci”. Tłem tych zmagani jest konserwatywna rzeczywistość: jedna z najbardziej restrykcyjnych ustaw antyaborcyjnych w Europie, ciche przyzwolenie na dyskryminację kobiet na rynku pracy, nieustanna popularność seksistowskich dowcipów. W debacie publicznej

przeszliśmy jednak długą drogę: od rytualnego rechotu na sam dźwięk słowa „równość” (tak było jeszcze pod koniec lat dziewięćdziesiątych) do sytuacji, w której o tych kwestiach rozmawia się z namysłem i powagą – nie tylko na Kongresie Kobiet, ale na uczelniach, w szkołach i w wielu polskich domach. Czy książka, która pół wieku temu wywołała burzę w Stanach Zjednoczonych, może nam się do czegoś przydać w dzisiejszej Polsce?

Nadwiślańskie rozmowy o płci są specyficzne, bo uwikłane w narodową historię, narodowe kompleksy i obsesje. Trudno wyjaśnić Amerykance czy Francuzce, czym w polskiej kulturze jest mityczna postać Matki Polki, jak ma się ona do Matki Boskiej i dlaczego jest przedmiotem kultu z jednej, a kpiny z drugiej strony. Trudno przekazać cudzoziemcom, jak działa ta szczególna mieszanka zaradności i cierpiętnictwa, stanowiąca przepis na kobiecość po polsku. Mirosława Marody i Anna Giza Poleszczuk określiły ten odziedziczony po PRL-u model osobowy mianem „dzielnej ofiary”, Sławomira Walczewska sugestywnie pisała o „matce gastronomicznej”¹. Te postacie mają niewiele wspólnego z opisanymi przez Friedan paniami domu z amerykańskich przedmieść. Polskie kobiety – te mityczne i te realne – są jakby twardsze i dzielniejsze od Amerykanek. Znacznie trudniej im się żyje, a ich mężczyźni gorzej sobie radzą w życiu i często są w ich oczach raczej dużymi dziećmi niż władczymi ojcami rodzin.

Kobiecość po polsku jest szczególna, bo wschodnioeuropejska, naznaczona przez doświadczenie polskiej wersji komunizmu i siłę polskiego katolicyzmu. Druga fala feminizmu w dużej mierze nas przecież ominęła. Gdy w Stanach, Francji czy Niemczech zbuntowane młode kobiety malowały transparenty z hasłami „Siostrzeństwo to potęga!” i „Prywatne jest polityczne”, u nas skandowano na wiecach: „Wiesław! Wiesław!”. Rok 1968 zamiast rewolty obyczajowej przyniósł antysemitki czystki. Wkrótce po traumie Marca inny Wiesław śpiewał w telewizji „Bo ja cały jestem mamy”, czule uśmiechając się do grupki adorujących go kobiet. Słuchając tej uroczej piosenki, można odnieść wrażenie, że relacje męsko-damskie i rodzinne były w Polsce tamtych lat sielanką – feminizm byłby w tych warunkach czystą

¹ Mirosława Marody i Anna Giza Poleszczuk, *Być kobietą, być mężczyzną – czyli o przemianach tożsamości związanej z płcią we współczesnej Polsce*, [w:] *Między rynkiem a etatem. Społeczne negocjowanie polskiej rzeczywistości*, red. M. Marody, Scholar, Warszawa, 2000, s. 44–74; Sławomira Walczewska, *Damy rycerze i feministki*, eFKA, Kraków, 1999, s. 164–169; pierwodruk: *Pełnym Głosem* (3) 1995, s. 54–56.

aberracją. Ale tu chodzi też o coś zgoła innego niż kobiecość i męskość. „Nie należę do żadnej organizacji ani do kółka” – śpiewał Gołas i spieszył z wyjaśnieniem, że mama mu na to nie pozwala. Duszny koszmar polityki odreagowywano, żartobliwie idealizując prywatność. Tak było jeszcze w latach osiemdziesiątych, gdy dorastałam, chodząc na manifestacje przeciw komunie i kochając się na zabój w pewnym młodym opozycjonście. Gdyby ktoś mi wtedy powiedział, że za kilkanaście lat będę organizować feministyczne manifestacje, uznałabym go za idiotę. Na polityczną analizę prywatności, na poważną refleksję nad sytuacją polskich kobiet i mizoginią obecną w naszej kulturze trzeba było poczekać do demokratycznego przełomu – a potem jeszcze dobrych kilka lat.

Wygląda więc na to, że opowieść o amerykańskich paniach domu znudzonych pustką wygodnej egzystencji ma się nijak do polskich doświadczeń. A może jednak jakoś się ma? Zanim się nad tym zastanowimy, odnotujmy po prostu, że w pewnym stopniu jesteśmy spadkobierczyniami Betty Friedan i „przebudzenia”, jakie spowodowała jej książka. Chcąc nie chcąc, czerpiemy z tej historii garściami. Czerpiemy, walcząc o parytety, o równe płace, o prawa reprodukcyjne. Czerpiemy, mówiąc o godności, autonomii i podmiotowości kobiet, o dyskryminacji, molestowaniu, o seksizmie w podręcznikach szkolnych czy reklamach. Czerpiemy, bo nasza historia, choć specyficzna, jest przecież częścią światowej historii kobiet. Dlatego warto się w niej zanurzyć.

W latach pięćdziesiątych, gdy Friedan zbierała materiały do swojej książki, w Stanach Zjednoczonych nie istniały żadne regulacje prawne służące przeciwdziałaniu dyskryminacji kobiet. Jedynym wyjątkiem była wywalczona przez sufrażystki XIX poprawka do Konstytucji, gwarantująca kobietom prawa wyborcze. Mężczyźni stanowili 97% prawników, 95% lekarzy, 78% wykładowców na wyższych uczelniach, 97% członków Kongresu, senatorów, ambasadorów². Powszechnie uważano ten stan rzeczy za oczywistość. Wszak wiadomo, że kobiety pracują wyłącznie z przymusu ekonomicznego, a młode dziewczyny z lepiej sytuowanych rodzin idą na studia wyłącznie po to, by znaleźć dobrze rokujących kandydatów na mężów. Przyda im się wiedza, by potem bawić tych mężów odpowiednio wyrefinowaną rozmową. Oczytana mama lepiej wychowa gromadkę dzieci.

² Za: Louis Menand, *Why the Women's Movement Needed 'The Feminine Mystique'*, „New Yorker”, 24.01.2011.

Waga „kwestii kobiecej” docierała do świadomości polityków powoli i opornie, w atmosferze szyderstw i kpin dobrze znanej nam z debat o równości płci, które co jakiś czas odbywają się w polskim Sejmie. Co ciekawe, najlepiej przebijały się argumenty o „zmarowanym potencjale”, który mógłby się przydać w zimnowojennej rywalizacji ze Związkiem Radzieckim, nie zaś te dotyczące sprawiedliwości czy prawa kobiet do samorealizacji. Nadal jednak dominowało przekonanie, że do pokonania komunizmu najlepiej nadaje się tradycyjna amerykańska rodzina. Towarzyszyła temu dziwaczna ideologia o roli płci w misji cywilizacyjnej Ameryki. Otóż kluczem do potęgi politycznej Stanów Zjednoczonych miała być prężna amerykańska męskość, niezłomny indywidualizm, przedsiębiorczość i umiłowanie wolności. Rzecz w tym, że ta męskość potrzebowała kobiecego wsparcia. „Zapewne wiele z was przejdzie przez życie u boku jednego z owych stworzeń, które nazywamy Człowiekiem Zachodu” – wieszczył w 1955 roku gubernator Adlai Stevenson, ówczesny kandydat na prezydenta. Kierował te słowa do kobiet, które właśnie ukończyły prestiżową uczelnię Smith College (kilka lat wcześniej jej dyplom zdobyła Bettye Naomi Goldstein, czyli późniejsza Betty Friedan). Ich życiowe zadanie, tłumaczył, nie polegało na tym, by coś ze swoim świetnym wykształceniem dalej robić, lecz na tym, by „sprawić, że ten mężczyzna pozostanie Człowiekiem Zachodu, że będzie trzymał się obranego celu, zachowa swoją integralność”³. Dzięki wysiłkom wykształconych w elitarnej uczelni wzorowych pań domu Ameryka pokona totalitaryzm i uratuje Zachód przed katastrofą.

Coś się jednak zmieniało. Gdy w 1963 roku ukazała się *Mistyka*, od dwóch lat działała Prezydencka Komisja ds. Statusu Kobiet, powołana przez Johna Kennedy’ego dzięki naciskom wpływowych kobiet, m.in. Eleonory Roosevelt, która tym ciałem kierowała. Przy Departamencie Pracy działało też Biuro ds. Kobiet. Rok przed *Mistyką* ukazał się *Złoty Notes* – powieść angielskiej pisarki Doris Lessing, późniejszej noblistki, książka, która dała wyraz aspiracjom, lękom i frustracjom milionów kobiet, a zdaniem wielu utorowała drogę drugiej fali feminizmu. *Druga płęć* Simone de Beauvoir ukazała się w Stanach w 1953 roku. Friedan знаła tę książkę doskonale, ro-

³ Adlai Stevenson, ‘A Purpose for Modern Woman’, *Commencement Address, Smith College, 1955*, „Women’s Home Companion” (wrzesień, 1955), s. 30–31. Tekst ten ma status nieomal kultowy jako przykład konserwatywnej retoryki o roli kobiet, a jego obszerne fragmenty dostępne są w sieci.

biła szczegółowe notatki, a jej zainteresowanie wzbudził zwłaszcza egzystencjalizm, który uważa czytelniczka z łatwością dostrzeże także na kartach *Mistyki*. Nie jest zatem do końca prawdą, że książka Friedan pojawiła się „jak grom z jasnego nieba”; jednym z późniejszych zarzutów wobec *Mistyki* był ten, że w niewystarczającym stopniu oddała hołd swoim prekursorom, zwłaszcza Simone de Beauvoir. Na początku lat sześćdziesiątych „kwestia kobieca” przebijała się już do zbiorowej świadomości. Rzecz jednak w tym, że nikt, kto miał realną władzę, nie traktował jej serio. Historyczne znaczenie dzieła Friedan polega więc na tym, że uczyniła z niej kwestię palącą, problem, o którym się mówi, a wkrótce potem – problem polityczny, którego załatwienie wymaga istotnych zmian w prawie i praktyce społecznej. W Stanach czytano i podziwiano *Drugą Płeć*, jednak dopiero *Mistyka* trafiła pod amerykańskie „strzechy”, czyli na przedmieścia, czyniąc z praw kobiet przedmiot zainteresowania mediów.

Wydawnictwo Norton wyposażyło *Mistykę* w obwolutę w barwie wozu strażackiego. I rzeczywiście zaczął się pożar. Pierwsze wydanie rozeszło się w 1,4 mln egzemplarzy, a książka przez sześć tygodni utrzymywała się na liście bestsellerów *Times’a*. W 2006 roku, gdy autorka zmarła w wieku 85 lat, szacowano, że łączny nakład *Mistyki* dobił do trzech milionów. Skąd ten gigantyczny sukces? Moim zdaniem stąd, że Friedan pisała prostym, osobistym i emocjonalnym językiem, który trafiał – a sądząc po wznowieniach i licznych przekładach nadal trafia – do kobiet. Pisała jako jedna z nich – sfrustrowana pani domu, która zrezygnowała z kariery zawodowej, wierząc, że tylko tak spełni się jako kobieta. „Ja także uległam mistyce kobiecości”, napisze kilka lat później, wspominając ten czas. „Koniecznie chciałam odnaleźć owo kobiece spełnienie, które jakoś umknęło mojej matce, i najpierw zrezygnowałam ze stypendium na badania w dziedzinie psychologii, a potem nawet z pracy dziennikarskiej. Oddałam się egzystencji pani domu z przedmieść, która w tamtych czasach stanowiła przedmiot powszechnego pożądania”⁴.

Książka wyrosła z tych właśnie osobistych doświadczeń, przede wszystkim zaś była produktem ubocznym artykułu, który nigdy nie powstał. W 1957 roku Friedan poproszono o przeprowadzenie ankiety wśród swoich rówieśnic, absolwentek Smith College, w piętnastą rocznicę uzyskania

⁴ Betty Friedan, *‘It Changed My Life’: Writings on the Women’s Movement*, W.W. Norton & Co., New York, 1985, s. 6–7.

przez nie dyplomu. Friedan miała się dowiedzieć, jak potoczyły się ich dalsze losy i jak oceniały swoje życie. Odpowiedzi nie nadawały się na lekki materiał do prasy kobiecej. Respondentki – przedstawicielki amerykańskiej elity – czuły się zagubione, niespełnione, a zarazem winne własnemu niespełnieniu. To odkrycie wstrząsnęło Friedan. Zaczęła szukać przyczyn. Licząca ponad 500 stron *Mistyka kobiecości* – książka pełna odniesień do psychologii, antropologii historii – jest efektem tych poszukiwań. Mimo naukowej aparatury – odwołań do Bruno Bettelheima, Margaret Mead, Roberta Masłowa, Erika Eriksona i licznych mocno już dziś przestarzałych badań nad ludzką psychiką – *Mistyka* pozostaje przede wszystkim książką opartą na kobiecym doświadczeniu, kobiecych wątpliwościach. Książką osobistą. Na tym polega jej siła.

Friedan nie miała ambicji filozoficznych. Nie pisała o historii patriarchy ani o kondycji kobiety jako takiej. Jeden rozdział poświęciła sufragistkom, ale zasadniczo trzymała się realiów społecznych, tworząc narrację zrozumiałą tu i teraz, dotyczącą sytuacji milionów amerykańskich kobiet. Była to opowieść szokująco odmienna od tej oficjalnej, a przy tym wiarygodna, pełna konkretów, empatyczna. Jest w tej książce wrażliwość na los kobiet udomowionych, zrozumienie dla ich powszechnie lekceważonych bolączek. Friedan zapewnia swoje czytelniczki, że ich doświadczenie się liczy i ma sens. Nie domaga się od nich, by „wzięły się w garść” i zabrały do roboty. Nie naśmiewa z tego, że czują się wiecznie zmęczone „nic” nie robiąc. Nie gani za to, że na własne życzenie utknęły w ślepych zaułku. Przeciwnie, z szacunkiem i uwagą się po tym zaułku rozgląda, zastanawiając się, kto, kiedy i jak zagonił tam wykształcone kobiety, wmawiając im, że idealnie utrzymany domek z ogródkiem to szczyt ich aspiracji.

Oprócz empatii i zanurzenia w codzienności istotnym źródłem sukcesu tej książki jest umiejętne odwoływanie się do amerykańskiego patriotyzmu. Friedan pokazuje, że oszustwem jest kazać kobietom „wybierać” między domem a karierą, sugerując przy tym, że to drugie unieszczeniwi je, pozbawiając kobiecości. I wciąż powtarza, że takie oszustwo nie przystoi Ameryce. Nasz kraj stać na coś więcej – Ameryka obiecała przecież wszystkim prawo do poszukiwania szczęścia, do wolności i samorealizacji. Nasz kraj zasługuje na coś więcej, dodaje – udomowienie kobiet to zaprzeczenie ideałom wolności i demokracji, to cywilizacyjna katastrofa. W podobnym tonie – odwołując się do wielkości Ameryki, przywołując obietnice zawarte

w Konstytucji i Deklaracji Niepodległości – upominał Amerykę Martin Luther King, wygłaszając na stopniach pomnika prezydenta Lincolna słynne przemówienie pt.: „Mam marzenie” w sierpniu 1963 roku.

Trzymając się realiów kobiecego życia, Friedan rozmontowuje abstrakcyjną ideę kobiecości jako takiej. Dowodzi, że owa kobiecość to mit i mrzonka, a pogoń za nią jest dla kobiet niszcząca. Nie istnieje nic takiego jak kobieca natura – niezmienny w czasie, uniwersalny trzon osobowości, który sprawia, że czujemy się spełnione wyłącznie w roli opiekunek. Istnieje natomiast potężna kulturowa maszyna, która ową „naturę” sztucznie produkuje i wciska kobietom jako przeznaczenie. Rzesze ekspertów od kobiecości pouczają nas, jak to przeznaczenie realizować, a jeśli temu zadaniu nie podołamy lub jeśli je odrzucimy, wybierając inną drogę, nazywają nas neurotyczkami, wmawiają „zazdrość o penisa”, każą się leczyć.

Teza o społecznym konstruowaniu ról płci, o kulturowym pochodzeniu tego, co powszechnie uważa się za naturę, jest dla myśli feministycznej centralna. Friedan udało się tę myśl wypowiedzieć w sposób niesłychanie sugestywny. Miał rację konserwatywny magazyn „Human Events”, uznając *Mistyki* za jedną z dziesięciu najbardziej „szkodliwych” książek dziewiętnastego i dwudziestego wieku. Miał rację, bo z punktu widzenia konserwatystów trudno o większą szkodę wyrządzoną patriarchalnemu społeczeństwu niż rozmontowanie potężnej ideologicznej broni, jaką jest idea „prawdziwej kobiecej natury”. Friedan uhistoryczniła to, co z perspektywy domku z ogródkiem wydawało się nieuchronne i odwieczne; jej książka pokazuje, że ówczesne udomowienie żeńskiej połowy klasy średniej, traktowane jako przejaw kobiecej natury, było stosunkowo niedawnym zjawiskiem. Kobiety miały w Stanach więcej autonomii, większy dostęp do rynku pracy i większe wsparcie dla swoich aspiracji ze strony mediów w latach czterdziestych, a nawet dwudziestych, niż pod koniec lat pięćdziesiątych. W czasie II wojny światowej praca kobiet była zjawiskiem masowym, po wojnie zmuszono kobiety, aby oddały swoje miejsca pracy wracającym z frontu mężczyznom. I tak już zostało. Utknęły w domach, otoczone coraz liczniejszym potomstwem. Rodziły pokolenie nazywane potem baby boomem i trzeba przyznać, że robiły to z wielkim zapałem. Wśród kobiet wychodzących za mąż w 1963 roku niemal połowę stanowiły nastolatki; między 1940 a 1960 rokiem liczba tych, które rodziły czworo lub więcej dzieci, potroiła się⁵.

⁵ Za: Menand, *Why the Women's Movement Needed 'The Feminine Mystique'*, dz. cyt.

Ameryka była z nich dumna. Mówiło się o szczególnej roli amerykańskiej pani domu, o jej osobistym szczęściu i historycznej misji. Tymczasem Friedan podsunęła tym rzekomo spełnionym kobietom lustro, w którym po raz pierwszy zobaczyły ogrom własnej frustracji, poczucie pustki, zagubienia, bezsensu i wstydu, że tak właśnie się czują. Dotarło do nich, że nie są same. Że jednak nie zwariowały, bo ich desperacja to doświadczenie milionów innych kobiet. W listach do autorki – a dostała ich całe stopy – pisały z egzaltacją, że ta książka zmieniła ich życie. Jedna czuła się jak „napełniony helem i wypuszczony na wolność balon”; inna miała wrażenie, że w jej umyśle „na przemian gasną i zapalają się żarówki”.

Oszałamiający sukces *Mistyki* był także początkiem wielkiej życiowej zmiany dla samej Friedan. Z dnia na dzień stała się sławna, z domu na przedmieściach ruszyła w Amerykę promować swoją książkę, udzielała wywiadów, zaczęła regularnie pojawiać się w telewizji. Była w tym świetna: mówiła ze swadą, nie dawała się zbić z tropu, potrafiła grać ze stereotypem. W wywiadzie, którego udzieliła magazynowi *Life* wkrótce po ukazaniu się *Mistyki* (i który potem opublikowano w formie prześmiewczego „portretu” Friedan jako wścieklej wojowniczkii), oznajmiła z typową dla siebie zadziornością, że wprost uwielbia rewolucję, podoba jej się nawet Joanna d'Arc i uważa, że w Stanach jest zdecydowanie za mało rewolucjonistek. Zapewne antycypując skojarzenia z Marksem, a także stereotyp feministki jako kobiety samotnej, prowokowała: „Niektórzy sądzą, że mój przekaz brzmi: Kobiety wszystkich krajów łączcie się – nie macie do stracenia nic oprócz swoich mężczyzn. Ale to nieprawda. Nie macie nic do stracenia oprócz odkurzaczy”⁶.

W 1966 roku powstała Krajowa Organizacja Kobiet (National Organization for Women – NOW), a Friedan była jedną z jej założycielek i została pierwszą przewodniczącą. W 1970 roku współorganizowała legendarną demonstrację Women's Strike for Equality w Nowym Jorku; rok później wraz z Bellą Abzug i Glorią Steinem stworzyła National Women's Political Caucus, organizację, której celem jest promowanie kobiet w polityce. NOW to serce liberalnego feminizmu w Stanach. Organizacja ta liczy dziś ponad pół miliona członków, a jej celem jest wyrugowanie dyskryminacji kobiet ze wszystkich sfer życia. Za przewodnictwa Friedan (1966–70) NOW doma-

⁶ *Angry Battler for Her Sex. Betty Friedan Attacks The Feminine Mystique*, „Life” 1.11.1963, s. 88.

gała się realizacji obietnic paragrafu VII Ustawy o Prawach Obywatelskich (prawa zakazującego dyskryminacji w zatrudnianiu); zmusiła linie lotnicze do rezygnacji z dyskryminujących reguł zatrudnienia stewardes (zwalniano je, gdy kończyły 35 lat lub wychodziły za mąż); doprowadziła do zakazu publikowania ogłoszeń o pracy, w których z góry określano płeć kandydata; domagała się tworzenia sieci żłobków i przedszkoli finansowanych z funduszy federalnych (ten postulat do dziś pozostał aktualny).

Osobiście autorka *Mistyki* nie była, mówiąc delikatnie, osobą łatwą we współżyciu. W opisach jej stosunków z rodziną i jej stylu przywództwa często powraca słowo *abrasive*, oznaczające szorstkość, a może raczej ścierność, skłonność do wchodzenia w starcia z innymi. Była władcza i apodyktyczna, nieskłonna do kompromisów. Jej małżeństwo (zakończone rozwodem w 1969 roku) było burzliwe. NOW trzymała twardą ręką, niechętnie dopuszczając do głosu poglądy inne od własnych. Przede wszystkim dbała o to, by organizacja, którą zakładała, trzymała się tematyki związanej z miejscem kobiet na rynku pracy (prawo do urlopów macierzyńskich, dostęp do szkoleń i awansu, równość płac itp.), unikając kwestii związanych z cielesnością i seksem. Długo nie chciała słyszeć o przemocy seksualnej czy molestowaniu jako problemach ważnych dla kobiet, politycznych i wymagających politycznej strategii. W jednej kwestii była jednak niezmiennie radykalna: pilnowała, by NOW opowiadała się za pełną legalizacją przerywania ciąży. W 1969 roku znalazła się też wśród założycieli Krajowej Ligi na Rzecz Prawa do Aborcji [National Abortion Rights Action League]. Popierając prawo kobiet do aborcji, Friedan nie kierowała się jednak refleksją dotyczącą seksualności czy cielesności. Jej feminizm to feminizm liberalny, przesiąknięty wiarą w wolność i autonomię jednostki. Możliwość przerywania niechcianej ciąży Friedan uważała po prostu za warunek konieczny kobiecej podmiotowości. Chodziło o prawo do wyboru, prawo do zachowania kontroli nad własnym życiem.

Jak każda książka przełomowa, *Mistyka kobiecości* budzi z perspektywy czasu zastrzeżenia. Zarzutów jest wiele, a dyskusja na temat książki, a także roli samej Friedan w historii amerykańskiego feminizmu pozostaje żywa do dziś. Najistotniejszy zarzut dotyczy uproszczeń, pominięć i uogólnień, których autorka dopuściła się w *Mistyce* (a potem, jako liderka – w ruchu kobiecym). Najprościej rzecz ujmując, chodzi o to, że jest to książka o białych paniach domu z klasy średniej pisana tak, jakby inne kobiety nie ist-

niały. Tymczasem z perspektywy wielu amerykańskich kobiet – kto wie, czy nie większości – problem zamknięcia w sferze prywatnej był bolączką uprzywilejowanej elity. Już na początku lat pięćdziesiątych kobiety stanowiły przecież 29% siły roboczej, zatrudnionych ich było ok. 18 milionów⁷. To o ponad połowę mniej niż trzy dekady później, ale przecież znacznie więcej, niż można wywnioskować z *Mistyki*. Na obronę Friedan przyznajmy jednak, że ta praca nie była równoznaczna z karierą, bo kobiety znajdowały zatrudnienie niemal wyłącznie na podrzędnych stanowiskach i w zawodach tradycyjnie uważanych za kobiece (jako sekretarki, kelnerki, pielęgniarki, nauczycielki). W tak zwanych profesjach, czyli tam, gdzie praca oznacza prestiż, jasno wytyczoną drogę awansu i wysokie zarobki, były niemal nieobecne. Jednak problemem dyskryminacji na rynku pracy Friedan zajęła się dopiero jako aktywistka, zaś czerpiąc wiedzę o ówczesnej Ameryce wyłącznie z *Mistyki* można ulec złudzeniu, że w Stanach nie istniały podziały klasowe ani problem rasizmu. Kłopot z elitaryzmem *Mistyki* wkrótce okazał się kłopotem amerykańskiego feminizmu drugiej fali. Czarne kobiety rzadko przyłączały się do głównego nurtu ruchu kobiecego, tworząc raczej własne grupy. Wybitne Afroamerykanki – takie jak poetka Nikki Giovanni, późniejsza noblistka Toni Morrison czy feministyczne autorki Audre Lorde, bell hooks czy Alice Walker – uważały feminizm za „rodzinną kłótnię” między Białymi kobietami i Białymi mężczyznami i wielokrotnie dawały wyraz oburzeniu, że problem seksizmu jest przez białe feministki analizowany w oderwaniu od podziałów klasowych i rasowych.

Friedan oskarżano też o homofobię i jest to moim zdaniem zarzut słuszny. Można nań odpowiadać przypomnieniem, że niechęć wobec homoseksualistów była wówczas powszechna, stanowiła jedną z kulturowych oczywistości, a także ważny wątek zimnowojennej ideologii, gdzie „dewiant” był bliskim krewniakiem komunisty. Ruch na rzecz wyzwolenia gejów i lesbijek miał się rozpocząć dopiero w 1969 roku. Rzecz jednak w tym, że u Friedan homofobia jest czymś więcej niż tłem opowieści o kobietach, pogarda dla osób nieheteroseksualnych stanowi jeden z istotnych argumentów książki. Przyjrzyjmy mu się zatem bliżej. Otóż w rozdziale 11 pojawia się teza o zagrożeniu dla mężczyzn i męskości, jakie rzekomo niesie udomowienie kobiet. Zarażone mistyką kobiecości sfrustrowane panie domu wychowują zniewieściałych synów, bo nie mogąc realizować się w pracy, dominują nad

⁷ Linda J. Waite, *U.S. Women at Work*, The Rand Corporation, December 1981.

mężczyznami w sferze domowej. Nadmiar tradycyjnie pojmowanej kobiecości i związane z nim nuda i frustracja „produkuje” zatem seksualne wynaturzenia, paradoksalnie niszcząc tradycyjny układ płci. Ten dziwaczny argument stanowi odpowiedź Friedan na powszechne wówczas rozumowanie odwrotne, które zresztą słychać w cytowanym wyżej przemówieniu Stevensona: „łagodna domowa kobieta skutecznie pielęgnuje męskość swojego partnera, zaś nadmiernie wyzwolone – czyli kastrujące i zmaskulinizowane – męskość tę podkopują, przyczyniając się do osłabienia Ameryki”. Fantazmat zniewieściałego mężczyzny okazuje się zatem pionkiem w grze o kobiecość, a dla obu stron tego sporu jest oczywiste, że „dewiacja” stanowi straszliwe zagrożenie.

Zarzut o homofobię dotyczy także – a może przede wszystkim – stosunku autorki do kobiecej seksualności. Friedan zupełnie pomija w *Mistyce* kobiety żyjące w związkach z innymi kobietami; jedynym punktem odniesienia jest tu tradycyjnie rozumiana rodzina. Kilka lat później, już jako przewodnicząca NOW, pominięcie to uczyni istotną częścią swojej strategii. Domagające się miejsca dla swoich praw w strategii organizacji lesbijki nazwie „ławendowym zagrożeniem” i będzie starała się je wykluczyć z ruchu, twierdząc, że kwestie seksualności odwracają uwagę od problemów zwykłych kobiet, a także zniechęcają te kobiety do feminizmu. Friedan była przekonana, że budując masowy ruch społeczny, trzeba liczyć się z obyczajowym konserwatyzmem Ameryki. Obawiała się ekstremizmu, a kwestie związane z seksualnością uważała właśnie za przejaw ekstremizmu.

Można się spierać, czy była to jedynie strategia, czy też w grę wchodziły jej osobiste uprzedzenia – homofobia, a może po prostu pruderia i obawa, że do niej samej przylgnie łatka „kobiety, która nienawidzi mężczyzn”. Jej własna argumentacja, formułowana dość agresywnie na początku lat siedemdziesiątych, a potem wielokrotnie powtarzana w wersji łagodniejszej, jest następująca: zadaniem ruchu kobiecego jest sprawić, by kobiety przestały być społecznie definiowane przez swoją funkcję seksualną, a zatem kierowanie uwagi na tę kwestię jest sprzeczne z celami ruchu⁸. Autorka *Mistyki* nigdy nie zmieniła w tej sprawie zdania. Do końca życia odcinała się

⁸ Patrz m.in.: Betty Friedan, *Critique of Sexual Politics*, [w:] *'It Changed My Life'*, dz. cyt., 161–164; Betty Friedan, *Life So Far*, Touchstone, New York, 2000, s. 221–224; 231–32; 248–50, 295–6. Krytyka „polityki seksualnej” jest też istotnym wątkiem *The Second Stage*, książki Friedan z 1981 krytykowanej potem za konserwatyzm.

od „polityki seksualnej” czyli tematów, które na początku lat siedemdziesiątych stały się dla Ruchu Wyzwolenia Kobiet centralne. Ślady tej wrogości są zresztą widoczne w zamieszczonym w obecnym tomie wstępie do *Mistyki*, który Friedan napisała w 1997 roku. Zdaniem wielu feministek (m.in. Susan Faludi, która w słynnym *Backlashu* poddała miażdżącej krytyce późniejszą książkę Friedan, *The Second Stage*) autorka *Mistyki* była co prawda „matką założycielką” ruchu kobiecego na początku lat sześćdziesiątych, ale później nie nadążała za jego rozwojem. Nigdy nie zrozumiała, że homofobia i seksizm to dwie strony tego samego medalu.

Jeśli jakiś fragment *Mistyki* budzi zdumienie, a nawet oburzenie współczesnych czytelników – także tych, którzy zgadzają się z tezą książki – to jest to zdumiewająca analogia między domem na przedmieściach a obozem koncentracyjnym (rozdział 12). Warto zatem zapytać, skąd ten makabryczny i tak dziś dla nas dziwaczny pomysł. Otóż porównanie to stanowiło część konwencji polemicznej tamtych lat i nie budziło szczególnego zdziwienia; było uznawane za ostre, ale nie oburzające. Historyk Stanley Elkins porównywał do obozów śmierci amerykańskie niewolnictwo; pojawiały się porównania między eksterminacją Żydów a Hiroszimą; Stanley Milgram, psycholog, który badał podatność zwykłych ludzi na presję, by znęcali się nad innymi, porównywał uczestników swojego eksperymentu do obozowych kapo. Nie bez znaczenia są także korzenie samej Friedan. Jako Żydówka z pochodzenia, należała ona do pokolenia lewicowych żydowskich intelektualistów, którzy po wojnie – już nie jako Żydzi, lecz jako Amerykanie – przywoływali Holocaust jako tragedię o uniwersalnym wymiarze, wielkie ostrzeżenie przed konsekwencjami rasizmu i innych uprzedzeń⁹. Analogia między udomowieniem kobiet a obozem koncentracyjnym jest także częścią politycznej strategii Friedan, subtelnej gry, jaką w swojej książce prowadzi z zimnowojenną retoryką na temat kobiet. Powtarzano, że tradycyjna rodzinność jest aspektem amerykańskiego patriotyzmu, a zatem spełnianie się w roli gospodyni domowej to forma oporu amerykańskich kobiet wobec radzieckiego komunizmu. Friedan odpowiada na ten argument, wprowadzając do gry trzeci element – nazistowskie Niemcy. Nie kwestionuje konieczności przeciwstawiania się złowrogiej sile totalitaryzmu, raz po raz

⁹ Kirsten Fermaglich, *'The Comfortable Concentration Camp': The Significance of Nazi Imagery in Betty Friedan's 'The Feminine Mystique' (1963)*, „American Jewish History”, 91 (2), June 2003, 205–232.

przypomina jednak swoim czytelnikom, że w odesłaniu kobiet do domu nie ma nic amerykańskiego. Nie przypadkiem w tekście wciąż pojawia się złowroga triada „Kinder, Küche, Kirche”; autorka nie tłumaczy tych trzech słów na angielski, bo ich rola w tekście na tym właśnie polega, że brzmią obco, nieamerykańsko¹⁰. Wszystko to nie stanowi rzecz jasna usprawiedliwienia dla retorycznego nadużycia, jakim jest analogia między wygodnym domkiem na przedmieściach a obozem śmierci, tym bardziej że problem dotyczy całego rozdziału książki. Friedan, która nader rzadko wycofywała się ze swoich wcześniejszych poglądów, będzie po latach żałować, że porównała udomowienie kobiet do Zagłady. W swoich wspomnieniach napisze, że była to wielka pomyłka, której teraz bardzo się wstydzi¹¹.

Kolejny spór dotyczy usytuowania *Mistyki* – a także biografii Betty Friedan – w politycznej i ideologicznej historii Stanów. Książka należy do kanonu feminizmu liberalnego, jednak w 1998 roku Daniel Horowitz ujawnił, że Friedan w młodości była silnie związana z lewicą, co zataiła, kreując się w *Mistyce* na zwykłą panią domu¹². Na początku lat czterdziestych, jako studentka Smith, uczestniczyła w warsztatach z marksizmu, pisała też artykuły wspierające strajk pracujących w college’u sprzątaczek. Później pracowała w Federated Press, niezależnym serwisie informacyjnym, który obsługiwał prasę związkową, i przez kilka lat pisywała artykuły do lewicowego pisma związkowego UE News. Ani w *Mistyce kobiecości* ani w późniejszych tekstach Friedan nie ma śladu tych doświadczeń, nie widać też związanych z nimi przemyśleń. W książce Friedan pomija zupełnie ekonomiczny wymiar nierówności płci; udomowieniu kobiet winni są „eksperci”, „media”, „kultura”, ale przecież nie kapitalizm. Czy zatem wizerunek autorki *Mistyki* jako pani domu piszącej dla innych pań domu należy uznać za mistyfikację? Czy Friedan zataiła młodzieńczą przygodę z marksizmem, bo zmieniła poglądy? A może zmienił się klimat polityczny i należy po prostu uznać, że dostosowała swój przekaz do wymogów epoki? Jakkolwiek to interpretować,

¹⁰ Patrz też: Agnieszka Graff, „But this was not Nazi Germany. This was America.” *Revisiting the Concentration Camp Analogy in Betty Friedan’s ‘Feminine Mystique’*, [w:] *The American Uses of History. Essays on Public Memory*, red. T. Basiuk, et. al., Peter Lang, Frankfurt am Main, 2011, 267–280.

¹¹ Betty Friedan, *Life So Far*, dz. cyt. 132.

¹² Daniel Horowitz, *Betty Friedan and the Making of the Feminine Mystique. The American Left, the Cold War, and Modern Feminism*, University of Massachusetts Press, Amherst, 1998.

wać, wywołana przez Horowitza debata o lewicowych korzeniach *Mistyki* jest czymś więcej niż osobistym atakiem na Friedan (za taki właśnie uznała go sama autorka); jego odkrycia wpisują się w dużo szerszą dyskusję o relacjach między feminizmem, liberalizmem i lewicą¹³.

Przekazując polskim czytelniczkom przekład *Mistyki kobiecości*, trzeba jednak przede wszystkim postawić pytanie o jej aktualność. Mimo wszystkich swoich ograniczeń jest to pozycja klasyczna, a przy tym istotny kawałek kobiecej historii, a zatem godne otwarcie projektowanej przez nas serii książek feministycznych: Biblioteka Kongresu Kobiet. Jednak klasyka klasyką, seria seria, a książki czytamy po to, by usłyszeć coś nowego. Czytamy je, bo mówią nam coś ważnego o naszym życiu. Cóż, niektóre z odkryć Friedan wydają się dziś truizmami czy wręcz banałami. Czytając po raz enty, że kobieta ma prawo do samorealizacji, a mycie podłogi kiepsko nadaje się na źródło „orgazmu”, zastanawiałam się, czy istotnie ówczesnym kobietom z klasy średniej trzeba to było aż tyle razy powtarzać? Wiem, wiem, dzieci dorastają, a nam zostaje potem do przeżycia kawał życia. Owszem, gdzieś już słyszałam, że całkowita zależność ekonomiczna od mężczyzny to ryzykowny pomysł – nawet najlepszy mąż może wpaść pod pociąg. Czy one naprawdę tego nie wiedziały? I czy ktokolwiek mógł traktować serio przekaz kolorowych czasopism – całą tę bajkę o idealnej i zawsze pogodnej pani domu otoczonej gromadką dzieci, dumnej z awansu męża i ze sto czterdziestego ósmego gadżetu do czyszczenia tego lub owego, który właśnie jej kupił i którego reklamę widać obok? A jeśli czuły się aż tak bardzo zdesperowane, tak bardzo przytłoczone swoim udomowieniem, to czy nie mogły zwyczajnie z tego domu wyjść?

Rzecz w tym, że nie mogły. Naprawdę nie mogły ruszyć z miejsca, w którym tkwiły. Nie mogły, bo cała ówczesna kultura – członkowie ich rodzin, media, kaznodzieje oraz niezliczeni eksperci od kobiecej duszy byli zgodni, że taki ruch byłby niezgodny z kobiecą naturą. I jeszcze dlatego, że zwyczajnie nie miały dokąd pójść, bo na rynku pracy po prostu nie było dla nich miejsca. Fakt, że dziś jest inaczej, zawdzięczamy między innymi Betty Friedan – nie tylko jej, rzecz jasna, lecz całemu pokoleniu dzielnych kobiet,

¹³ Obszerniej na ten temat: A. Graff, *Mistyka, mistyfikacja, lustracja, czyli kilka słów o Feminine Mystique Betty Friedan*, „Res Publica Nowa”, nr 4/2008, zima 2008: 138–144.

które stworzyły stan rzeczy dziś uważany za oczywisty. Paradoks polega więc na tym, że ta książka się zestarzała, bo wywołała zmianę. Świat, który opisuje, nie istnieje, między innymi dlatego, że Friedan go opisała.

Czy jednak zupełnie nie istnieje? Feministyczna publicystka i wykładowczyni Katha Pollitt porównuje swoje przygody z książką Friedan na amerykańskiej uczelni do nauczania powieści Jane Austen. Świat kobiet zamkniętych w domach na przedmieściach jest dla współczesnych studentek równie egzotyczny jak świat dyliżansów, kamerdynerów i przyzwoitek¹⁴. Ja także kilkakrotnie prowadziłam zajęcia w oparciu o fragmenty *Mistyki*, ale w odróżnieniu od Pollitt nie miałam wrażenia, że dyskutujemy o odległej historii. W reakcji na tekst – zadawałam zwykle lekturę dwóch pierwszych rozdziałów książki – moje studentki i studenci opowiadali o swoich kuzynkach, ciotkach, matkach. O ich odłożonych na później, a wreszcie zapomnianych aspiracjach, o ich wiecznym poczuciu winy. Bywało też, że dziewczyny zaczynały opowiadać o sobie. O własnym lęku, że po studiach ugrzęzną na długie lata w domu i już nie wrócą na ścieżkę, którą dziś, jako studentki, uważają za swoją życiową drogę. Nasza klasa średnia dopiero się rodzi, nasze „przedmieścia” nie są tak zamożne jak te, które opisuje Friedan. Jednak frustracji związanej z bezalternatywnym udomowieniem można doświadczyć równie głęboko w małym miasteczku na Podlasiu czy w mieszkaniu na warszawskim blokowisku, co w Nebrasce lub Nevadzie. Warunki są inne, pieniędzy znacznie mniej, ale osamotnienie, poczucie bezpowrotne traconego czasu i niepokój wynikający z całkowitej zależności od męża – te same. Ta sama jest też złość na samą siebie. Wszyscy wokół mówią ci, że masz dobrze, więc jeśli czujesz, że masz źle, że grzęzniesz, dusisz się, że chcesz więcej, inaczej... to sama sobie jesteś winna.

Czy w Polsce mamy do czynienia z masowym udomowieniem kobiet? Czy towarzyszy temu presja kulturowa porównywalna do tej, którą opisuje Friedan? Spójrzmy na liczby. Współczynnik aktywności zawodowej kobiet jest u nas znacznie niższy niż przeciętna europejska (w Polsce, jak podaje GUS, jest to ok. 46%, zaś unijna przeciętna to nieco poniżej 60%, są jednak kraje – Dania, Holandia, Szwecja – gdzie aktywnych zawodowo jest ponad 70% kobiet)¹⁵. Czy wynika to z tradycyjnych wyborów, z rodzinności Polek,

¹⁴ Katha Pollitt, *Betty Friedan: 1921–2006*, „The Nation”, 27.02.2006.

¹⁵ Podaję za: *Raport. Kobiety dla Polski. Polska Dla Kobiet. 20 lat transformacji 1989–2009*, praca zbiorowa pod redakcją Joanny Piotrowskiej i Agnieszki Grzybek, Femino-

głębokiej potrzeby sprawowania osobistej opieki nad dziećmi, która bierze górę nad pragnieniem zrobienia kariery, do której wiele kobiet i tak nie ma dostępu? Zapewne w wielu wypadkach tak jest. Jednak nie dowiemy się, w ilu, dopóki kobiety nie będą miały prawdziwego wyboru, czyli dopóki nie powstanie w Polsce sieć powszechnie dostępnych żłobków i przedszkoli, mężczyźni nie wezmą na siebie połowy domowych obowiązków (obecnie wykonują je w zaledwie 20%), a rynek pracy nie stanie się dla kobiet prawdziwie otwarty.

Jak jest obecnie, wiadomo. Pracodawcy traktują kobiety jako tanią – a w każdym razie znacznie tańszą od mężczyzn – siłę roboczą. Dysproporcje w płacach widoczne są we wszystkich grupach zawodowych (przeciętna różnica wynosi ok. 23%), ale im więcej pieniędzy wchodzi w grę, tym są większe. Jak zauważają autorki raportu przygotowanego przez Kongres Kobiet Polskich, powszechnie uważa się, że kobiety nie muszą dobrze zarabiać, bo ich dochody są zaledwie „dodatkiem” do dochodów męża. To właśnie jest stan umysłu, o którym pisze Betty Friedan. Rewers społecznego lekceważenia pracy zawodowej kobiet to ich własne przekonanie, że pracować nie warto, że pracują wyłącznie z konieczności. Z badań przeprowadzonych na Mazowszu w 2010 roku wynika, że niemal połowa kobiet chętnie zrezygnowałaby z pracy, gdyby ich mąż czy partner zarabiał wystarczająco dużo, by utrzymać rodzinę na zadowalającym poziomie¹⁶. Czy rzeczywiście tak by zrobiły? Sam fakt, że o tym marzą, jest niepokojący, bo oznacza, że czują się na rynku pracy jak nieproszeni goście, a praca nie daje im satysfakcji, nie jest ważna dla ich poczucia, kim są i dokąd w życiu zmierzają.

Pragnienie, by rzucić pracę i zostać panią domu, nie jest emanacją kobiecej duszy, lecz pochodną tego, jak społeczeństwo postrzega kobiecą rolę. Zewsząd otacza nas kulturowa opowieść o szczęściu kobiety udomowionej, o nieważności wszystkiego, co wykracza poza prywatność. To właśnie jest mistyka kobiecości. Mglista, ogólnikowa, oparta na mitach i przekłamanach, a jednak niesłychanie uwodząca. Ten przekaz nie jest w Polsce tak intensywny i wszechobecny jak w Stanach pół wieku temu, ale trudno go nie zauważyć. Podręczniki szkolne wciąż – mimo licznych protestów i mo nitów – pokazują dzieciom tatę w pracy, a mamę przy wieszaniu firanek. Pi sma kobiece doradzają czytelniczkom, jak piec wyborne ciasta, dekorować

teka, Warszawa, 2009, s. 10–11.

¹⁶ *Kobiety na rynku pracy województwa mazowieckiego*, CBOS, listopad 2010.

wnętrza, dbać o dzieci, męża i własną urodę, ale artykuły o tym, jak lepiej radzić sobie w pracy, pojawiają się w nich niezwykle rzadko. W życiu bohaterki seriali liczy się wyłącznie miłość, a postać kobieca, która robi karierę, to nieszczęśnica lub czarny charakter – gdy się pojawia, to jako zagrożenie dla rodziny, własnej lub cudzej. „Perfekcyjna pani domu” – tak brzmi tytuł popularnej serii programów w jednej z polskich stacji telewizyjnych. I bynajmniej nie jest to tytuł prześmiewczy. Prowadzenie domu traktuje się tu ze śmiertelną powagą, jako kompleksowe wyzwanie, w którym mężczyźni nie uczestniczą wcale, natomiast nam, kobietom, pomogą w nim ekspertki-celebrytki.

Z jednej strony, pytani, kto ich zdaniem w polskim społeczeństwie cieszy się większym szacunkiem, kobieta pracująca zawodowo czy gospodyni domowa, Polacy jednoznacznie wybierają tę pierwszą¹⁷. Z drugiej strony, gdy trzeba pokazać „kobietę” uogólnioną, kobietę jako taką, odruchowo przywołuje się postać pani domu. Coś tu jest nie tak, coś tu nie gra, chciałoby się powiedzieć. I oddać głos Betty Friedan, która tak dobitnie wypowiedziała tę wątpliwość pół wieku temu.

Agnieszka Graff

¹⁷ Tak deklaruje 67%; 3% stawia na gospodynię domową, 28% uważa, że nie ma różnicy.
Za: *Opinie o Pracy Zawodowej Kobiet CBOS*, grudzień 2006.

Metamorfoza

Dwie generacje później

Jako że niebawem wkroczymy w nowy wiek – a zarazem w nowe tysiąclecie – tym razem to mężczyźni muszą zadać sobie trud, by dokonać przełomu w myśleniu o sobie i o społeczeństwie. Kobiety, niestety, nie mogą za nich podjąć tego wysiłku, ale też bez udziału mężczyzn nie uda im się wprowadzić dalszych zmian. Zaiste to nadzwyczajne, jeśli wziąć pod uwagę, jak bardzo dzięki nam, kobietom, zmieniły się perspektywy życiowe, jak gruntownie przewartościowałyśmy system społeczny, odkąd zaledwie dwa pokolenia wstecz udało nam się zdemistyfikować mistykę kobiecości. Dalsze zmiany stoją jednak pod znakiem zapytania, jeżeli zadanie to będzie spoczywać wyłącznie na barkach kobiet. Kontynuacja procesu zmian jest sprawą niecierpiącą zwłoki, wynikającą ze zmieniającej się sytuacji mężczyzn, stanowiącej zagrożenie dla pozycji zdobytej przez kobiety, o ile mężczyźni nie dokonają przełomu. Czy kobiety zostaną zmuszone do odwrotu i rezygnacji z wywalczonego człowieczeństwa, czy też na powrót połączą siły z mężczyznami, urzeczywistniając nową wizję ludzkich możliwości, dążąc do zmiany męskiego świata, o dostęp do którego stoczyły ciężką walkę?

Weźmy choćby pod uwagę warunki nowego upodmiotowienia kobiet, zdumiewające zmiany, jakie nastąpiły od czasów, gdy o nich pisałam zaledwie trzydzieści lat temu, kiedy kobiety definiowano wyłącznie poprzez pryzmat płci w ich relacjach z mężczyznami – były zazwyczaj czyjąś żoną, obiektem seksualnym, matką, panią domu – natomiast nie dostrzegano w nich osób, które mogłyby się samodzielnie określać poprzez swoje czyny w społeczeństwie. Ów wzorzec, który określiłam mianem „mystyki kobiecości”, był na tyle rozpowszechniony – wyzierał z łamów czasopism dla kobiet, dominował w filmach, reklamach telewizyjnych, środkach masowego przekazu oraz podręcznikach do psychologii i socjologii, że każda kobieta myślała, iż musi

Wstęp do dziesiątego wydania

Minęło dziesięć lat, odkąd ukazała się *Mistyka kobiecości*. Dopóki nie zaczęłam pisać tej książki, w ogóle nie uświadamiałam sobie problemu, który dręczył kobiety. Tak jak my wszystkie, tkwiłam wtedy w pułapce mistyki kobiecości, która utrzymywała nas w stanie pasywności i oderwania od świata, nie pozwalając dostrzec naszych realnych problemów i możliwości. Podobnie jak inne kobiety, sądziłam wówczas, że to ze *mną* jest coś nie tak, ponieważ nie przeżywałam orgazmu, pastując podłogę w kuchni. Pisząc tę książkę, stałam się kompletnym dziwadłem, albowiem – muszę to wreszcie wyznać – ani razu nie wyfroterowałam posadzki, kiedy ogarnięta gorączką pisarską, kończyłam pracę w 1963 roku.

Dziesięć lat temu każda z nas uważała się za wybryk natury, jeśli froteując posadzkę w kuchni, nie przeżywała owego tajemniczego, orgiastycznego spełnienia, które obiecywały nam reklamy. Choćby nie wiem, ile radości sprawiało nam bycie mamą Juniora, Janey i Emily, choćby bezbrzeżną dumą przepełniało nas to, że jesteśmy żoną B.J., to jeśli wciąż miałyśmy własne ambicje i jakieś wyobrażenia o własnej samodzielności, to – no cóż – byłyśmy po prostu dziwnym wybrykiem natury, byłyśmy neurotyczkami. Dlatego wyznawałyśmy grzechy księdzu, psychoanalitikowi spowiadałyśmy się z własnej neurozy i za wszelką cenę starałyśmy się przystosować do rzeczywistości. Nie przyznawałyśmy się do tego przed sobą, jeśli czułyśmy, że życie nie polega wyłącznie na szykowaniu dzieciom kanapek z masłem orzechowym, jeśli wysypując do pralki proszek do prania, nie odżywały w nas wspomnienia nocy poślubnej, jeśli doprowadzenie skarpet i koszul do śnieżnej bieli nie było szczytem naszych możliwości, choć poszarzała bielizna wywoływała w nas poczucie winy, świadczyła bowiem o tym, że zaniedbujemy swoje obowiązki.

Część z nas (w 1963 roku była to prawie połowa wszystkich kobiet w Stanach Zjednoczonych) już popełniała ów niewybaczalny grzech, po-

dejmując pracę poza domem, by w ten sposób zasilić domowy budżet, pomóc w spłacie hipoteki czy opłaceniu rachunków w spożywczym. Grzeszyły także te, które miały poczucie winy, że zdradzają własną kobiecość, że odzierają męża z męskości, że zaniedbują dzieci, ośmielając się podjąć pracę zarobkową, niezależnie od tego, jak bardzo w domowym budżecie był potrzebny ów zastrzyk pieniężny. Nie potrafiły przyznać – nawet przed sobą – że nie podoba im się, iż zarabiają o połowę mniej niż mężczyzna za tę samą pracę, że zawsze są pomijane przy awansie albo że piszą tekst, za który to *on* otrzyma stopień naukowy i podwyżkę.

Piłam właśnie kawę z Gertie, moją sąsiadką z przedmieścia – miało to miejsce wtedy, kiedy pisałam *Mistykę kobiecości* – gdy odwiedził nas ankieter przeprowadzający spis ludności. „Zawód?” – spytał. „Gospodyni domowa” – odparłam. Gertie, która dopingowała mnie do pisania artykułów i kibicowała, kiedy próbowałam sprzedać je czasopismom dla kobiet, ze smutkiem potrząsnęła głową. „Powinnaś traktować siebie bardziej serio” – stwierdziła. Przez moment się zawahałam i w końcu powiedziałam ankieterowi: „Właściwie jestem pisarką”, choć oczywiście wówczas, tak jak i dzisiaj byłam panią domu, podobnie jak wszystkie mężatki w Ameryce, niezależnie od tego, czym się zajmują od dziewiątej do piątej. Rzecz jasna, kobiety niezamężne nie odpowiadały na pytanie ankietera o zawód „pani domu”, choć nawet i w tym wypadku społeczeństwo było mniej zainteresowane ich aktywnością poza domem, natomiast zachodziło w głowę: „Dlaczego taka miła dziewczyna jak ty nie wyszła jeszcze za męża?”. A zatem i one nie odzuwały zachęty, by poważnie siebie traktować.

Z pozoru fakt, że napisałam tę książkę, był całkowitym przypadkiem, choć z drugiej strony można powiedzieć, że po prostu życie przygotowało mnie do tego zadania. Wszystkie kawałki złożyły się w końcu w jedną całość. W 1957 roku, osobliwie znudzona pisanem artykułów o karmieniu piersią i na tym podobne tematy dla czasopism typu „Redbook” czy „Ladies’ Home Journal”, sporo czasu poświęciłam opracowaniu ankiety, jaką chciałam przeprowadzić wśród dawnych koleżanek ze studiów, które wraz ze mną skończyły Smith College w 1942 roku, co robiłam w przekonaniu, że dzięki temu uda mi się obalić ówczesnie rozpowszechniony pogląd, jakoby wykształcenie miało nas źle przygotować do odgrywania kobiecej roli. Ankieta zrodziła jednak więcej pytań, niż przyniosła odpowiedzi: wyglądało na to, że nasze wykształcenie w zasadzie *nie* przysposobiło nas do roli, którą

jako kobiety starałyśmy się odgrywać. Rodziło się we mnie coraz więcej wątpliwości, czy za ten stan rzeczy należało winić edukację, czy też to może z tą rolą było coś nie tak. Magazyn „McCall’s” zamówił u mnie artykuł na podstawie ankiety, którą przeprowadziłam wśród absolwentek Smith College, później jednak wydawca magazynu – mężczyzna – pełniący tę funkcję w owej wspaniałej epoce małżeńskiej wspólnoty, z odrazą odrzucił tekst, mimo zakulisowych starań redaktorek, które próbowały go przemycić na łamach czasopisma. Redaktorzy-mężczyźni w „McCall’s” stwierdzili, że to, co napisałam, po prostu nie może być prawdą.

Następnie otrzymałam zlecenie napisania artykułu dla „Ladies’ Home Journal”. Tym razem to ja się wycofałam, ponieważ redakcja tak diametralnie zmieniła tekst, że wypaczyła jego sens wbrew moim intencjom. Kolejną próbą miała być publikacja w czasopiśmie „Redbook”. Za każdym razem przeprowadzałam kolejne wywiady z kobietami, psychologami, socjologami, psychoterapeutami małżeńskimi i in., zyskując coraz większą pewność, że oto jestem na właściwym tropie. Ale co to był za trop? Musiałam nazwać to coś, co powstrzymywało nas przed korzystaniem z naszych praw, wywoływało poczucie winy, ilekroć zrobiliśmy cokolwiek *nie* z racji tego, że byliśmy żonami swoich mężów, matkami swoich dzieci, lecz dlatego, że byliśmy ludźmi, że zrobiliśmy coś samodzielnie. Musiałam jakoś nazwać to poczucie winy. W odróżnieniu od poczucia winy, którą kobiety dawniej odczuwały z powodu potrzeb seksualnych, teraz poczucie winy rodziło się w nich z powodu potrzeb, które nie pasowały do definicji kobiecości, uwzględniającej wyłącznie płciowy aspekt, które nie licowały z mistyką kobiecego spełnienia – mistyką kobiecości.

Redaktor „Redbooka” powiedział mojej agentce: „Betty chyba oszalała. Zawsze wykonywała dla nas świetną robotę, ale tym razem tylko najbardziej zneurotyzowana pani domu może się utożsamić z tym, co napisała”. List od agentki otworzyłam w metrze, kiedy wiozłam dzieci do pediatry. Wysiadłam na pierwszej lepszej stacji, żeby zadzwonić do niej, i powiedziałam: „Będę musiała napisać książkę, żeby to się w ogóle mogło ukazać drukiem”. Temat, którego się podjęłam, stanowił zagrożenie dla fundamentów świata kobiecych czasopism – demistyfikował mistykę kobiecości.

Kiedy podpisałam umowę z wydawnictwem Norton na wydanie książki, byłam przekonana, że uda mi się ją skończyć w ciągu roku – praca zajęła mi pięć lat. Nie napisałabym ani słowa, gdyby nowojorska Biblioteka Publiczna

nie otworzyła – zbiegiem okoliczności właśnie wtedy, kiedy przystępowałam do pracy – Czytelni im. Fredericka Lewisa Allena, w której pisarzom pracującym aktualnie nad nową książką udostępniano nieodpłatnie na pół roku biurko do pisania. Wynajęłam opiekunkę do dzieci na trzy dni w tygodniu, w Rockland County wsiadałam do autobusu i wyprawiałam się do miasta. Jakimś cudem udało mi się przedłużyć owe pół roku w Czytelni im. Allena do dwóch lat, mimo iż podczas lunchów musiałam znosić docinki ze strony innych pisarzy, kiedy wyszło na jaw, że piszę książkę o kobietach. Później książka poniekąd mną zawładnęła, stała się moją obsesją, w zasadzie pisała się sama: materiały zabierałam do domu, pisałam przy stole w jadalni, na kanapie w salonie, na przystani sąsiada nad rzeką, pisałam ją dalej w myślach, kiedy na moment musiałam odłożyć pracę, żeby zawieźć dokądś dzieci, ugotować obiad, do pisania zabierałam się z powrotem, kiedy dzieciaki poszły już spać.

Jeszcze nigdy w życiu nie przeżyłam nic równie poruszającego, prawdziwie mistycznego jak te siły, które mną zawładnęły w czasach, gdy pisałam *Mistykę kobiecości*. Książka zrodziła się z moich wewnętrznych przeżyć, zawierało się w niej całe moje dotychczasowe doświadczenie: wieczne niezadowolenie mojej matki, moje studia nad terapią Gestalt i psychologią Freudowską, poczucie winy z powodu rezygnacji ze stypendium naukowego, praca dziennikarki, w której nauczyłam się tropić ukryte, ciemne strony ekonomicznej rzeczywistości, mój exodus na przedmieścia oraz wszystkie chwile, które spędziłam w towarzystwie innych matek, robiąc zakupy w supermarkecie, wożąc dzieci na basen, spotykając się z nimi na kawie. Echem pobrzmiwały w niej lata, kiedy pisałam dla czasopism kobiecych, w czasach, gdy niepodważalną prawdą objawioną był powszechny pogląd, że kobiety nie potrafią utożsamić się z *niczym* poza domem – nie odnajdują się ani w polityce, ani w sztuce, ani w nauce, ani w wydarzeniach wielkiej i małej wagi: nie interesuje ich ani wojna, ani pokój, ani to, co się dzieje w Stanach Zjednoczonych i na świecie, chyba że wypadki te można ująć w ramach kobiecego doświadczenia żony i matki, czyli przełożyć na domowe detale! Nie potrafiłam już dłużej pisać w ten sposób. Książka, nad którą teraz pracowałam, podważała samą istotę definicji tego uniwersum, czyli to, co zdecydowałam się określić jako mistykę kobiecości. Nazywając rzecz po imieniu, definiując to zjawisko, uświadomiłam sobie, że absolutnie nie jest to jedyny możliwy dla kobiet wszechświat, lecz dziedzina, w której nasza

energia i wyobrażenia ulegają nienaturalnemu ograniczeniu. Kiedy jednak zaczęłam śledzić główne kierunki i tropy wyłaniające się z opowieści kobiet, kiedy przeanalizowałam własne wrażenia z lektur psychologicznych, socjologicznych i dotyczących najnowszej historii, próbując zrekonstruować – przewertowawszy czasopisma kobiece, dla których sama dawniej pisałam – jak do tego doszło, dlaczego tak się stało, w jaki sposób zaobserwowane zjawisko realnie wpływa na kobiety, na dzieci, a nawet na życie seksualne, konsekwencje tego stanu rzeczy stały się dla mnie oczywiste i przeszły najśmielsze wyobrażenia. Sama nie wierzyłam własnym słowom, zastanawiałam się, dokąd to prowadzi. Ilekroć kończyłam kolejny rozdział, jakiś wewnętrzny głos mnie mitygował: zwariowałaś? Równocześnie, w miarę jak wszystkie tropy zaczęły się układać w spójną całość, ogarniało mnie coraz większe poczucie spokoju, siły, instynktownej pewności – podobne odczucia muszą towarzyszyć naukowcowi – bohaterowi jednej z tych popularno-naukowych opowieści detektywistycznych, który wszystkie siły koncentruje wyłącznie na jednym celu – naukowym odkryciu.

Tyle że zjawisko, z którym się zetknęłam, nie było ani abstrakcyjne, ani czysto konceptualne. Znaczyło to ni mniej, ni więcej, że ja i każda znana mi kobieta, żyłyśmy w zmistyfikowanej rzeczywistości, natomiast wszyscy lekarze, którzy nas leczyli, wszyscy specjaliści, dla których byłyśmy obiektem badań, utrwalali tę mistyfikację, zaś dom, szkoła, kościół, cała polityka i praca zawodowa były zbudowane na tym kłamstwie. Gdyby kobiety naprawdę były *ludźmi* – ni mniej, ni więcej – wówczas wszystko, co sprawa, że w naszym społeczeństwie nie mogą stać się dojrzałym człowiekiem, musiałyby ulec przeobrażeniu. Wystarczyłoby, żeby kobiety zdemistyfikowały mistykę kobiecości w pułapce, w której żyją, i zaczęły poważnie traktować swoje człowieczeństwo, a dostrzegłyby, że zostały postawione na fałszywym piedestale, że są gloryfikowane w roli obiektów seksualnych, co ma im zrekompensować poniżające w istocie położenie.

A przecież gdybym uświadomiła sobie wtedy, jak niewyobrażalnie szybko nastąpią rzeczywiste zmiany – że stanie się to zaledwie w ciągu niecałych dziesięciu lat – niewykluczone, że ze zgrozą porzuciłabym swój pisarski projekt. Przemierzanie szlaków, których nikt przed nami nie przebył, jest przerażającym doświadczeniem. Człowiek nie ma pojęcia, dokąd zmierza, dopóki nie obejrzy się za siebie, by uświadomić sobie, jaki szmat drogi pokonał. Kiedy w 1963 roku pierwsza kobieta poprosiła mnie o autograf

na *Mistyce kobiecości*, mówiąc to, co od tamtej pory powtarzały mi setki – a może nawet tysiące – kobiet: „Ta książka zmieniła moje życie”, napisałam wówczas w dedykacji: „Dodaj nam wszystkim odwagi na tej nowej drodze”, albowiem z tej drogi nie można już zawrócić. Ona musi zmienić twoje życie; bowiem z pewnością zmieniła moje.

Betty Friedan
Nowy Jork 1973

Rozdział 1

Problem, który nie ma nazwy

O problemie tym nikt nie mówił; przez wiele lat pozostawał głęboko ukryty w umysłach Amerykanek. Było to dziwne, kłujące poczucie niezadowolenia, tęsknoty, którą kobiety boleśnie odczuwały w Stanach Zjednoczonych w połowie dwudziestego wieku. Każda mężatka z przedmieść cierpiała w samotności. Ścieląc łóżka, robiąc zakupy w spożywczym, szukając odpowiedniego materiału na poszewki, jedząc z dziećmi kanapki z masłem orzechowym, odwożąc je na zbiórkę skautów, leżąc nocą u boku męża – bała się nawet samą siebie zapytać, wypowiedzieć na głos to nieme pytanie: „Czy tak już będzie zawsze?”

Od ponad piętnastu lat pośród milionów słów, które zostały napisane o kobietach i dla kobiet we wszystkich felietonach, książkach i artykułach, w których eksperci wmawiali kobietom, że spełnienia powinny szukać w roli żony i matki, nie padło ani jedno mówiące o tej tęsknocie. Głos odwołujący się do tradycji i freudowskiej sofistyki nieustannie wmawiał kobietom, że ich przeznaczeniem, którego powinny pragnąć nade wszystko, jest chluba z własnej kobiecości. Eksperci radzili, jak złapać faceta i go przy sobie zatrzymać, jak karmić dzieci piersią i nauczyć je korzystać z toalety, jak poradzić sobie z rywalizacją między rodzeństwem i buntem nastolatków; jak kupić zmywarkę, piec chleb, przyrządzać wykwinne ślimaki i zbudować basen własnymi rękami; radzili, jak się ubierać, wyglądać i zachowywać się bardziej kobieco oraz jak dodać szczypty pikanterii małżeństwu; jak chronić męża przed przedwczesną śmiercią, a synów przed zejściem na złą drogę. Uczono je, że powinny głęboko współczuć neurotycznym, niekobiecym, nieszczęśliwym kobietom, które chciały być poetami, fizykami czy prezesami. Nauczyły się, że prawdziwe kobiety nie chcą kariery, wyższego wykształcenia ani praw politycznych – nie chcą niezależności i szans, o które

walczyły staroświeckie feministki. Niektóre czterdziesto- i pięćdziesięciokilkuletnie kobiety wciąż jeszcze pamiętały, jak bolesne było wyrzeczenie się tych marzeń, lecz większość młodych kobiet już w ogóle nie zaprzętała sobie tym głowy. Tysiące ekspertów wychwalało ich kobiecość, ich umiejętność dostosowywania się, ich nową dojrzałość. Wymagano od nich jedynie, żeby od najmłodszych lat poświęciły się szukaniu męża i rodzeniu dzieci.

Pod koniec lat pięćdziesiątych średni wiek zawierania małżeństw przez Amerykanki obniżył się do 20. roku życia, lecz na tym się nie skończyło: kobiety coraz wcześniej wychodzą za mąż, teraz już nawet małżeństwa zawierają nastoletnie dziewczęta. 14 milionów dziewcząt zaręczyło się przed 17. rokiem życia. Odsetek kobiet podejmujących naukę w college'u spadł z 47% w 1920 do 35% w 1958 roku. W poprzednim stuleciu kobiety walczyły o prawo do wyższego wykształcenia; dziś dziewczęta idą na studia po to, by złapać męża. W połowie lat pięćdziesiątych 60% studentek porzuciło naukę w college'u, żeby wyjść za mąż; drugim powodem rezygnacji ze studiów była obawa, że gruntowne wykształcenie mogłoby utrudnić znalezienie męża. Uczelnie budowały akademiki dla „małżeństw studenckich”, lecz studentami prawie wyłącznie byli mężowie. Dla żon ustanowiono nowy stopień naukowy – doktorat z zakresu: „jak pomóc małżonkowi ukończyć studia”.

Potem amerykańskie dziewczęta zaczęły wychodzić za mąż w szkole średniej. Zaś czasopisma kobiece, w których z ubolewaniem przytaczano nieszczęsne statystyki dotyczące zawierania małżeństw w młodym wieku, postulowały, aby w szkole średniej wprowadzić kursy małżeńskie i zatrudnić małżeńskich doradców. Dziewczęta zaczęły chodzić z chłopakami w wieku dwunastu, trzynastu lat, kiedy jeszcze były w gimnazjum. Producenti zaczęli produkować dla dziesięcioletnich dziewczynek staniki sztucznie powiększające biust, wypełnione gąbką. Jesienią 1960 roku w „New York Times” ukazała się reklama ubrań dziecięcych w rozmiarze 3-6x głosząca: „Ona także może dać się uwieść”.

Pod koniec lat pięćdziesiątych przyrost naturalny w Stanach Zjednoczonych osiągnął poziom wyższy niż w Indiach. Ruch na rzecz kontroli urodzin, przemianowany później na ruch na rzecz planowania rodziny, poproszono o wynalezienie metody, dzięki której kobiety, które dowiedziały się, że ich trzecie lub czwarte dziecko urodzi się martwe albo z poważną wadą rozwojową, mogłyby je i tak urodzić. Statystycy byli szczególnie zdu-

mieni niebywałym wzrostem wskaźnika urodzeń wśród studentek. Niegdyś miały one dwoje dzieci, teraz czworo, pięcioro, a nawet sześcioro. Kobiety, które dawniej marzyły o karierze zawodowej, teraz robiły karierę, rodząc dzieci. W 1956 roku magazyn „Life” z zachwytem rozwdził się nad masowym powrotem Amerykanek do domowych pieleszy.

W nowojorskim szpitalu pewna kobieta przeżyła załamanie nerwowe, kiedy dowiedziała się, że nie będzie mogła karmić piersią. W innych szpitalach kobiety umierające na raka piersi odmawiały przyjmowania lekarstw, które – jak stwierdzono na podstawie badań – mogłyby im uratować życie, bowiem ich uboczne efekty mogłyby je pozbawić kobiecości. „Skoro mam tylko jedno życie, pozwólcie mi je przeżyć jako blondynka” – przeogromne zdjęcie ślicznej, próżnej kobiety wyzierało z reklam w gazetach, czasopiśmie i drogeriach. W całej Ameryce trzy spośród dziesięciu kobiet farbowały włosy na blond. Zajadały się metrecalem, zamiast normalnie jeść, żeby przybrać kształty szczupłych, młodych modelek. Klienci kupujący w dużych domach towarowych twierdzili, że od 1939 roku Amerykanki zeszuplały o trzy, cztery rozmiary. „Kobiety zdecydowały się dopasować do ubrań zamiast na odwrót” – jak stwierdził pewien klient.

Architekci wewnątrz projektowali kuchnie ozdobione mozaikami i oryginalnymi obrazami, ponieważ dla kobiet kuchnia na powrót stała się centrum ich życia. Domowe krawiectwo przerodziło się w biznes, który przynosił krociowe zyski. Wiele kobiet przestało wychodzić z domu, ograniczając swoje wyjścia wyłącznie do pójścia na zakupy, odwiezienia dzieci do szkoły i na zajęcia pozalekcyjne lub asystowania mężowi podczas spotkań towarzyskich. Amerykańskie dziewczęta dorastały, nigdy nie pracując poza domem. Pod koniec lat pięćdziesiątych dostrzeżono niespodziewanie pewne socjologiczne zjawisko: choć jedna trzecia Amerykanek pracowała zawodowo, to większość nie była jednak młoda i mało która robiła karierę. Były to przeważnie mężatki pracujące na pół etatu jako sprzedawczynie lub sekretarki po to, by ich mężowie mogli skończyć studia, synowie pójść do college’u lub by pomóc w spłacie hipoteki domu; albo były to wdowy, które musiały zarabiać na utrzymanie rodziny. Z roku na rok coraz mniej kobiet podejmowało pracę zawodową. Brak pielęgniarek, pracowników socjalnych, nauczycieli dał się we znaki prawie w każdym amerykańskim mieście. Naukowcy, zaniepokojeni przewagą, jaką Związek Radziecki osiągnął w wyścigu zbrojeń, stwierdzili, że mar-

notrawiony potencjał intelektualny kobiet jest największym bogactwem Ameryki. Dziewczęta nie chciały jednak studiować fizyki, gdyż było to „niekobiece” zajęcie. Pewna studentka nie przyjęła stypendium naukowego na uniwersytecie Johna Hopkinsa, gdyż zatrudniła się w biurze nieruchomości. Jak sama przyznała, pragnęła tylko tego, czego pragnie każda amerykańska dziewczyna – wyjść za męża, mieć czworo dzieci i mieszkać w ładnym domu na przedmieściach.

Wizja pani domu mieszkającej na przedmieściach była marzeniem młodych Amerykanek, a ponoć także obiektem zawiści kobiet na całym świecie. Amerykańska pani domu – uwolniona dzięki zdobyczom nauki i sprzętom gospodarstwa domowego usprawniającym pracę od mordęgi domowej harówki, niebezpieczeństw związanych z porodem i chorob, na które narażona była jej babka – była zdrowa, piękna, wykształcona, zajęta wyłącznie mężem, dziećmi i domem. Była prawdziwie spełnioną kobietą, pełniąc funkcję pani domu i matki, dzięki czemu stawiała się powszechnie szanowaną, równoprawną partnerką mężczyzny w jego męskim świecie. Mogła swobodnie wybierać samochody, stroje, sprzęty gospodarstwa domowego, supermarkety; miała to wszystko, o czym zawsze marzyły kobiety.

W ciągu piętnastu lat po zakończeniu drugiej wojny światowej ta mistyka kobiecego spełnienia stała się cenionym, coraz mocniej ugruntowyjącym się źródłem współczesnej kultury amerykańskiej. Miliony kobiet wiodły życie jak na tym uroczym obrazku przedstawiającym amerykańską panią domu mieszkającą na przedmieściach: całowały męża na do widzenia na progu domu, zawoziły dzieciaki do szkoły wielkim autem, z uśmiechem froterowały nieskazitelnie czystą posadzkę w kuchni nową elektryczną froterką. Same piekły chleb, szyły ubrania sobie i dzieciom, ich nowe pralki i suszarki były włączone na okrągło. Zmieniały pościel nie raz, ale dwa razy w tygodniu, chodziły popołudniami na kursy wyplatania dywaników i głęboko współczuły swym biednym, sfrustrowanym matkom, którym marzyła się kariera zawodowa. Ich jedynym marzeniem była rola idealnej żony i matki; ich największą ambicją – mieć pięcioro dzieci i ładny dom, walczyły wyłącznie o to, by znaleźć i zatrzymać przy sobie męża. Nie zaprzętały sobie głowy niekobiecymi problemami świata, który rozciągał się za progiem ich domu; chciały, aby to mężczyźni podejmowali najważniejsze decyzje. Chłubiły się rolą, która im jako kobietom przypadła w udziale, z dumą wpisując w rubryce „zawód”: „gospodyni domowa”.

Od ponad piętnastu lat słowa adresowane do kobiet, rozmowy, które toczyły, podczas gdy ich mężowie siedzieli w drugim kącie pokoju, rozprawiając o sprawach zawodowych, polityce czy opróżnianiu szamba, dotyczyły wyłącznie problemów z dziećmi oraz tego, jak uszczęśliwić męża, jak pomóc dzieciom w szkole, jak przyrządzić kurczaka czy uszyć pokrowce na meble. Nikt nie spierał się o to, czy kobiety są gorsze, czy lepsze od mężczyzn; po prostu były inne. Takie słowa jak „emancypacja” czy „kariera” brzmiały obco i budziły zażenowanie; od lat już nikt ich nie wymawiał. Gdy Francuzka Simone de Beauvoir wydała książkę *Druga płeć*¹, jeden z amerykańskich krytyków stwierdził, że najwidoczniej „nie ma ona pojęcia o życiu”, a poza tym pisała przecież o Francuzkach. W Ameryce „problem kobiety” dawno już został rozwiązany.

Jeżeli w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych kobieta miała jakiś problem, wiedziała, że to z nią lub z jej małżeństwem musiało być coś nie tak. Inne kobiety – myślała – były przecież zadowolone ze swojego życia. Co z niej za kobieta, skoro nie odczuwa owego tajemniczego spełnienia, pastując podłogę w kuchni? Tak bardzo wstydziła się przyznać do braku satysfakcji, że nie miała pojęcia, iż wiele kobiet podziela jej odczucia. Gdy próbowała zwierzyć się ze swych rozterek mężowi, nie rozumiał, o co jej chodzi. W istocie sama tego nie pojmowała. Przez ponad piętnaście lat kobietom w Ameryce trudniej było mówić o tym problemie niż o seksie. Nawet psychoanalitycy nie potrafili określić, na czym on polega. Kiedy kobieta zgłaszała się do psychiatry po pomoc, zazwyczaj mówiła: „Jest mi potwornie wstyd” lub: „Jestem pewnie beznadziejną neurotyczką”. „Nie mam pojęcia, co dolega współczesnym kobietom” – z niechęcią przyznał pewien psychiatra z przedmieścia. „Wiem tylko, że coś im dolega, ponieważ większość moich pacjentów stanowią kobiety. Lecz ich problem nie dotyczy seksualności”. Większość kobiet, które borykały się z tym problemem, nie korzystała jednak z pomocy psychoanalityka. „Naprawdę nic się nie dzieje” – wmawiały sobie. „Nie ma żadnego problemu”.

Pewnego kwietniowego ranka 1959 roku usłyszałam, jak matka czwórki dzieci, pijąc kawę w towarzystwie czterech innych matek na podmiejskim osiedlu oddalonym o piętnaście mil od Nowego Jorku, szepnęła tonem pełnym desperacji: „ten problem”. Pozostałe kobiety wiedziały od

¹ Simone de Beauvoir, *Druga płeć*, tłum. Gabriela Mycielska, Maria Leśniewska, Wydawnictwo Jacek Santorski & Co, Warszawa 2003 (przyp. tłum.).

razu, bez słów, że nie mówi o problemie z mężem, dziećmi czy domem. Nagle wszystkie sobie uświadomiły, że ten problem – problem, który nie ma nazwy – dotyczy także ich. Z wahaniem zaczęły o tym rozmawiać. Później, kiedy odebrały dzieci z przedszkola i zawiozły do domu na popołudniową drzemkę, dwie z nich rozplakały się, poczuwszy autentyczną ulgę, kiedy uświadomiły sobie, że nie są już same.

Stopniowo zaczęłam sobie uświadamiać, że problem, który nie ma nazwy, dotyka niezliczonej rzeszy kobiet w Ameryce. Pisując artykuły do magazynów kobiecych, często przeprowadzałam wywiady z kobietami, w których mówiły o ich problemach z dziećmi, kłopotach małżeńskich, domowych czy trudnościach związanych z życiem na przedmieściach. Po jakimś czasie zaczęłam dostrzegać charakterystyczne oznaki świadczące o tym, że mam do czynienia z tym problemem. Te same sygnały docierały do mnie, kiedy odwiedzałam podmiejskie rancza czy apartamenty na Long Island, w New Jersey i Hrabstwie Westchester, kolonialne domy w niewielkiej mieścinie w stanie Massachusetts, dostrzegałam je na patio w Memphis, w apartamentach podmiejskich i tych położonych w centrum miasta, a także w salonach domów znajdujących się na Środkowym Zachodzie. Czasami wyczuwałam istnienie tego problemu – nie dlatego, że byłam reporterką, ale zwykłą panią domu z przedmieścia, bowiem w owym czasie sama zajmowałam się wychowaniem trójki dzieci, mieszkając w Hrabstwie Rockland w stanie Nowy Jork. Echa tego problemu pobrzmiwały w akademikach i na wpół prywatnych oddziałach położniczych, podczas zebrań komitetów rodzicielskich i uroczystych lunchach organizowanych przez Ligę Wyborczyń, podczas przyjęć koktajlowych na przedmieściach, w poczekalniach dworcowych lub w strzępach rozmów, które docierały do mnie u Schraffa. Słowa, które układały się w pewną całość, słyszałam z ust kobiet podczas leniwych popołudni, kiedy dzieciaki były w szkole, albo podczas cichych wieczorów, kiedy mężowie do późna pracowali – wydaje mi się, że ich sens zrozumiałam przede wszystkim dlatego, że byłam kobietą, na długo przedtem, zanim pojęłam, że mają szersze społeczne i psychologiczne następstwa.

Na czym w takim razie polegał ów nienazwany problem? Jakimi słowami kobiety próbowały go opisać? Czasami jakaś kobieta mówiła: „Czuję się w jakimś sensie pusta... niespełniona” albo: „Czuję się, jakbym w ogóle nie

istniała". Niektóre próbowały zapomnieć o udręce, sięgając po środki uspokajające. Czasami myślały, że problem dotyczy męża lub dzieci albo że właściwie wystarczy tylko zmienić umeblowanie w domu, przeprowadzić się do lepszej dzielnicy, znaleźć sobie kochanka lub urodzić jeszcze jedno dziecko. Czasami szły do lekarza z objawami, których nie potrafiły opisać: „Czuję się zmęczona... potwornie złościę się na dzieci, złościę się tak bardzo, że aż mnie to przeraża... Czuję, że zaraz się rozplaczę bez żadnego powodu”. (Pewien lekarz z Cleveland nazwał to „syndromem gospodyni domowej”). Wiele kobiet opowiadało o wielkich krwawiących bąblach, które pękały im na rękach i dłoniach. „Nazywam to plagą gospodyń domowych” – powiedział pewien lekarz rodzinny z Pensylwanii. „Ostatnimi czasy często widzę podobne objawy u młodych kobiet mających czworo, pięcioro i sześcioro dzieci, które zagrzebały się w pieluchach. Przyczyną tej dolegliwości nie są żadne detergenty i nie leczy się jej kortyzonem”.

Czasami jakaś kobieta zwierzała mi się, że udręka staje się nie do zniesienia, wtedy wybiega z domu i godzinami spaceruje po ulicach lub zostaje w domu i płacze, albo dzieci opowiadają dowcip, a ona się nie śmieje, ponieważ nie słyszy, co się do niej mówi. Rozmawiałam z kobietami, które wiele lat spędziły na kozetce u psychoanalityka, starając się „dopasować do kobiecej roli”, próbując pokonać wewnętrzny opór i blokadę przed „spełnieniem się w roli żony i matki”. Nuta desperacji, jaką słyszałam w ich głosie, i wyraz oczu był taki sam jak u innych kobiet, które były przekonane, że nie mają żadnego problemu, mimo iż czuły tę dziwną rozpacz.

Pewna matka czwórki dzieci, która w wieku dziewiętnastu lat porzuciła studia w college'u, żeby wyjść za mąż, wyznała:

„Staralam się robić to wszystko, co powinna robić kobieta – miałam swoje hobby, robiłam przetwory, pielęgnowałam sąsiedzkie więzi, udzielałam się w różnych klubach, prowadziłam zebrania komitetów rodzicielskich. Potrafię to wszystko i lubię to robić, ale tu nie ma miejsca na myślenie o tym, kim się jest. Nigdy nie miałam ambicji związanych z karierą zawodową. Chciałam jedynie wyjść za mąż i mieć czworo dzieci. Kocham dzieciaki, Boba i swój dom. Nie ma żadnego problemu, który można by jakoś nazwać. Ale czuję się nieszczęśliwa. Czuję się tak, jakbym nie miała żadnej osobowości. Jestem służącą wydającą posiłki, zakładającą śpioszki, ścielącą łóżka; jestem kimś, kogo można wezwać, kiedy się czegoś chce. Ale kimże właściwie jestem?”.

23-letnia matka w niebieskich dżinsach stwierdziła:

„Sama sobie zadaję pytanie, dlaczego jestem niezadowolona. Jestem przecież zdrowa, mam śliczne dzieci, cudowny, nowy dom, dość pieniędzy. Mój mąż jako inżynier elektronik ma przed sobą świetlaną przyszłość. On nie miewa takich nastrojów. Mówi, że może powinnam pojechać na wakacje, proponuje weekendowy wypad do Nowego Jorku. Ale to przecież nie o to chodzi. Zawsze byłam przekonana, że wszystko powinniśmy robić razem. Nie potrafię tak sama siedzieć i czytać książkę. Kiedy dzieci śpią i mam godzinkę dla siebie, po prostu chodzę po domu, czekając, aż się obudzą. Zawsze podążam za tłumem. Od małego zawsze był ktoś, kto się mną zajmował lub czym byłam zajęta: rodzice, studia, miłość, dziecko, przeprowadzka do nowego domu. Potem budzisz się pewnego ranka, a tu okazuje się, że już nic nie sprawia ci radości”.

Pewna młoda mężatka z osiedla na Long Island powiedziała:

„Chyba za dużo śpię. Nie wiem, dlaczego jestem tak potwornie zmęczona. Ten dom nie jest tak trudny w utrzymaniu jak mieszkanie z zimną wodą, w którym mieszkaliśmy, kiedy pracowałam. Dzieci są w szkole cały dzień. To nie z powodu pracy jestem zmęczona. Po prostu nie czuję, że żyję”.

W 1960 roku nienazwany problem wybuchł ze zdwojoną siłą, burząc wizerunek szczęśliwej amerykańskiej pani domu. W reklamach telewizyjnych urocze panie domu nadal uśmiechały się promiennie nad miednicą z mydlinami, a w artykule reklamowanym na okładce magazynu „Time”, zatytułowanym *Żona z przedmieść, amerykański fenomen*, protestowano: „Zbyt dobrze im się powodzi... żebyśmy mogli uwierzyć, że są nieszczęśliwe”. Nagle jednak zaczęło się ukazywać coraz więcej artykułów o tym, że amerykańska pani domu jest naprawdę nieszczęśliwa – od artykułów w „New York Timesie” i „Newsweeku”, po „Good Housekeeping” i programy telewizyjne emitowane w stacji CBS (*Uwięziona pani domu*), choć niemal każdy, kto się zajmował tym fenomenem, znajdował jakiś pretekst pozwalający mu z lekceważeniem traktować ów problem. Przyczyn doszukiwano się zatem w niekompetencji fachowców, którzy nie potrafili naprawić sprzętów gospodarstwa domowego („New York Times”), albo w zbyt dużych odległościach, które trzeba pokonywać, żeby z przedmieść dowieźć dzieci do szkoły („Time”), albo w zbyt częstych zebraniach komitetów rodzicielskich („Redbook”). Niektórzy twierdzili, że przyczyną jest problem stary jak świat – edukacja: coraz więcej kobiet zdobywa wykształcenie, co

naturalnie unieszczęśliwia je, kiedy muszą wejść w rolę pani domu. „Droga, jaką trzeba pokonać od Freuda do lodówki marki Frigidaire, od Sofoklesa do poradników Spocka, okazała się wyboista” – donosił „New York Times” (28 czerwca 1960). „Wiele młodych kobiet – acz z pewnością nie wszystkie – które dzięki wykształceniu zetknęły się ze światem idei, mają poczucie, że się duszą w domach. Uważają, że rutyna, której teraz podlega ich życie, nie ma związku z wykształceniem, które odebrały. Tak jak więźniowie, czują się wyrzucone poza nawias społeczeństwa. W zeszłym roku problem wykształconej pani domu był tematem wielu przemówień wygłoszonych przez zaniepokojone rektorki żeńskich college’ów, które w związku z napływającymi skargami twierdzą, że szesnaście lat nauki akademickiej daje realistyczne przygotowanie do podjęcia roli żony i matki”.

Pani domu była obiektem powszechnego współczucia. („Niczym schizofreniczka o dwóch obliczach... dawniej pisała referat o poezji grobów, teraz pisze notatki dla mleczarza. Dawniej określała temperaturę wrzenia kwasu siarkowego, teraz sama gotuje się ze złości na fachowca, który spóźnia się z naprawą. (...) Pani domu to często tylko krzyki i łzy. (...) Jak się zdaje, nikt – a już najmniej ona sama – nie docenia osoby, którą się stała, zmieniając się z poetki w sekutnicę”).

Specjaliści od ekonomiki gospodarstwa domowego proponowali bardziej realistyczne przygotowanie do roli pani domu w formie kursów z gospodarstwa domowego w szkole średniej. Pedagodzy wykładający w college’ach doradzali natomiast stworzenie większej liczby grup dyskusyjnych na temat prowadzenia domu i życia rodzinnego, żeby przygotować kobiety do przystosowania się do warunków życia domowego. W magazynach popularnych ukazało się sporo artykułów przedstawiających „pięćdziesiąt osiem sposobów na uatrakcyjnienie małżeństwa”. Nie było miesiąca, żeby nie pojawiła się nowa książka jakiegoś psychiatry lub seksuologa, który oferował kobietom fachowe porady, jak czerpać większą satysfakcję z życia seksualnego.

Pewien humorysta zażartował sobie w jednym z numerów „Harper’s Bazar” (lipiec 1960), że problem można by rozwiązać, odbierając kobietom prawo głosu. („W czasach sprzed XIX Poprawki² Amerykanki były łagodne, żyły sobie pod kloszem, były pewne swojej pozycji w społeczeństwie

² XIX Poprawka do Konstytucji Amerykańskiej, uchwalona w 1920 roku, gwarantowała kobietom prawo głosu (przyp. tłum.).

amerykańskim. Podejmowanie decyzji politycznych pozostawiały mężom, a oni z kolei nie wtrącali się w sprawy dotyczące rodziny. Dzisiaj kobiety muszą decydować zarówno w sprawach rodziny, jak i polityki, co jest ponad ich siły”).

Wielu pedagogów całkiem serio proponowało, aby zaprzestać przyjmować kobiety na czteroletnie studia do college’ów i na uniwersytety – w dobie pogłębiającego się kryzysu w szkolnictwie wyższym wykształcenie, które było zupełnie nieprzydatne dziewczętom pełniącym obowiązki pani domu, było zdecydowanie bardziej potrzebne chłopcom, tak aby mogli sprostać wyzwaniom ery atomu.

Istniejący problem lekceważono, proponując drastyczne rozwiązania, których nikt nie traktował poważnie. (Pewna autorka zaproponowała w „Harper’s Bazar”, aby kobietom wyznaczono obowiązkową służbę w roli pomocy pielęgniarских i opiekunek dziecięcych.) Na osłodę dodawano staroświeckie panaceum: „miłość jest ich odpowiedzią”, „jedyną odpowiedzią jest duchowa pomoc”, „sekretnie spełnienia – dzieci”, „prywatnie oznacza intelektualne spełnienie”, „żeby wyleczyć ten ból ducha – najprostszą receptą jest poddanie się woli Boga”³.

Problem lekceważono, próbując wmówić paniom domu, że nie zdają sobie sprawy z tego, ile mają szczęścia – same są sobie szefem, nie są rozliczane z każdej minuty, żaden z pracowników niższego szczebla nie czyha na ich posadę. A nawet jeśli nie są szczęśliwe, to czy sądzą, że mężczyźni są szczęśliwi w tym świecie? Czy rzeczywiście każda z nich w głębi ducha marzy o tym, by być mężczyzną? Czy naprawdę nie wiedzą, ile mają szczęścia, że są kobietami?

Ostatecznie rozprawiono się z problemem, stwierdzając z lekceważeniem, że nie ma dla niego żadnego rozwiązania: na tym właśnie polega bycie kobietą, a zatem co jest nie tak z amerykańskimi kobietami, że nie potrafią z wdziękiem zaakceptować swojej roli? Jak donosił „Newsweek” (7 marca 1960 roku):

„[Amerykańska pani domu – przyp. tłum.] jest niezadowolona z tego wszystkiego, o czym kobiety z innych krajów mogłyby tylko pomarzyć. Jej niezadowolenie jest głębokie, przemożne i obojętne na powierzchowne remedia, które znajdują się w zasięgu ręki. (...) Armia profesjonalnych bada-

³ Zob. 25. numer „Good Housekeeping” z maja 1960 roku, *The Gift of Self*, zbiór autorstwa Margaret Mead, Jessamyn West i in.

czy już nakreśliła mapę głównych źródeł problemu. (...) Od początku świata kobiecy cykl określał i ograniczał rolę kobiety. Freudowi przypisywano powiedzenie: «Anatomia determinuje los kobiety». Jakkolwiek żadna grupa kobiet nie narzuciła sobie tych naturalnych ograniczeń w tak dużym stopniu jak amerykańska żona, wydaje się, że w dalszym ciągu nie jest w stanie przyjąć ich z wdziękiem. (...) Młoda matka, mająca śliczną rodzinę, czarująca, utalentowana, inteligentna, jest skłonna umniejszać swoją rolę, mówiąc przeproszającym tonem: «Co ja takiego robię? Właściwie nic. Jestem tylko panią domu». Wydaje się, że to właśnie wykształcenie upowszechniło wśród kobiet ten wzór zachowania, zgodnie z którym wartością jest wszystko z wyjątkiem własnej wartości...».

Musi się zatem pogodzić z tym, że „fakt, iż Amerykanki są obecnie tak nieszczęśliwe, należy zawdzięczać zwycięskiej walce o prawa kobiet”, dostosować się do tej sytuacji i mówić tak, jak pewna szczęśliwa pani domu, którą znalazł „Newsweek”: „Powinnyśmy cieszyć się cudowną wolnością, którą wszystkie teraz mamy, i być dumne z naszego życia. Skończyłam studia, pracowałam zawodowo, ale zajmowanie się domem, dziećmi, rodziną to rola dająca największe zadowolenie i satysfakcję. (...) Moja matka nigdy nie mieszała się w sprawy ojca (...) nie mogła wyjść z domu i choćby na chwilę zostawić dzieci. Ja natomiast mogę robić to samo, co mój mąż; mogę mu towarzyszyć w podróżach służbowych i służbowych spotkaniach towarzyskich”.

Proponowana alternatywa była wyborem, z którego niewiele kobiet mogło skorzystać. Jak współczująco pisał „New York Times”: „Wszystkie przyznają się czasami do wielkiej frustracji spowodowanej brakiem odrobiny prywatności, fizycznym zmęczeniem, rutyną rodzinnego życia, ograniczeniami, jakie się z nim wiążą i zamknięciem. A jednak żadna nie porzuciłaby domu i rodziny, gdyby mogła jeszcze raz wybierać”. „Redbook” komentował: „Niewiele kobiet chciałoby powiedzieć mężowi, dzieciom, sąsiadom pocałujcie mnie w nos i zajmijcie się własnymi sprawami. Te, które by się na ten krok odważyły, są być może utalentowanymi jednostkami, lecz niezmiernie rzadko są kobietami sukcesu”.

Rok, w którym niezadowolenie Amerek wezbrało ponad miarę, był znamienny także dlatego, że – jak donosił magazyn „Look” – ponad 21 milionów Amerek, które są pannami, wdowami lub rozwódkami, nawet skończywszy pięćdziesiąt lat, nie rezygnuje ze swej szaleńczej, desperowa-

nej pogoni za mężczyzną. Przy czym łapanie męża zaczyna się dość wcześnie – 70% Amerek wychodzi dziś za mąż przed ukończeniem 24. roku życia. Śliczna dwudziestopięcioletnia sekretarka w ciągu pół roku zmieniła życia. Śliczna dwudziestopięcioletnia sekretarka w ciągu pół roku zmieniła trzydzieści pięć posad, łudząc się, że znajdzie w końcu męża. Kobiety przeżyły się z jednego politycznego klubu do drugiego, chodziły na wieczorne kursy z księgowości czy żeglarstwa, uczyły się grać w golfa lub jeździć na nartach, kolejno zapisywały się do wielu kościołów, udawały się na samotne eskapady do barów w swej niestrudzonej pogoni za mężczyzną.

Spośród tysięcy kobiet korzystających obecnie z prywatnej psychoterapii w Stanach Zjednoczonych mężatki czują się rozczarowane małżeństwem, zaś panny cierpią na lęk lub depresję. To zastanawiające, jak wielu psychiatrów stwierdziło na podstawie własnego doświadczenia, iż niezamężne pacjentki są szczęśliwsze od mężatek. Zaglądając przez szparę w uchylonych drzwiach do tych uroczych domów położonych na przedmieściach, można było dostrzec tysiące amerykańskich pań domu cierpiących w samotności, samotnie borykających się z problemem, o którym nieoczekiwanie wszyscy nagle zaczęli rozprawiać, przyjmując go jako rzecz oczywistą, niczym jeden z tych nierzeczywistych problemów w amerykańskim życiu, którego nigdy nie da się rozwiązać – jak bomba wodorowa. W 1962 roku udręka uwięzionych w domowych pieleszach amerykańskich pań domu stała się problemem, o którym rozprawiał już cały naród. Temu zagadnieniu poświęcano całe numery magazynów, łamy gazet, podręczników i lekkie, szkoleniowe konferencje oraz debaty telewizyjne.

A mimo to większość mężczyzn i część kobiet w dalszym ciągu nie uświadamiała sobie, że ten problem istniał naprawdę. Jednak ci wszyscy, którzy uczciwie się z nim zmierzili, wiedzieli, że wszystkie te sztuczne remedia, ociekające współczuciem dobre rady, słowa otuchy i słowa potępienia w jakimś sensie sprawiały, że problem ten stawał się coraz bardziej nierzeczywisty. Słysząc było zewsząd gorzki śmiech Amerek. Podziwiano je, zazdroszczono im, litowano się nad nimi, snuto na ich temat rozmaite teorie, aż miały tego wszystkiego serdecznie dość, proponowano drastyczne rozwiązania lub głupawe alternatywy, których nikt nie brał na poważnie. Otrzymały już chyba wszelkie możliwe rady od coraz liczniejszej armii doradców małżeńskich i specjalistów doradzających w sprawach wychowania dzieci, psychoterapeutów, salonowych psychologów, którzy radzili im, jak przystosować się do roli pani domu. W połowie XX wieku nie było innej

drogi dla Amerykanek, która pozwoliłaby im osiągnąć spełnienie. Większość z nich przystosowała się do wyznaczonej im roli, cierpiała lub ignorowała ów nienazwany problem. Kobietom wydawało się, że będzie dla nich mniej bolesne, jeśli zignorują ów dziwny, niezadowolony głos, jaki słyszały w głębi ducha.

Nie sposób jednak dłużej ignorować tego głosu, lekceważyć rozpacz wielu Amerykanek. Nie na tym przecież polega bycie kobietą – nieważne, co mają na ten temat do powiedzenia eksperci. Ludzkie cierpienie ma swoje przyczyny; może ich po prostu jeszcze nie odkryto, nie postawiono bowiem właściwych pytań bądź nie naciskano w tej sprawie wystarczająco mocno. Nie przyjmuję do wiadomości odpowiedzi, że problem nie istnieje, ponieważ Amerykanki opływają w luksusy, o których kobietom żyjącym w innych epokach bądź w innych krajach nawet się nie śniło. Dziwna nowość owego problemu wynika między innymi stąd, że nie można go rozpatrywać w kategoriach materialnych problemów, które od wieków trapiły ludzkość: biedy, chorób, głodu i chłodu. Dotknięte nim kobiety cierpią głód, którego nie da się zaspokoić jedzeniem. Borykają się z nim kobiety, których mężowie to ledwo wiążący koniec z końcem stażyści czy urzędnicy w kancelariach prawnych, ale także żony zamożnych lekarzy i prawników; kobiety, których mężowie są zwykłymi pracownikami z rocznym dochodem rzędu 5 tysięcy dolarów i kierownikami zarabiającymi 50 tysięcy rocznie. Problem nie zrodził się z materialnych niedostatków; być może kobiety cierpiące biedę, głód czy choroby nawet go nie odczuwają. Z kolei te, które sądzą, że rozwiąże go poprawa statusu materialnego, większy dom, drugi samochód, przeprowadzka do lepszej dzielnicy, często przekonują się, że wtedy jest jeszcze gorzej.

Nie da się już dzisiaj twierdzić, że winę za ten stan rzeczy ponosi utrata kobiecości: że edukacja, niezależność i równość z mężczyznami pozbawiły Amerykanki kobiecości. Wielokrotnie słyszałam, jak kobiety próbują zagłuszyć w sobie ów głos niezadowolenia, ponieważ nie pasuje on do urokliwego obrazka kobiecości, który serwują eksperci. W istocie sędzę, że to pierwszy trop do uchylenia rąbka tajemnicy: tego problemu nie da się zrozumieć, odwołując się do powszechnie przyjętych kategorii opisowych, które służyły naukowcom do opisu kobiet, lekarzom do ich leczenia, psychoterapeutom do udzielania porad, a pisarzom do pisania na ich temat. Kobiety, które

odczuwają ten problem, które w głębi ducha słyszą ów głos niezadowolenia, przez całe swoje życie poszukiwały kobiecego spełnienia. Nie należą do nich kobiety pracujące zawodowo (choć mogą mieć inne problemy); są to kobiety, których największą ambicją było małżeństwo i dzieci. O niczym innym nie marzyły najstarsze z nich – córki amerykańskiej klasy średniej. Kobiety czterdziesto- i pięćdziesięciokilkuletnie, które niegdyś miały inne marzenia, wyrzekły się ich i z radością rzuciły się w wir życia pań domu. Z kolei najmłodsze pokolenie żon i matek w ogóle nie miało innych marzeń – marzyły już tylko o jednym. To one porzucają liceum i studia, żeby wyjść za mąż, albo zabijają czas w pracy, która ich w ogóle nie interesuje, do momentu zamążpójścia. Kobiety te są bardzo „kobiece” w zwykłym sensie tego słowa, a mimo to cierpią katusze.

Czy kobiety, które skończyły studia, które dawniej miały inne marzenia oprócz zajmowania się domem i dziećmi, cierpią najbardziej? Zdaniem ekspertów rzeczywiście tak jest, posłuchajmy jednak głosu czterech kobiet:

„Moje dni są wypełnione pracą i nudą. Nie robię nic innego, tylko sprzątam. Wstaję o ósmej – przygotowuję śniadanie, potem zmywam naczynia, gotuję obiad, po południu piorę i sprzątam. Potem kolacja, zmywanie po kolacji, mam kilka minut spokoju, zanim położę dzieci spać. (...) Tak mi upływa dzień. Jest taki sam jak dni innych żon. Monotonia i nuda. Najmilsze chwile to zabawa z dziećmi”.

„O rany, jak spędzam czas? Hm, wstaję o szóstej. Ubieram syna, daję mu śniadanie. Potem zmywam naczynia, kąpię i karmię niemowlę. Potem jest lunch, a kiedy dzieci śpią w ciągu dnia, szyję, ceruję albo prasuję i robię to wszystko, czego nie zdążyłam zrobić przed południem. Potem przygotowuję kolację dla rodziny, mąż ogląda telewizję, kiedy zmywam naczynia. Gdy już położę dzieci spać, układam włosy i idę do łóżka”.

„Trudno jest być ciągle tylko mamusią dzieci albo żoną pastora i ani przez chwilę nie być sobą”.

„Gdyby sfilmować, jak wygląda typowy poranek u mnie w domu, byłaby to jedna ze starych komedii braci Marx. Zmywam naczynia, popędzam starsze dzieciaki do szkoły, przekopuję ziemię w ogródku pod chryzantemy, wbiegam do domu, żeby zadzwonić w sprawie zebrania komitetu rodzi-

cielskiego, pomagam najmłodszemu dziecku zbudować domek z klocków, piętnaście minut poświęcam na przewertowanie gazety, żeby mieć jako taką orientację, potem truchtem lecę do pralni – do prania, które robię trzy razy w tygodniu, idzie tyle ciuchów, że można by nimi obdzielić na cały rok jakąś wioskę w buszu. Potem można mnie już odwieźć do psychiatryka. Niewiele z tego, co robię w ciągu dnia, jest w ogóle potrzebne albo istotne. Przez cały dzień miotam się, czując zewnętrzną presję. A mimo to uważam, że jestem jedną z bardziej zrelaksowanych gospodyń domowych w sąsiedztwie. Wiele moich przyjaciółek jest jeszcze bardziej rozgorączkowanych. W ciągu minionych sześciu lat zatoczyłyśmy pełne koło, amerykańska pani domu na powrót została uwięziona w klatce. Nawet jeśli ową klatką jest dziś nowoczesny, przeszklony, jednopiętrowy, wyłożony dywanami dom w stylu ranczerskim lub wygodny współczesny apartament, sytuacja jest nie mniej bolesna niż w czasach, kiedy jej babka zasiadała z tamborkiem do haftowania w pozłacanym, wykładanym pluszem salonie i mamrotała coś z gniewem o prawach kobiet⁴.

Pierwsze dwie kobiety w ogóle nie podjęły nauki w college'u. Mieszkają na osiedlach w Levittown, w stanie New Jersey, i w Tacoma, w stanie Washington; wywiad przeprowadził z nimi zespół socjologów badających warunki życia żon robotników⁴. Trzecia z cytowanych kobiet, żona pastora, napisała w ankiecie z okazji piętnastego zjazdu koleżeńskieg absolwentów jej college'u, że nigdy nie miała ambicji zawodowych, teraz jednak żałuje, że nie było inaczej⁵. Czwarta, która zrobiła doktorat z antropologii, jest dziś panią domu z Nebraski, matką trójki dzieci⁶. Ich

⁴ Lee Rainwater, Richard P. Coleman, Gerald Handel, *Workingman's Wife*, New York 1959.

⁵ Betty Friedan, *If One Generation Can Ever Tell Another*, [w:] „Smith Alumnae Quarterly”, Northampton Mass., zima 1961. Po raz pierwszy uświadomiłam sobie ów nienazwany problem oraz jego potencjalny związek z tym, co nazwałam „mystyką kobiecości”, w 1957 roku, kiedy opracowywałam szczegółową ankietę i przeprowadziłam badania wśród moich koleżanek z roku, piętnaście lat po otrzymaniu dyplomu. Ankieta ta została później wykorzystana przez absolwentki Radcliffe oraz innych żeńskich college'ów, gdzie uzyskano podobne rezultaty.

⁶ Jhan and June Robbins, *Why Young Mothers Feel Trapped*, [w:] „Redbook”, wrzesień 1960.

słowa zdają się świadczyć o tym, że kobiety zajmujące się domem i dziećmi, niezależnie od wykształcenia, które uzyskały, odczuwają tę samą desperację i rozpacz.

Faktem jest, że dziś nikt się nie burzy przeciwko „prawom kobiet”, mimo iż coraz więcej kobiet podejmuje studia w college'u. Z ostatnich badań przeprowadzonych wśród wszystkich absolwentek, które ukończyły Barnard College⁷, wynika, że znacząca większość kobiet, które wcześniej uzyskały dyplom tej uczelni, obwinia swoje wykształcenie o to, że za jego sprawą zaczęły domagać się „praw”, późniejsze roczniki absolwentek skarżą się, że edukacja rozbudziła w nich marzenia o karierze zawodowej, zaś kobiety, które niedawno ukończyły college, wskazują, że to z powodu studiów powzięły przekonanie, że nie wystarczy być żoną i matką zajmującą się wyłącznie domem; nie chciały mieć poczucia winy, jeśli nie czytały książek lub nie brały udziału w życiu sąsiedzkim. Skoro jednak to nie edukacja jest przyczyną tego problemu, fakt, że wykształcenie wywołuje coraz większy wewnętrzny zamęt u kobiet, które skończyły studia, może być jakimś tropem.

Jeśli tajemnicą kobiecego spełnienia jest posiadanie dzieci, to jeszcze nigdy tak wiele kobiet, korzystających z wolności wyboru, nie miało tylu dzieci, rodząc je w ciągu zaledwie kilku lat i godząc się na to tak chętnie. Jeśli odpowiedzią jest miłość, to jeszcze nigdy kobiety nie szukały miłości z taką determinacją. Coraz częściej pojawia się jednak podejrzenie, że być może ów problem nie ma natury seksualnej, mimo iż w jakimś sensie musi mieć coś wspólnego z seksem. Wielu lekarzy, z którymi rozmawiałam, wskazywało, że w relacjach małżeńskich pojawiły się nowe problemy seksualne – małżonki odczuwają wielki głód seksualny, którego mężowie nie są w stanie zaspokoić. „Uczyniliśmy z kobiety istotę na wskroś seksualną” – powiedział pewien lekarz psychiatra z poradni małżeńskiej Margaret Sanger⁸. „Nie ma innej tożsamości poza byciem żoną i matką. Sama nie wie, kim właściwie jest. Całymi dniami wyczekuje, aż mąż wróci z pracy do domu i tchnie w nią nowe życie. Natomiast dziś okazuje się, że to mąż stracił zainteresowanie seksem. Dla kobiety to musi być straszne

⁷ Marian Freda Poverman, *Alumnae on Parade*, [w:] „Barnard Alumnae Magazine”, lipiec 1957.

⁸ Margaret Sanger (1879–1966) – amerykańska działaczka na rzecz praw kobiet, założycielka pierwszej w USA (Nowy Jork, 1916) kliniki aborcyjnej dla kobiet (przyp. tłum.).

doświadczenie – leżeć co noc u boku męża i czekać, aż sprawi, że poczuje wreszcie, że żyje”. Dlaczego popyt na książki i artykuły z zakresu poradnictwa seksualnego jest dziś tak duży? Najwidoczniej orgazm seksualny, który – jak wynika z badań Kinsey⁹ – jest rozpowszechnionym fenomenem wśród pokoleń współczesnych Amerykanek, nie przyczynił się do rozwiązania tego problemu.

Wręcz przeciwnie, kobiety cierpią na nowe rodzaje nerwic – oraz dręczą je problemy, które nie zostały jeszcze zdiagnozowane jako nerwice – których ani Freud, ani jego uczniowie nie przewidzieli, przejawiające się dolegliwościami fizycznymi, lękami i mechanizmami obronnymi, takimi samymi jak objawy występujące jako skutek stłumienia seksualnego. Ponadto coraz częściej pojawiają się informacje na temat dziwnych nowych problemów występujących u dorastających obecnie pokoleń dzieci, których matki nie opuszczały na krok, wozily na wszystkie zajęcia, pomagały w odrabianiu lekcji – brak wytrzymałości na ból, niemożność poddania się dyscyplinie czy realizacji jakiegokolwiek wytrwałego celu, wyniszczające, potworne znudzenie życiem. Pedagodzy są coraz bardziej zaniepokojeni zależnością od innych, brakiem samodzielności chłopców i dziewcząt, którzy rozpoczynają dziś studia w college’u. „Toczymy nieustanną walkę o to, żeby nasi studenci stali się mężczyznami” – powiedział jeden z dziekanów Uniwersytetu Columbia.

W Białym Domu zorganizowano konferencję na temat pogorszenia się kondycji i tężyzny fizycznej amerykańskich dzieci: czy padły ofiarą nadopiekuńczości? Socjologowie zwrócili uwagę na to, w jak zdumiewający sposób zorganizowane jest życie dzieci mieszkających na przedmieściach: organizuje się dla nich zajęcia popołudniowe, przyjęcia, rozrywkę, zabawę i grupy badawcze. Pewna pani domu z przedmieścia w Portland w stanie Oregon, zastanawiała się, po co dzieciakom z przedmieść drużyny skautów. „Nie mieszkamy w slumsach. Dzieciaki tutaj mają wspaniałe podwórka. Myślę, że ludzie są tak bardzo znudzeni, że organizują dzieciom życie, a potem próbują wszystkich w to wciągnąć. Biedne dzieciaki

⁹ Alfred Kinsey publikował (w 1948 i 1953) dwa raporty dotyczące seksualności mężczyzn i kobiet. Były to pierwsze w historii badania socjologiczne na temat seksu oparte na anonimowych ankietach. Raporty te wywołały burzę w purytańskiej wówczas Ameryce. Więcej w rozdziale 13. niniejszego tomu (przyp. red.).

nie mają ani chwili dla siebie, żeby po prostu czasem poleżeć na kanapie i pomarzyć”.

Czy problem, który nie ma nazwy, może mieć coś wspólnego z domową rutyną, jakiej poddaje się pani domu? Kiedy jakaś kobieta próbuje wyartykułować, na czym ów problem polega, często mówi wyłącznie o codziennym życiu, jakie prowadzi. Cóż takiego jest w tej wyliczance detali związanych z wygodą domowego życia, że wywołuje to uczucie desperacji? Czy kobieta po prostu tkwi w pułapce ogromnych wymagań związanych z rolą współczesnej pani domu, która powinna być żoną, kochanką, matką, pielęgniarzką, konsumentką, kucharką, kierowcą, a także specjalistką od dekoracji wnętrz, opieki nad dzieckiem, remontu, renowacji mebli, żywienia i edukacji jednocześnie? Jej dzień jest podzielony na wiele czynności, kiedy spiesz od zmywarki do pralki, od pralki do telefonu, od telefonu do swojego combi, którym jedzie do supermarketu, zawozi Janka na rozgrywkę Małej Ligi, Anię na lekcje tańca, łapie się za kosiarkę, aż w końcu – ani się obejrzy – jest za kwadrans siódma. Żadnej czynności nie poświęca więcej niż piętnaście minut; nie ma czasu na czytanie książek, wertuje wyłącznie magazyny; a nawet jeśli ma akurat chwilę wolnego czasu, nie potrafi się już na niczym skoncentrować. Pod koniec dnia jest tak straszliwie zmęczona, że czasami to mąż musi położyć dzieci spać.

W latach pięćdziesiątych to straszliwe zmęczenie zmusiło wiele kobiet do szukania porady u lekarza, tak że w końcu jeden z nich postanowił zbadać sprawę. Ku swemu zdziwieniu odkrył, że jego pacjentki cierpiące na „syndrom zmęczenia pani domu” śpią znacznie dłużej, niż potrzeba dorosłemu człowiekowi – prawie dziesięć godzin dziennie – oraz że faktyczna energia, którą wydatkują na obowiązki domowe, nie nadweręża ich potencjału. Stwierdził wobec tego, że prawdziwy problem musi wynikać z czegoś innego – być może z nudy. Niektórzy lekarze kazali wychodzić swoim pacjentkom z domu w ciągu dnia, iść w celach terapeutycznych do kina. Inni przepisywali środki uspokajające. Wiele gospodyń domowych mieszkających na przedmieściach łykało psychotropy w takich ilościach, jakby to były lاندrynki. „Budzisz się rankiem i czujesz, że każdy kolejny dzień będzie równie bezsensowny jak ten. No to łykasz środek na uspokojenie, ponieważ dzięki niemu nie przejmujesz się już tak bardzo, że to wszystko nie ma sensu”.

Bez trudu można zauważyć, co takiego zamyka w potrzasku panią domu mieszkającą na przedmieściach – nieustanne roszczenia dotyczące dyspo-

nowania jej czasem. Ale łańcuchy, którymi przykuta jest do ścian swego więzienia, znajdują się w jej umyśle i duszy. To kajdany wykute z fałszywych wyobrażeń i opacznie interpretowanych faktów, półprawd i fałszywych wyborów. Trudno je dostrzec, a jeszcze trudniej je zerwać.

Jakże kobieta może pojąć całą prawdę o tym, co ją w życiu ogranicza i krępuje? Jak może uwierzyć w ów głos, który słyszy w głębi ducha, będący zaprzeczeniem tradycyjnych, powszechnie przyjętych prawd, zgodnie z którymi dotychczas żyła? A jednak kobiety, z którymi rozmawiałam, które w końcu wsłuchały się w ów wewnętrzny głos, wydają się w jakiś niewiarygodny zupełnie sposób poszukiwać po omacku prawdy, nic sobie nie robiąc z opinii ekspertów.

Sądzę, że eksperci specjalizujący się w wielu dziedzinach od dłuższego czasu trzymali pod mikroskopem cząstki owej prawdy, nawet sobie tego nie uświadamiając. Odkryłam odpryski prawdy w nowych badaniach i teoriach rozwijanych w psychologii, socjologii i biologii, których skutków dla kobiet nikt dotychczas chyba nie analizował. Odkryłam wiele tropów, rozmawiając z lekarzami praktykującymi na przedmieściach, ginekologami, położnikami, lekarzami z klinik dziecięcych, pediatrami, psychologami ze szkół średnich, profesorami z college'ów, doradcami małżeńskimi, psychiatrami i pastorami – wypytując ich nie o aspekty teoretyczne, lecz o rzeczywiste doświadczenie związane z leczeniem Amerykanek. Uświadomiłam sobie, że jest coraz więcej dowodów, z których większość nie ujrzała światła dziennego, ponieważ nie pasowały do aktualnych szkół myślenia o kobietach – dowodów podważających standardy kobiecej normalności, kobiecego przystosowania się, kobiecego spełnienia i kobiecej dojrzałości, zgodnie z którymi większość kobiet próbuje żyć.

W nowym, nieznanym dotąd świetle zaczęłam postrzegać amerykańską tendencję do zawierania małżeństw w młodym wieku i wielodzietności, co powoduje eksplozję demograficzną, powstały niedawno ruch na rzecz rodzenia siłami natury i karmienia piersią, dostosowanie się do życia na przedmieściach i nowe neurozy, patologie charakteru i problemy seksualne, o których mówili lekarze. Zaczęłam dostrzegać nowe wymiary starych problemów, które od dawna przypisywano kobietom: problemy z menstruacją, oziębłość seksualną, rozwiązłość, lęk przed ciążą, depresję poporodową, wysoki wskaźnik występowania wśród kobiet dwudziesto- i trzydziestokilkuletnich załamania nerwowych i samobójstw, kryzys związany z menopau-

zą, tak zwana pasywność i niedojrzałość amerykańskich mężczyzn, rozbieżność między zdolnościami intelektualnymi kobiet, którymi wykazywały się w testach, jakie przechodziły w dzieciństwie, a ich osiągnięciami w życiu dorosłym, zmieniający się współczynnik występowania orgazmu seksualnego u dorosłych Amerykanek oraz odwieczne problemy pojawiające się w psychoterapii i edukacji kobiet.

O ile się nie mylę, ów nienazwany problem, który dręczy dziś umysły wielu Amerykanek, nie wynika z utraty kobiecości, jego powodem nie jest wyższe wykształcenie czy wymagania związane z prowadzeniem domu. Jest o wiele poważniejszy, niż ktokolwiek przypuszcza. Jest kluczem do zrozumienia starych i nowych problemów gnębiących kobiety, ich mężów i dzieci, od lat nurtujących swoją zagadkowością lekarzy i pedagogów. Może być równie dobrze kluczem do zrozumienia przyszłości naszej kultury i społeczeństwa. Nie wolno nam już dłużej ignorować głosu kołającego się w głębi ducha tylu kobiet, głosu, który mówi: „Chcę czegoś więcej niż tylko męża, dzieci i domu”.

nowy wzorzec oparty na założeniu, że kobieta nie jest osobą, ale „kobietą” właśnie, co już z samej definicji pozbawia ją wolności właściwej ludzkiej egzystencji i decydowania o własnym, ludzkim przeznaczeniu?

Mistyka kobiecości ma tak dużą siłę oddziaływania, że kobiety dorastają, nie mając pojęcia, iż odczuwają pragnienia i dysponują potencjałem, które są sprzeczne z tym, co głosi mistyka. Ale mistyka ta nie bez przyczyny rozprzestrzeniła się przecież wśród całego społeczeństwa w ciągu zaledwie kilku lat, odwracając tendencje epoki. Na czym polega siła owej mistyki? Dlaczego kobiety na powrót zamknęły się w czterech ścianach domu?

Rozdział 3

Kryzys kobiecej tożsamości

Przeprowadzając wywiady z moimi rówieśniczkami w ciągu minionych dziesięciu lat, odkryłam coś dziwnego. Kiedy dorastałyśmy, wiele z nas nie potrafiło sięgnąć wyobraźnią dalej niż do czasów, kiedy będziemy miały po dwadzieścia jeden lat. Nie potrafiłyśmy sobie wyobrazić własnej przyszłości, wyobrazić siebie jako dorosłych kobiet.

Pamiętam spokój, jaki mnie ogarnął pewnego wiosennego popołudnia w 1942 roku na kampusie w Smith College, kiedy uświadomiłam sobie ów przerażający ślepy zaułek, w jaki zabrnęłam, kiedy rozwiały się moje wyobrażenia o przyszłości. Kilka dni wcześniej otrzymałam zawiadomienie, że przyznano mi stypendium naukowe na studia magisterskie. Przyjmując gratulacje, gdzieś w głębi ducha, mimo ogromnego podekscytowania, które przeżywałam, poczułam dziwny niepokój; pojawiło się pytanie, o którym w ogóle nie chciałam myśleć.

„Czy naprawdę to chcę robić w życiu?” – pytanie to odseparowało mnie, zeszytniało i samotną, od grupy dziewcząt, pogrążonych w rozmowie i nauce na nasłonecznionym stoku z tyłu za budynkiem uczelni. Myślałam, że będę psycholożką. Skoro jednak nie byłam pewna, kim chcę być? Czułam, że przyszłość się zbliża, że jest tuż-tuż, a ja w ogóle nie potrafiłam znaleźć dla siebie w niej miejsca. Nie wyobrażałam sobie, co będę robiła po studiach. Przyjechałam do college’u jako siedemnastolatka z miasta na Środkowym Zachodzie, zagubiona i zahukana, przede mną stały otworem szerokie horyzonty świata i życie intelektualne. Zaczęłam sobie uświadamiać, kim jestem i co chcę robić w życiu. Teraz nie miałam już odwrotu. Nie mogłam wrócić do domu, do życia, jakie wiodła moja matka i inne kobiety z naszego miasta, przywiązane do domu, gry w brydża, zakupów, dzieci, męża, działalności dobroczynnej, strojów. Teraz jednak, kiedy nadszedł

czas, by zdecydować o własnej przyszłości, poczynić decydujące kroki, nagle okazało się, że nie mam pojęcia, kim chcę być.

Przyjęłam stypendium naukowe, ale następnej wiosny, pod obcym kalifornijskim słońcem, na innym kampusie studenckim, pytanie powróciło, a ja nie potrafiłam przestać o tym myśleć. Dostałam kolejne stypendium, które zobowiązywało mnie do przeprowadzenia badań do pracy doktorskiej, do podjęcia kariery zawodowej psycholożki. „Czy to ma być moje powołanie?” – podjęcie tej decyzji naprawdę mnie przerażało. Przez wiele dni żyłam w ciągłym strachu, niezdecydowana, nie mogąc myśleć o niczym innym.

Wmawiałam sobie, że pytanie jest błahe. Tamtego roku nie liczyło się dla mnie nic innego, tylko miłość. Spacerowaliśmy po wzgórzach Berkeley, kiedy chłopak powiedział: „Z naszego związku nic nie będzie. Nigdy nie zdobędę takiego stypendium jak ty”. Czy sądziłam, że tamtego popołudnia nieodwołalnie skazuję się na przeraźliwą samotność, jeśli nie zmienię decyzji? Z ulgą zrezygnowałam ze stypendium. Ale potem przez wiele lat nie byłam w stanie przeczytać nic z zakresu psychologii, dziedziny naukowej, która – jak kiedyś sądziłam – miała być moją przyszłością zawodową; przypominanie sobie o tej stracie było bowiem nazbyt bolesne.

Nigdy nie potrafiłam sobie wytłumaczyć – niewiele o sobie wówczas wiedząc – dlaczego zrezygnowałam z tej kariery. Żyłam teraźniejszością, pisząc do gazet, ale bez jakiegoś szczególnego planu. Wyszłam za mąż, urodziłam dzieci, żyłam w zgodzie z mistyką kobiecości jako gospodyni domowa z przedmieścia. Pytanie to jednak dalej mnie nurtowało. Czułam, że moje życie nie ma sensu, nie potrafiłam zaznać spokoju ducha dopóty, dopóki w końcu nie zmierzyłam się z tym problemem i nie wypracowałam własnej odpowiedzi.

Rozmawiając ze studentkami ostatniego roku Smith College w 1959 roku, odkryłam, że pytanie, które kiedyś sobie zadawałam, jest nie mniej przerażające dla współczesnych dziewcząt. Tyle że odpowiadają dziś na nie w taki sposób, który mojemu pokoleniu, mającemu już za sobą połowę życia, niewiele mówi. Dziewczyny, z którymi rozmawiałam, w większości studentki ostatniego roku, siedziały w bawialni bursy, popijając kawę. Wieczór niewiele się różnił od podobnych wieczorów, w czasach, gdy studiowałam na ostatnim roku, z wyjątkiem tego, że teraz o wiele więcej dziewcząt nosiło pierścione zaręczynowy na serdecznym palcu. Spytałam je, kim za-

mierzają zostać w przyszłości. Te, które były zaręczone, mówiły o ślubach, mieszkaniach, podjęciu pracy sekretarki, dopóki mąż nie skończy studiów. Inne, po chwili wrogiego milczenia, zaczęły coś wymijająco odpowiadać na temat podjęcia takiej czy innej pracy albo studiów magisterskich, ale żadna nie miała realnych planów. Blondynka uczesana w kucyk spytała mnie, czy uwierzyłam w to, co mówiły. „Nic z tego nie było prawdą” – powiedziała. „Nie lubimy, kiedy pyta się nas o to, co chcemy robić w życiu. Żadna z nas tego nie wie. Żadna nawet nie lubi o tym myśleć. Te, które niedługo wychodzą za mąż, są szczęściarami. Nie muszą sobie tym zaprzętać głowy”.

Zauważyłam jednak tamtego wieczoru, że wiele z zaręczonych dziewcząt, siedzących w milczeniu wokół kominka, kiedy innym zadawałam pytania o pracę, także wydawało się niezadowolonych z jakiegoś powodu. „Nie chcą myśleć, że na tym poprzestaną” – powiedziała moja informatorka uczesana w kucyk. „Wiedzą, że nie zrobią użytku ze swojego wykształcenia. Będą żonami i matkami. Można sobie obiecać, że będzie się dalej czytało i interesowało się sprawami społeczności. Ale to jednak nie to samo. Naprawdę to oznacza zatrzymanie się w rozwoju. Świadomość, że na tym poprzestaniesz, że nie będziesz się dalej rozwijać, że nie zrobisz użytku ze swojej wiedzy, jest rozczarowująca”.

Kontrapunktem była dla mnie wypowiedź kobiety, która piętnaście lat temu rzuciła studia w college'u, była żoną lekarza, matką trojga dzieci. Siedząc przy kawie w swojej kuchni w Nowej Anglii, powiedziała:

„Tragedia polegała na tym, że nikt nie spojrzał nam w oczy i nie powiedział, że to my musimy zdecydować, co chcemy zrobić z własnym życiem, żeby nie ograniczało się ono wyłącznie do tego, że będziemy czyjąś żoną i matką dzieci. W ogóle nie zaprzętałam sobie tym głowy, dopóki nie skończyłam 36 lat, a mój mąż miał tak wiele pracy związanej ze swoją praktyką lekarską, że nie mógł zabawić mnie co wieczór. Trzej chłopcy byli przez cały dzień w szkole. Staralam się o kolejne dzieci, mimo iż mieliśmy konflikt grupy krwi. Po dwóch poronieniach lekarze powiedzieli, że nie wolno mi dalej próbować. Myślałam, że to koniec mojego własnego rozwoju. Od dziecka wiedziałam, że jak dorosnę, pójdę do college'u, potem wyjdę za mąż – to było wszystko, o czym dziewczyna powinna myśleć. Potem już mąż będzie o wszystkim decydował i wypełni ci życie. Dopiero kiedy poczułam się przeraźliwie samotna jako żona lekarza, kiedy w kółko krzyczałam na dzieciaki, ponieważ nie wypełniły pustki życia, uświadomiłam sobie, że muszę

mieć własne życie. Musiałam zdecydować, kim chcę być. Nie przestałam się jeszcze rozwijać. Zajęło mi to jednak dziesięć lat, żeby to sobie wszystko przemyśleć”.

Mistyka kobiecości pozwala kobietom, a nawet je do tego zachęca, aby ignorowały kwestię własnej tożsamości. Wedle mistyki na pytanie: „Kim jestem?” mogą odpowiedzieć: „Żoną Toma... matką Mary”. Nie sądzę jednak, aby mistyka miała taką władzę nad Amerykankami, gdyby nie bały się zmierzyć z tą przerażającą pustką, która sprawia, że nie potrafią spojrzeć na siebie jak na osoby, które będą miały więcej niż dwadzieścia jeden lat. Prawdą jest – choć nie jestem pewna, od jak dawna sytuacja tak wygląda, w każdym razie było tak na pewno w przypadku mojej generacji i tak jest w przypadku dorastającego dzisiaj pokolenia dziewcząt – że amerykańska kobieta nie ma prywatnych wyobrażeń na swój temat, które podpowiedziałyby jej, kim jest, kim może być albo kim chce być.

Obraz kobiety, jaki się wyłania z łam czasopism kobiecych i reklam telewizyjnych, służy temu, żeby rosła sprzedaż pralek, ciast w proszku, dezodorantów, środków czystości, kremów odmładzających, farb do włosów. Ale siła tego wizerunku, na który przedsiębiorstwa wydają miliony dolarów, kupując czas antenowy w telewizji i powierzchnię reklamową w mediach drukowanych, bierze się stąd, że Amerykanki nie wiedzą, kim są. Pilnie potrzebny jest im nowy wzorzec osobowy, który pomoże im znaleźć własną tożsamość. Naukowcy zajmujący się badaniem ludzkich motywacji przekonują reklamodawców, że Amerykanki są tak bardzo niepewne własnej tożsamości, że spoglądają z nadzieją na ten wyłaniający się z ilustrowanych magazynów wizerunek, który w najdrobniejszych szczegółach ma zaprogramować ich życie. Szukają wzorców, których nie znajdują u własnych matek.

Wiele kobiet z mojego pokolenia wiedziało, że nie chcemy być jak nasze matki, mimo iż darzyłyśmy je miłością. Trudno było nie dostrzec ich rozczarowania. Czy rozumiałyśmy czy też tylko miałyśmy im za złe ich smutek, pustkę, która sprawiała, że mocno się w nas wczepiały, próbując żyć naszym życiem, kierować życiem naszych ojców, całe dni spędzając na zakupach albo pragnąc rzeczy, które – jak się zdawało – nigdy ich nie zadowalały, bez względu na to, ile kosztowały? O dziwo, wiele matek, które kochały swoje córki – a moja była jedną z nich – nie chciało, aby dorosłe życie ich córek wyglądało tak samo. Wiedziały, że potrzeba nam czegoś więcej.

Ale nawet jeśli nalegały, upierały się przy tym, walczyły o to, byśmy zdobyły wykształcenie, nawet jeśli z tęsknotą opowiadały o karierze, której nie miały możliwości zrobić, nie były w stanie przekazać nam wzorca osobowego, który by wskazał, kim mogłybyśmy być w życiu. Jedyne, co nam mogły powiedzieć, to, że ich życie jest zbyt puste, że są uwiązane do domu; że dzieci, gotowanie, stroje, brydż i działalność dobroczynna nie wystarczą. Matka mogła powiedzieć córce, literując słowo po słowie: „Nie bądź tak jak ja kurą domową”. Ale córka, wyczuwając, że matka jest nazbyt sfrustrowana, by rozkoszować się miłością męża i dzieci, mogła odnieść wrażenie: „Osiągnę sukces tam, gdzie mojej matce się nie udało, spełnię się jako kobieta”, i nigdy nie przyswoić sobie morału płynącego z życia jej matki.

Niedawno, przeprowadzając wywiady z dziewczętami z liceum, które zaczynały jako osoby wielce obiecujące i utalentowane, lecz nieoczekiwanie porzuciły naukę, zaczęłam dostrzegać nowe wymiary problemu kobiecego konformizmu. Dziewczęta te, jak się z początku wydawało, postępowały zgodnie z typową krzywą kobiecego modelu przystosowania się. Dawniej zainteresowane geologią czy poezją, teraz interesowały się wyłącznie własną popularnością; doszły do wniosku, że warunkiem podobania się chłopcom jest zachowywanie się tak jak wszystkie inne dziewczęta. Po bliższym zbadaniu całej sprawy przekonałam się, że dziewczęta te były tak przerażone na samą myśl, iż staną się kimś takim, jak własne matki, że w ogóle nie potrafiły siebie zrozumieć. Bały się dorosnąć. Musiały naśladować w najdrobniejszych szczegółach domniemany wzorzec popularnej dziewczyny, wypierając się tego, co było najlepsze w nich samych, ze strachu przed kobiecością, którą widziały u własnych matek. Jedna z dziewcząt, siedemnastolatka, powiedziała mi:

„Bardzo chciałabym być jak inne dziewczęta. Nigdy nie przestanę się czuć jak neofitka, osoba niewtajemniczona. Kiedy wstaję i muszę przejść przez pokój, czuję się jak debutantka albo jakbym była jakąś straszliwą nieudacznicą i nigdy miała się nie nauczyć, jak się należy zachować. Po szkole chodzę do miejscowej kafejki, gdzie wszyscy przesiadują; siedzę tam godzinami, gadając o ciuchach i fryzurach, o twiście, choć w ogóle mnie to nic nie obchodzi, ale staram się, jak mogę. Przekonałam się, że mogę się jednak do nich upodobnić – wystarczy robić to, co one, ubierać się jak one, mówić jak one, a nie robić tego, co odbiega od normy. Myślę, że już nawet zaczęłam się do nich w środku upodabniać.

Dawniej pisałam poezję. Wychowawca mówił, że mam zdolności twórcze i że powinnam być w czołówce klasy oraz że mam przed sobą wspaniałą przyszłość. Ale w ten sposób człowiek nie zdobędzie popularności. Dla dziewczyny najważniejsza jest popularność.

Teraz umawiam się na randki z różnymi chłopakami; to dla mnie duży wysiłek, ponieważ przy nich nie jestem sobą. Przez to człowiek czuje się jeszcze bardziej samotny. Poza tym boję się, dokąd mnie to zaprowadzi. Już niedługo wszystko się wyrówna, w niczym nie będę się różnić od innych dziewcząt, stanę się dziewczyną, która mogłaby być panią domu.

Nie chcę myśleć o tym, że kiedyś dorosnę. Gdybym miała dzieci, chciałabym, aby zawsze były w tym samym wieku. Gdybym musiała oglądać, jak dorastają, widziałabym, że sama się starzeję, a tego nie chcę. Moja matka twierdzi, że nie może spać po nocach, jest chora ze zmartwienia o mnie. Kiedy byłam mała, nie pozwalała mi samej przejść przez ulicę, mimo iż innym dzieciom już dawno było wolno.

Nie wyobrażam sobie siebie jako mężatki i matki. To tak jakbym sama nie miała własnej osobowości. Moja matka jest jak skała, która została wygładzona przez fale, pusta w środku. Tyle zainwestowała w rodzinę, że dla niej już nic nie zostało, ma nam za złe, że nie dostaje wiele w zamian. Czasami jednak mam wrażenie, jakby w niej nic nie było. Moja matka nie ma w życiu żadnego celu poza domowymi porządkami. Sama nie jest szczęśliwa i unieszczęśliwia mojego ojca. Gdyby w ogóle nie dbała o nas, dzieci, miałyby to ten sam skutek co przesadna troska. To sprawia, że z przekory ma się ochotę postąpić na odwrót. Nie sądzę, aby na tym polegała prawdziwa miłość. Kiedy byłam mała i wbiegałam do pokoju, cała podekscytowana, żeby jej powiedzieć na przykład, że nauczyłam się właśnie stać na głowie, nigdy nie słuchała.

Niedawno przejrzałam się w lustrze, tak się boję, że będę wyglądać jak moja matka. To mnie przeraża, kiedy przyłapuję się na tym, że podobnie gestykuluję, podobnie mówię itd. Pod wieloma względami nie jestem do niej podobna, ale gdybym choć w jednym była do niej podobna, być może później stałabym się taka jak moja matka. A to mnie przeraża.

Siedemnastolatka tak bardzo obawiała się, że stanie się kobietą taką jak jej matka, że odwróciła się od siebie samej i wszystkich możliwości, dzięki którym stałaby się inną kobietą, i to tylko po to, żeby naśladować powierzchowność „popularnych” dziewcząt. W końcu, ogarnięta panicznym

strachem przed utratą własnego „ja”, odwraca się od własnej popularności, odrzuca tradycyjne, porządne zachowanie, które zapewniłoby jej uzyskanie stypendium w college'u. Z braku wzorca, który pomógłby jej dojrzeć jako kobiecie w zgodzie z samą sobą, ucieka w świat pustki bitników.

Inna dziewczyna, studentka przedostatniego roku w college'u z Południowej Karoliny, powiedziała mi:

„Nie chcę interesować się karierą, z której potem będę musiała zrezygnować.

Moja mama chciała być reporterką w gazecie, odkąd skończyła dwanaście lat; przez dwadzieścia lat obserwowałam jej frustrację. Nie chcę interesować się sprawami tego świata. Nie chcę interesować się niczym z wyjątkiem domu oraz chcę być cudowną żoną i matką. Być może wykształcenie jest obciążeniem. Nawet najbystrzejsi chłopcy w domu chcą mieć po prostu słodką, ładną dziewczynę. Jedynie czasami zastanawiam się, jakie to byłoby uczucie móc się bez przeszkód rozwijać, uczyć wszystkiego, czego człowiek zapagnie i nie musieć ograniczać własnych aspiracji”.

Jej matka i prawie wszystkie nasze matki były gospodyniami domowymi, mimo iż wiele z nich zaczęło pracować poza domem, pragnęło pracować albo żałowało, że musiały zrezygnować z kariery zawodowej. Bez względu na to, co nam mówiły, my, mając oczy i uszy otwarte, kierując się własnym rozumem i sercem, wiedziałyśmy, że ich życie jest w jakimś sensie jałowe i puste. Nie chciałyśmy być takie jak one, jakież jednak inny wzór do naśladowania miałyśmy?

Jedynymi, poza naszymi matkami, kobietami, które znałam, dorastając, były nauczycielki z liceum – stare panny, bibliotekarka, jedna lekarka z naszego miasta, która nosiła krótką, męską fryzurę, a także kilka moich profesorek z college'u. Żadna z nich nie miała ciepłego domowego ogniska, jakie znałam z własnego domu. Wiele z nich nie wyszło za mąż ani nie miało dzieci. Bałam się okropnie, że będę taka jak one, jak kobiety, które naprawdę nauczyły mnie szanować własny intelekt i robić z niego użytek, wpajały mi przekonanie, że mam do odegrania w świecie swoją rolę. Kiedy dorastałam, nie znałam ani jednej kobiety, która robiłaby użytek z własnego intelektu, odgrywała w świecie swoją rolę, a jednocześnie kochała i miała dzieci.

Sądzę, że przez wiele lat było to właśnie sedno tajemniczego problemu, jaki dręczył kobiety w Ameryce: brak własnego wzorca. Społeczna wizja kobiecości, która jest wbrew wszelkiej logice i ma niewiele wspólnego z sa-

mymi kobietami, w ogromnym stopniu ukształtowała ich życie. Wizerunki te nie miałyby takiej władzy nad kobietami, gdyby nie przeżywały one kryzysu tożsamości.

Od wielu lat socjologowie, psychologowie, analitycy, pedagodzy dostrzegają osobliwy, przerażający punkt zwrotny, do którego Amerykanki dochodzą w wieku lat osiemnastu, dwudziestu jeden, dwudziestu pięciu, czterdziestu jeden. Sądzę jednak, że nie rozumiano jego istoty. Określono go mianem „braku ciągłości” w przyswajaniu sobie kulturowych zachowań; nazywano „kryzysem związanym z pełnioną przez kobiety rolą”. Obwiniano za ten stan rzeczy wykształcenie, bowiem to dzięki niemu amerykańskie dziewczęta dorastały w poczuciu swobody i równości z chłopcami – grając w baseball, jeżdżąc na rowerze, zgłębiając tajniki geometrii i zdając egzaminy wstępne do college’u, wyjeżdżając na studia, idąc w świat w poszukiwaniu pracy, mieszkając samodzielnie w kawalerkach w Nowym Jorku, Chicago czy San Francisco, testując i odkrywając własną siłę, dzięki której mogły się zmierzyć ze światem. To wszystko – jak twierdzili krytycy – dawało dziewczętom poczucie, że mogłyby być, kimkolwiek zechcą, że mogłyby robić, cegokolwiek zapragną, ciesząc się tą samą wolnością i swobodą postępowania co chłopcy. Nie przygotowywało ich to jednak do podjęcia ich kobiecej roli. Kryzys przychodzi, kiedy muszą się przystosować do pełnienia przypisanej im kulturowo roli. Dzisiejszy wysoki wskaźnik występowania emocjonalnego rozchwiania i załamania nerwowego wśród kobiet dwudziesto- i trzydziestokilkuletnich przypisuje się zwykle owemu „kryzysowi związanemu z odgrywaną rolą”. Gdyby dziewczęta kształcono tak, aby były przygotowane do podjęcia funkcji, którą mają jako kobiety pełnić, nie cierpiałyby wówczas z powodu owego kryzysu – twierdzą rozmaitości eksperci.

Myślę jednak, że dostrzegają oni zaledwie część prawdy.

A jeżeli strach, który dziewczyna przeżywa, mając dwadzieścia jeden lat, kiedy musi zdecydować, kim będzie w przyszłości, jest zwyczajnym strachem wieku dojrzewania – strachem przed dorośnięciem, albowiem dawniej kobietom nie wolno było się rozwijać? A jeżeli strach, który odczuwa dziewczyna w wieku dwudziestu jeden lat, jest panicznym lękiem przed swobodą decydowania o własnym życiu, kiedy nie ma się przy swoim boku nikogo, kto by pokierował naszymi życiowymi wyborami, lękiem przed wolnością i koniecznością obrania drogi, którą wcześniej kobiety nie mogły

podążać? A jeżeli dziewczęta, które wybierają ścieżkę „przystosowania się do roli kobiety” – uciekają przed owym lękiem, wychodząc za mąż w wieku lat osiemnastu, rodząc kolejne dzieci i pogrążając się bez reszty w drobiazgach związanych z prowadzeniem domu – bo po prostu nie chcą dorosnąć, odmawiają zmierzenia się z problemem własnej tożsamości?

Moje pokolenie było pierwszym pokoleniem studentek college’u, które bez reszty zanurzyło się w nową mistykę kobiecego spełnienia. Chociaż wcześniej istotnie większość kobiet zostawała gospodyniami domowymi i matkami, lata szkolne i okres studiów pozwalały im odkryć życie intelektualne, były dla nich czasem dążenia do prawdy i zdobywania pozycji w świecie. Miałyśmy poczucie, choć coraz bardziej ono słabło w czasach, gdy rozpoczęłam naukę w college’u, że będziemy Nowymi Kobietami. Nasz świat nie będzie się ograniczał wyłącznie do domu. 40% moich koleżanek z roku w Smith College miało plany zawodowe. Pamiętam jednak, że nawet wówczas część studentek ostatniego roku, czując bolesny przyływ owego przygnębiającego lęku przed przyszłością, z zazdrością spoglądała na te nieliczne, którym udało się uciec przed tą niewiadomą dzięki szybkiemu zamążpójściu.

Te, którym wówczas zazdrościłyśmy, dziś – mając lat czterdzieści – przeżywają tamten paniczny strach. „Nigdy nie zdecydowałam, jaką kobietą jestem. Na studiach za bardzo pochłaniało mnie życie osobiste. Chciałabym więcej czasu poświęcić na nauki ścisłe, historię, politykę państwa, zgłębiać filozofię” – napisała jedna ze studentek w ankiecie dla absolwentek piętnaście lat później. „Nadal próbuję znaleźć jakiś fundament, na jakim mogłabym się oprzeć. Żałuję, że nie skończyłam studiów. Zamiast tego wyszłam za mąż”. „Żałuję, że nie rozwinęłam własnego głębszego i bardziej twórczego życia, żałuję, że w wieku dziewiętnastu lat zaręczyłam się i wyszłam za mąż. Spodziewałam się, że małżeństwo będzie ideałem, włącznie ze stuprocentowo oddanym mężem, tymczasem szokiem było dla mnie odkrycie, że wcale tak nie jest” – napisała matka sześciorga dzieci.

Wiele żon z młodszego pokolenia, które wcześniej wychodzą za mąż, w ogóle nie zaznało owego uczucia strachu przeżywanego w samotności. Sądziły, że nie muszą wybierać, że nie muszą myślami wybiegać w przyszłość i planować, co zamierzają zrobić z własnym życiem. Musiały jedynie poczekać, aż ktoś je wybierze, trwając w biernym oczekiwaniu, dopóki mąż, dzieci, nowy dom nie zadecydują w końcu, jak będzie wyglądała reszta ich życia. Z łatwością wchodziły w swoją kobiecą, wynikającą z płci rolę, zanim

jeszcze uświadomiły sobie, kim są. To właśnie te kobiety najbardziej dręczą ów nienazwany problem.

Twierdzę, że istota problemu, z którym zmagają się dziś kobiety, nie wiąże się z seksualnością, lecz jest to problem tożsamości – zahamowania rozwoju lub uchylania się przed dojrzałością, co utrwała mistyka kobiecości. Twierdzę, że tak jak kultura epoki wiktoriańskiej nie pozwalała kobietom zaspokajać swoich podstawowych potrzeb seksualnych, czyli czerpać radości z seksu, tak nasza kultura nie pozwala kobietom zaspokajać podstawowej potrzeby rozwoju i realizowania swojego potencjału jako istot ludzkich i znajdować w tym przyjemność – potrzeby, której nie określa wyłącznie rola przypisana ich płci.

Biolodzy niedawno odkryli „serum młodości”, które podawane larwom gąsienicy zapobiega osiągnięciu stanu dojrzałości i przeobrażeniu się w ćmy; przeżyją one swoje życie w postaci larwalnej. Wymagania związane ze spełnieniem się w kobiecej roli, wpajane kobietom przez czasopisma, telewizję, filmy i książki popularyzujące psychologiczne półprawdy oraz przez rodziców, nauczycieli, psychologów, którzy akceptują mistykę kobiecości, mają działanie podobne do serum młodości, utrzymując większość kobiet w postaci seksualnej larwy, uniemożliwiając im osiągnięcie dojrzałości, do której są zdolne. Coraz więcej dowodów świadczy o tym, że niemożność osiągnięcia przez kobiety dojrzałości, będącej etapem wieńczącym proces budowania własnej tożsamości, raczej utrudnia osiągnięcie zaspokojenia seksualnego, niż wzbogaca ich życie seksualne, dosłownie skazując je na los kobiety kastrującej własnego męża i synów, powodując tym samym nerwice lub też problemy jeszcze nienazwane nerwicami, identyczne jak te będące skutkiem stłumienia seksualnego.

W przypadku mężczyzny kryzysy tożsamości były ważnymi punktami zwrotnymi w ludzkiej historii, jakkolwiek ci, którzy je przeżyli, nie określali swoich doświadczeń tym mianem. Dopiero w ostatnich latach teoretycy z dziedziny psychologii, socjologii i teologii wyodrębnili ten problem i nazwali. Uważa się jednak, że problem ten dotyczy wyłącznie mężczyzn. Mówi się wówczas o kryzysie dorastania, związanym z wyborem własnej tożsamości, „podjęciem decyzji dotyczącej tego, kim się jest i zamierza być”, żeby przywołać słowa błyskotliwego psychoanalityka Erika H. Eriksona:

„Główny kryzys wieku dojrzewania nazwałbym kryzysem tożsamości; pojawia się w tym okresie życia, kiedy każdy młodzieniec musi zaplano-

wać dla siebie jakąś główną perspektywę i kierunek, jakąś pracowniczą wspólnotę spośród realnych resztek dzieciństwa i nadziei oczekiwanej dorosłości; musi wykryć jakieś sensowne podobieństwo między tym, co zaczął dostrzegać u siebie, a tym, w jaki sposób – jak mu podpowiada jego wyostrowiona świadomość – oceniają go inni i czego się po nim spodziewają. (...) U niektórych ludzi, w przypadku niektórych klas, niektórych epok w historii kryzys będzie miał lekki przebieg; u innych osób, w przypadku innych klas i w innych epokach historycznych kryzys wyraźnie zaznaczy się jako okres krytyczny, swego rodzaju «drugie narodziny», który może mieć gwałtowniejszy przebieg na skutek szerzącej się neurotyczności albo wszechogarniającego ideologicznego niepokoju»¹.

W tym sensie kryzys tożsamości w życiu mężczyzny może odzwierciedlać albo stanowić początek odrodzenia, nowy etap w dojrzewaniu ludzkości. „W niektórych okresach historii, w niektórych fazach życia człowiek potrzebuje nowej ideologicznej orientacji, która jest mu tak nieodzowna do życia jak tlen i jedzenie” – stwierdził Erikson, rzucając nowe światło na kryzys, jaki przeżywał młody Marcin Luter, który pod koniec średniowiecza opuścił klasztor katolicki, aby stworzyć nową tożsamość dla siebie i człowieka Zachodu.

Jakkolwiek w amerykańskim myśleniu poszukiwanie tożsamości nie jest niczym nowym, to jednak w każdym pokoleniu każdy mężczyzna, który o tym pisze, odkrywa ją na nowo. W Ameryce od samego początku w jakimś sensie rozumiało się samo przez się, że ludzie muszą rzucać się w przyszłość; tu tempo było zawsze zbyt gwałtowne, żeby tożsamość mężczyzny miała trwać bez ruchu. W każdym pokoleniu wielu mężczyzn przeżywało cierpienia, udrękę, niepewność, ponieważ nie mogli brać przykładu ze swoich ojców – nie byli oni dla nich wzorem mężczyzny, którym pragnęliby być. Poszukiwanie tożsamości młodego mężczyzny, który nie może wrócić do rodzinnego domu, zawsze było jednym z głównych tematów dla amerykańskich pisarzy. Przy czym w Ameryce zawsze uważano za rzecz właściwą, dobrą dla mężczyzny przeżywanie owych męczarni związanych z rozwojem, poszukiwaniem i odkrywaniem własnej tożsamości. Chłopak z fermy jechał do miasta, syn krawca zostawał lekarzem, Abraham Lincoln sam nauczył się czytać – to było

¹ Erik H. Erikson, *Young Man Luther, A Study in Psychoanalysis and History*, New York 1958, s. 15 ff. Zob. także: tenże, *Childhood and Society*, New York 1950 oraz: tenże, *The Problem of Ego Identity*, [w:] „Journal of the American Psychoanalytical Association”, vol. 4, 1956, s. 56–121.

coś więcej niż opowieści o ludziach, którzy startowali od zera, a dorobili się bogactwa. Stanowiły integralną część amerykańskiego marzenia. Problemem dla wielu z nich były pieniądze, rasa, kolor skóry, klasa społeczna, co przekreślało ich szanse i możliwość dokonania życiowych wyborów – a nie dylemat, kim by byli, gdyby mieli wolność wyboru.

Nawet w dzisiejszych czasach młody mężczyzna dość szybko uczy się, że musi zdecydować, kim chce być. Jeśli nie podejmie tej decyzji w przedostatniej klasie szkoły średniej, na przedostatnim roku studiów w college'u, będzie musiał się z tym jakoś uporać, mając lat dwadzieścia pięć, trzydzieści, gdyż inaczej będzie zgubiony. Dziś jednak to poszukiwanie tożsamości postrzega się jako znacznie poważniejszy problem, bowiem coraz więcej chłopców nie potrafi znaleźć w naszej kulturze wzorców do naśladowania, które pomogłyby im w ich poszukiwaniach – wzorem nie są dla nich ani ojcowie, ani inni mężczyźni. Dawny Dzikie Zachód został zdobyty, zaś granice nowych obszarów nie są zbyt wyraźnie wytyczone. Coraz więcej młodych mężczyzn we współczesnej Ameryce przeżywa kryzys tożsamości wynikający stąd, że rozpaczliwie pragną męskiego wzorca, który byłby wart naśladowania, pożądaną cel, który w pełni pozwoli im zrealizować ludzki potencjał.

Dlaczego jednak teoretycy nie dostrzegli u kobiet tego samego kryzysu tożsamości? Zgodnie z dawną tradycją i nową mistyką kobiecości nikt nie oczekuje od kobiet dojrzałości i odkrycia tego, kim są, wyboru ich ludzkiej tożsamości. Anatomia jest przeznaczeniem kobiety – mawiają teoretycy kobiecości – tożsamość kobiety jest zdeterminowana przez jej biologię.

Ale czy tak jest w istocie? Coraz więcej kobiet zadaje sobie to pytanie. Pytają, jakby się budziły z głębokiego snu: „Gdzie jestem?... Co ja tutaj robię?”. Po raz pierwszy w historii kobiety zaczynają sobie uświadamiać kryzys tożsamości we własnym życiu – kryzys, który się rozpoczął wiele pokoleń temu, pogłębiał się z każdym kolejnym i nie skończy się, dopóki one albo ich córki nie wyjdą na nieznaną prostą i nie uczynią z własnego życia wzorca, którego wiele kobiet tak rozpaczliwie potrzebuje.

W pewnym sensie ten kryzys wykracza poza życie pojedynczej kobiety; sądzę, że jest to kryzys związany z dorastaniem kobiet, będący punktem zwrotnym, przejściem od niedojrzałości określanej mianem kobiecości do pełni ludzkiej tożsamości. Uważam, że kobiety musiały przeżyć tę udrękę kryzysu tożsamości, który się zaczął sto lat temu, i jeszcze dziś muszą przeżywać męki – po prostu dlatego, żeby się stać w pełni człowiekiem.

Rozdział 4

Pasjonująca podróż

Z potrzeby znalezienia nowej tożsamości już ponad wiek temu kobiety wyruszyły w tę pasjonującą podróż – często deprecjonowaną, fałszywie interpretowaną podróż z dala od domu.

W ostatnich latach zapanowała swoista moda na wyśmiewanie się z feminizmu jako jednego z niesmacznych żartów historii: powszechnie litowano się, drwiąc sobie jednocześnie, nad tymi staroświeckimi feministkami, które walczyły o prawa kobiet do wyższego wykształcenia, pracy zawodowej, o prawa wyborcze. Dziś mówi się, że były znerwicowanymi ofiarami zazdrości o penisa, które nade wszystko pragnęły być mężczyznami. Walcząc o wolność dla kobiet, żeby mogły na równi z mężczyznami uczestniczyć w najważniejszych dziełach i decyzjach społeczeństwa, wyparły się istoty swej kobiecej natury, która spełnia się wyłącznie poprzez seksualną pasywność, akceptację męskiej dominacji i opiekuńcze macierzyństwo.

Jeśli się jednak nie mylę, to właśnie ta pierwsza podróż stanowi klucz do zrozumienia tego, co się od tego czasu przydarzyło kobietom. Jednym ze słabych punktów współczesnej psychologii jest to, że nie dostrzega realiów, w jakich narodziło się owo przemożne pragnienie, które skłoniło kobiety do opuszczenia domu w poszukiwaniu nowej tożsamości lub też – jeśli w nim zostały – które sprawiło, że potem gorzko tęskniły za czymś więcej. Z ich strony był to akt buntu, gwałtownego wyparcia się kobiecej tożsamości tak, jak ją wówczas definiowano. To właśnie potrzeba nowej tożsamości skłoniła dawne, pełne pasji feministki do przetarcia nowych szlaków, którymi mogłyby podążać inne kobiety. Niektóre z nowych dróg niespodziewanie okazały się wyboiste, inne były ślepym zaułkiem, jeszcze inne może i okazały się fałszywym kierunkiem, lecz potrzeba, która skłoniła kobiety do poszukiwania nowych szlaków, z pewnością była prawdziwa.

Rozdział 12

Postępująca dehumanizacja: wygodny obóz koncentracyjny

Głosy ubolewające dziś nad tym, że Amerykanki zamknęły się w czterech ścianach domu, uspokajają, że wahadło zaczęło się odchyłać w przeciwnym kierunku. Czyżby? Mamy już przecież sygnały, że córkom utalentowanych i energicznych kobiet, które wycofały się do domu, by tam wieść życie gospodyni domowej, jest trudniej niż ich matkom odnosić sukcesy w świecie zewnętrznym. W ciągu ostatnich piętnastu lat w charakterze amerykańskich dzieci zaszła subtelna, acz mająca chyba katastrofalne skutki zmiana. Wielu lekarzy, psychoanalityków i socjologów dostrzegło, nie bez podstaw zresztą, u synów i córek gospodyń domowych podobny nienazwany problem, z którym się borykają panie domu, tyle że w przypadku dzieci przybrał on bardziej patologiczną postać. Specjaliści z coraz większym zaniepokojeniem obserwują u amerykańskich dzieci nową groźną pasywność, mięczakowatość, znudzenie. Niebezpiecznym sygnałem nie jest rywalizacja, jaka się rodzi w drużynie Małej Ligi, czy walka o miejsca w college'u, lecz swego rodzaju infantylizm, który sprawia, że dzieci matek będących gospodyniami domowymi tracą zdolność do podjęcia jakiegokolwiek wysiłku, nie potrafią znieść bólu i frustracji, dyscypliny potrzebnej do rywalizacji na boisku czy dostania się na studia. Występuje również nowe zjawisko nieświadomego somnambulizmu: młodzi odgrywają przypisaną im rolę; robią to, co mają robić, zachowują się tak jak inne dzieciaki, ale sprawiają wrażenie, jakby nie było w nich życia, a ich aktywność była odrealniona.

W 1960 roku na przedmieściu w jednym ze wschodnich stanów byłam świadkiem, jak uczennica drugiej klasy liceum przerwała psychiatrze wy-

kład i poprosiła o „podanie nazwy pigułki, dzięki której można się zahipnotyzować tak, że po przebudzeniu człowiek wie wszystko, co wiedzieć powinien, żeby zaliczyć klasówkę bez konieczności uczenia się”. Tej samej zimy dwie studentki college'u, które spotkałam w trakcie zimowej sesji egzaminacyjnej w pociągu do Nowego Jorku, powiedziały mi, że zamiast się uczyć do egzaminów, chodzą na imprezy, żeby „oczyścić umysł”. „Psychologia dowiodła, że kiedy człowiek jest rzeczywiście zmotywowany, wówczas nauka sama mu wchodzi do głowy” – wyjaśniła jedna z nich. „Jeśli profesor nie potrafi przekazać wiedzy w sposób na tyle interesujący, żeby człowiek mógł ją sobie przyswoić bez uczenia się, to jest to wina wykładowcy, nie twoja”. Pewien inteligentny chłopak, który porzucił studia w college'u, wyznał mi, że była to strata czasu, liczy się przecież „intuicja”, a tej nie uczą w college'u. Przez kilka tygodni pracował na stacji benzynowej, potem miesiąc w księgarni, w końcu rzucił pracę i spędzał dosłownie całe dni na nicnierobieniu: wstawał, jadł, szedł spać, w ogóle nic nie czytał.

Ten sam nieświadomy somnambulizm dostrzegłam u trzynastoletniej dziewczynki, z którą przeprowadzałam wywiad na przedmieściu w Westchester, badając zjawisko swobody seksualnej wśród nastolatków. Dziewczynka ledwie przechodziła z klasy do klasy, mimo że była inteligentną uczennicą, ale nie potrafiła się „przyłożyć do nauki”, jak stwierdził pedagog szkolny. Zawsze wydawała się znudzona, niczym niezainteresowana, jakby otumaniona. Kiedy popołudniami wsiadała do samochodu z grupą starszych chłopaków, którzy „porzucili” szkołę w poszukiwaniu „mocnych wrażeń”, również sprawiała wrażenie, jakby nie była dość przytomna, zachowywała się jak marionetka, którą ktoś ożywia, pociągając za sznurki.

Wielu obserwatorów miało podobne odczucia: dostrzegli, że z jakiegoś powodu współczesna młodzież nie dorosłeje, młodzi ludzie nie stają się „prawdziwymi” ludźmi. Pewien wykładowca z Teksasu martwił się tym, że studenci w college'u nie są w gruncie rzeczy zainteresowani wykładami, na jakie się zapisują, traktując je wyłącznie jako automatyczną przepustkę do zdobycia dobrej posady, odkrył, że w istocie nie mają również żadnych pozaszkolnych zainteresowań. Najczęściej po prostu tylko „zabijali czas”. Z przeprowadzonej wśród młodzieży ankiety wynikało, że nie było dosłownie nic, czym dzieciaki te interesowałyby się na tyle żywo, że byłyby gotowe za to oddać życie, żadna aktywność nie była w stanie rozbudzić w nich żywszych emocji, dać im poczucia, że żyją. Idee, myślenie kon-

cepcyjne właściwe gatunkowi ludzkiemu były zupełnie nieobecne w ich umysłach i życiu¹.

Pewien krytyk społeczny, jeden czy dwóch psychoanalitików zajmujących się percepcją próbowali sprecyzować, na czym polega zmiana, jaka się dokonała w młodszym pokoleniu, ich zdaniem będąca zasadniczą zmianą w charakterze Amerykanów. Abstrahując od tego, czy była to zmiana na lepsze, czy na gorsze, czy była ona oznaką zdrowia, czy choroby, naukowcy ci spostrzegli, że ludzka osobowość, której znakiem rozpoznawczym jest mocne i stabilne „Ja”, została zastąpiona przez nieokreśloną, amorficzną „osobowość ukierunkowaną na innych”². W latach pięćdziesiątych David Riesman nie zdołał znaleźć ani jednego chłopca, ani jednej dziewczyny, u których dałoby się zauważyć kielkujące poczucie własnego „Ja”, cechę charakteryzującą dawniej okres dojrzewania: „mimo że szukałem autonomicznych nastolatków w kilku publicznych i kilku prywatnych szkołach”³.

W College’u im. Sary Lawrence, gdzie na studentach w dużej mierze spoczywa odpowiedzialność za własną edukację, gdzie sami organizują sobie życie, odkryto, że nowe pokolenie studentów to istoty bezradne, apatyczne, niepotrafiące radzić sobie z taką wolnością. Jeśli zostawiało im się wolną rękę w organizowaniu własnych aktywności, wówczas nic nie było zorganizowane; program nauczania uwzględniający indywidualne zainteresowania studentów przestał się sprawdzać, ponieważ nie mieli oni własnych zainteresowań. Harold Taylor, ówczesny rektor college’u, tak opisywał zaistniałą zmianę:

„O ile dawniej można było liczyć na silną motywację i własną inicjatywę studentów, jeśli chodzi o zajęcie się własnymi sprawami, zakładanie własnych organizacji, wymyślanie nowych projektów czy to z zakresu opieki społecznej, czy to w dziedzinie intelektualnej, o tyle dzisiaj wiemy już niezbicie, że w przypadku wielu studentów odpowiedzialność za kierowanie

¹ Marjorie K. McCorquodale, *What They Will Die for in Houston*, [w:] „Harper’s”, październik 1961.

² Zob. David Riesman, *Samotny tłum*, dz. cyt. Zob. także: Erich Fromm, *Ucieczka od wolności*, tłum. Olga i Andrzej Ziemiłscy, Czytelnik, s. Warszawa 179–197 oraz Erik H. Erikson, *Dzieciństwo i społeczeństwo*, tłum. Przemysław Hemej, Dom Wydawniczy REBIS, Poznań 2000, s. 239.

³ David Riesman, wstęp do książki Edgara Friedenberga, *The Vanishing Adolescent*, Boston 1959.

własnymi sprawami na uczelni była dla nich często raczej ciężarem, który musieli udźwignąć, niż przywilejem, który warto zachować. (...) Studenci często wcale nie chcieli mieć całkowitej wolności w kierowaniu własnym życiem, nie chcieli samodzielnie podejmować decyzji. (...) Można odnieść wrażenie, że studentom w college’u jest coraz trudniej organizować sobie czas, skoro przyzwyczaili się polegać na zorganizowanej rozrywce, gdzie ich rola ogranicza się wyłącznie do tego, że uczestniczą w tym, co się im organizuje. (...) Studenci nie potrafili zaplanować dla siebie niczego, co byłoby dla nich na tyle interesujące, że mogliby się w to zaangażować”⁴.

Nauczyciele z początku winy za ten stan rzeczy dopatrywali się w ostrożności i konserwatyzmie epoki McCarthy’ego, ludzkiej bezradności spowodowanej użyciem bomby atomowej; później jednak, w związku z coraz bardziej zaawansowanym udziałem Związku Radzieckiego w wyścigu kosmicznym i coraz liczniejszymi sukcesami na tym polu, politycy i opinia publiczna zaczęli obwiniać ogólną „łagodność” nauczycieli. Pomijając słabość pedagogów, najlepsi spośród nich aż nazbyt dobrze zdawali sobie sprawę z tego, że mają do czynienia z pasywnością, z którą dzieciaki przyszły już do szkoły, przerażającą „elementarną pasywnością, która (...) od osób, które muszą na co dzień zmagać się z tą postawą w szkole czy poza szkołą, żąda wręcz heroicznego wysiłku”⁵. Fizyczna pasywność młodszego pokolenia przejawiała się w pogorszeniu się kondycji fizycznej, co w końcu zaalarmowało Biały Dom. Emocjonalna pasywność uwidaczniała się w stylizacji brodatych, rozwichrzonych bitników, co było formą młodzieńczego buntu, osobliwie beznamietną i bezcelową. Wśród dzieci wykształconych, powszechnie szanowanych i porządných obywateli, będących ludźmi sukcesu, wśród dzieci z klasy średniej, które miały we wszystkim „przewagę” i przed którymi otwierały się wszystkie „możliwości”, dzieci z zamożnych przedmieść coraz częściej dochodziło do zachowań chuligańskich – wskaźniki przestępczości wśród młodocianych w tej grupie były równie wysokie, jak w miejskich slumsach. Film *Byłem nastoletnim Frankensteinem* (*I was a Teenage Frankenstein*, 1958) być może nie wyda się zabawny rodzicom z Westchester i Connecticut, którym w 1960 roku wizytę złożyła policja

⁴ Harold Taylor, *Freedom and Authority on the Campus*, [w:] *The America College*, dz. cyt., s. 780 i nast.

⁵ David Riesman, wstęp do książki Edgara Friedenberga, *The Vanishing Adolescent*, dz. cyt.

obyczajowa, ponieważ ich dzieciaki zażywały narkotyki na prywatkach w salonach wyłożonych sosnową boazerią. Zapewne nie byłoby do śmiechu rodzicom z hrabstwa Bergen, których dzieci aresztowano w 1962 roku za zniszczenie grobowców na podmiejskim cmentarzu, ani rodzicom z przedmieścia na Long Island, których trzynastoletnie córki w dosłownym sensie tego słowa świadczyły usługi jako call-girl. Za bezsensownym wandalizmem, awanturami na Florydzie podczas wiosennych ferii, swobodą seksualną, wzrostem wśród nastolatków zachorowań na choroby weneryczne i coraz częstszych przypadków ciąży u nieletnich, alarmującymi statystykami dotyczącymi rezygnacji z nauki w szkole i studiów kryła się nowa pasywność. Dla tych znudzonych, rozleniwionych, „rozpuszczonych” dzieciaków „szukanie mocnych wrażeń” było jedynym sposobem na zabicie nudy wynikającej z nadmiaru wolnego czasu.

To, że owa pasywność nie wynikała wyłącznie z ogólnego znudzenia, lecz sygnalizowała upadek ludzkiego charakteru, spostrzegli naukowcy, którzy prowadzili badania nad zachowaniem amerykańskich żołnierzy – jeńców wojennych więzionych podczas wojny w Korei w latach pięćdziesiątych. Amerykański lekarz, major Clarence Anderson, który mógł swobodnie poruszać się po terenie obozu jenieckiego, gdyż leczył osadzonych tam żołnierzy, zauważył:

„Zarówno w obozach tymczasowych, jak i w obozach stałych podczas marszu silni regularnie odbierali jedzenie słabym. Żadna dyscyplina nie mogła temu zapobiec. Wielu mężczyzn chorowało – i właśnie oni, zamiast pomocy i opieki, byli przez pozostałych ignorowani, a nawet jeszcze gorzej traktowani. Powszechne były przypadki dyzenterii, choroba osłabiała niektórych mężczyzn tak bardzo, że nie mogli chodzić. W zimowe noce bezbronni mężczyźni chorzy na dyzenterię byli wyrzucani z baraków przez towarzyszy i zostawiani na mrozie na śmierć”⁶.

⁶ Zob. Eugene Kinkead, *In Every War But One*, Nowy Jork 1959. W ostatnich latach próbowano zdyskredytować lub też zbyt nie eksponować tych odkryć. Przemówienie, jakie przed Amerykańskim Towarzystwem Psychiatrycznym w 1958 roku wygłosił dr William Mayer, jeden z wojskowych psychiatrów i oficerów wywiadu, który w 1953 roku przeprowadził wywiady z jeńcami powracającymi z koreańskiej niewoli i przeanalizował dane, skłoniło wielu pediatrów i specjalistów od wychowania dzieci do postawienia pytań, które można sformułować słowami dr. Spocka: „Czy jest dzisiaj więcej niezwykle liberalnych, pobłażliwych rodziców? Czy osłabiają oni charakter naszych dzieci?” (Ben-

Prawie 38% żołnierzy zmarło w niewoli – był to najwyższy współczynnik śmiertelności wśród jeńców wojennych, wyższy niż podczas poprzednich amerykańskich wojen, nie wyłączając rewolucji amerykańskiej. Większość jeńców zubożała, popadła w apatię, zamknęła się jak ślimak w skorupie, którą się odgradzili od rzeczywistości. Nie zdobyli się na żaden wysiłek, żeby zdobyć żywność, opał, nie dbali o higienę i czystość, przestali się ze sobą komunikować. Majora uderzyło przede wszystkim to, że prawie wszystkim nowym amerykańskim żołnierzom „zabrakło dawnej jankeskiej zaradności”, umiejętności radzenia sobie w nowych i prymitywnych warunkach, w jakich się znaleźli. Na koniec stwierdził: „Jestem przekonany, że częściowo, ale tylko częściowo ich postawa była skutkiem psychicznego szoku, jakiego doświadczyli. Myślę jednak, że w pewnym sensie był to także rezultat błędów, które popełniliśmy w wychowaniu tych młodych mężczyzn, kiedy byli dziećmi i nastolatkami – wychowaliśmy ich na mięczaków”. Abstrahując od propagandy wojskowej, psycholog wychowania tak to skomentował: „Z pewnością z tymi młodymi mężczyznami działo się coś bardzo niedobrego; nie chodzi o mięczakowatość, lecz o twardość, spryt i szorstkość. Powiedziałbym, że to była klęska ego – upadek tożsamo-

jamin Spock, *Are We Bringing Up Our Children Too „Soft” for the Stern Realities They Must Face?*, [w:] „Ladies’ Home Journal”, wrzesień 1960). Jakkolwiek nieprzyjemnie to godzi w amerykańską dumę narodową, musi być jakieś wytłumaczenie tego upadku charakteru u amerykańskich jeńców wojennych w Korei, ponieważ ich postępowanie nie tylko różni się od zachowania amerykańskich żołnierzy w poprzednich wojnach, lecz także od postępowania żołnierzy innych narodowości biorących udział w wojnie w Korei. Żaden z amerykańskich żołnierzy nie zdołał uciec z obozu dla jeńców wojennych, jak miało to miejsce podczas poprzednich wojen. Szokujący wskaźnik śmiertelności (w obozach w Korei zmarło 38% amerykańskich żołnierzy) nie dał się wytłumaczyć – nawet zdaniem dowództwa wojskowego – warunkami klimatycznymi, brakiem żywności czy deficytem środków medycznych w obozach, jego przyczyną nie była też brutalność czy tortury. „Zrezygnowani” – oto jak jeden z lekarzy opisał chorobę, na jaką umierali Amerykanie; całe dnie spędzali skuleni pod kocami, dietę ograniczywszy wyłącznie do wody, trwali w takim stanie aż do śmierci, co zwykle następowało w ciągu trzech tygodni. Fenomen ten zdawał się dotyczyć tylko Amerykanów. Tureccy jeńcy, którzy byli częścią sił ONZ w Korei, nie stracili ani jednego człowieka wskutek choroby czy głodu; trzymali się razem, słuchali swoich oficerów, przestrzegali higieny zdrowotnej, wspólnie opiekowali się chorymi i nie donosili jeden na drugiego.

ści. (...) Rozwój w okresie dojrzewania może i powinien doprowadzić do ukształtowania całkowicie dorosłego człowieka, co można by określić jako rozwój stabilnej tożsamości, poczucia własnego *Ja* (...)”⁷.

W tym sensie jeńcy przebywający w niewoli koreańskiej byli mode-
lowym przykładem Amerykanina nowego typu, który najwidoczniej zo-
stał wychowany w sposób „niesprzyjający klarowności i rozwojowi” przez
osoby, którym „zabrakło cech charakteru” pozwalających kształtować
„typ charakteru i umysłu, na tyle siebie świadomy, by nie sprzeniewierzyć
się sobie”.

Szukające spostrzeżenie, iż pasywny brak tożsamości był „czymś do-
tychczas niespotykanym”, zaczęło docierać do opinii publicznej dopiero
wtedy, kiedy zjawisko to dotyczyło chłopców. Apatyczna, zależna od innych,
infantylna, pozbawiona jakiegokolwiek celu w życiu istota, która – o zgro-
zo! – wydaje się stworzeniem tak nieludzkim, kiedy cechy te dostrzega się
w kształtującym się właśnie charakterze nowego amerykańskiego mężczy-
zny, dziwnie przypomina znajomą „kobiecą” osobowość, tak jak ją definiuje
mistyka kobiecości. Czyż główną cechą kobiecości – którą Freud mylnie
powiązał z biologią płci – nie jest pasywność, nierozwinięte *ego* czy też sł-
abe poczucie własnego „Ja”, słabe *superego* czy sumienie ludzkie, wyrzeczenie
się aktywnych celów, ambicji, własnych zainteresowań po to, by żyć życiem
innych, niezdolność do abstrakcyjnego myślenia, rezygnacja z aktywności
skierowanej ku światu zewnętrznemu na rzecz aktywności ukierunkowanej
do wewnątrz lub ograniczającej się li tylko do fantazjowania?

Cóż zatem oznacza to pojawienie się we współczesnej Ameryce – jed-
nakowo u chłopców, jak i u dziewcząt – osobowości stłamszonej, której roz-
wój zatrzymał się na poziomie infantrylnych fantazji i pasywności? Chłopcy
i dziewczęta, u których cechy te dostrzegłam, były dziećmi matek żyjących
zgodnie z ograniczeniami narzuconymi im przez mistykę kobiecości. Speł-
niały się w roli kobiety w powszechnie przyjęty, normalny sposób. Niektóre
były ponadprzeciętnie uzdolnione, inne były lepiej wykształcone niż więk-
szość kobiet, lecz mimo to z takim samym oddaniem i intensywnością zaj-
mowały się wychowywaniem dzieci i zdawało się, że poza tym nie miały
innych zainteresowań.

Jedna z matek, która się zamartwiała tym, że syn nie mógł się nauczyć
czytać, powiedziała mi, że kiedy po raz pierwszy przyniósł do domu świa-

⁷ Edgar Friedenberg, *The Vanishing Adolescent*, dz. cyt., s. 212 i nast.

decko z przedszkola, była „tak podekscytowana, jakbym sama była dziec-
kiem, które czeka, żeby ktoś zaprosił mnie na randkę w sobotni wieczór”.
Uważała, że nauczyciele są w błędzie, kiedy się od nich dowiedziała, że syn
w klasie lunatkuje, nie potrafi się skoncentrować na tyle, żeby dokończyć
sprawdzian z umiejętności czytania. Z kolei inna matka stwierdziła, że
w ogóle nie może znieść, kiedy jej synowie przeżywają jakieś kłopoty lub
kiedy cierpią. Tak jakby byli częścią niej. Powiedziała:

„Dawniej pozwalałam im przewracać meble i budować domy w salo-
nie, które stały całymi dniami, tak że nie miałam nawet gdzie usiąść i po-
czytać. Nie mogłam znieść, że miałabym ich zmuszać do robienia tego, na
co nie mieli ochoty – kiedy byli chorzy, nie potrafiłam ich nawet zmusić
do zażywania lekarstw. Nie mogłam znieść, że mogliby być z mojego po-
vodu nieszczęśliwi, że mogliby ze mną walczyć bądź się na mnie gniewać.
W jakimś sensie nie potrafiłam się z nimi rozłączyć. Zawsze byłam wyrozu-
miała, cierpliwa. Czułam się winna, ilekroć musiałam ich zostawić choćby
tylko na jedno popołudnie. Sen z powiek spędzała mi każda praca domowa,
którą mieli w domu odrobić; zawsze koncentrowałam się przede wszystkim
na tym, żeby być dobrą matką. Byłam dumna, że Steve nie wdaje się w bójki
z innymi dziećmi z sąsiedztwa. Nie miałam pojęcia, że dzieje się coś
złego, dopóki nie zaczął sobie źle radzić w szkole, dopóki nie zaczęły mu się
śnić koszmary, że umiera – nie chciał już chodzić do szkoły, ponieważ bał
się innych chłopców”.

Z kolei inna kobieta zwierzyła się:

„Myślałam, że muszę być w domu każdego dnia, kiedy po południu
wracali ze szkoły. Przeczytałam wszystkie podręczniki, z których się uczy-
li, żebym mogła im pomagać w lekcjach. Nigdy nie byłam tak szczęśliwa
i podekscytowana jak wtedy, kiedy pomagałam Mary wybierać garderobę
do college’u. Byłam wściekła, że nie poszła na studia artystyczne. O takich
studiach marzyłam przed zamążpójściem. Może jednak lepiej w życiu reali-
zować własne marzenia”.

Nie uważam bynajmniej za zbieg okoliczności tego, że nasilająca się
u współczesnych dzieci pasywność, lunatyczne oderwanie się od rzeczy-
wistości stało się powszechnym zjawiskiem w tym samym czasie, kiedy
mistyka kobiecości zachęcała rzesze Amerykanek – nie wyłączając tych
najbardziej utalentowanych oraz rosnącej liczby kobiet z wyższym wy-

kształceniem – do rezygnacji z własnych marzeń, a nawet z własnej edukacji tylko po to, żeby żyły życiem swoich dzieci. Zjawisko „tłamszenia” osobowości dziecka przez matkę z klasy średniej, z którego już w latach czterdziestych zdawał sobie sprawę socjolog zajmujący się badaniem percepcji, nasilało się niezmiennie w ostatnich latach. Nie mając żadnych poważnych zainteresowań poza domem, przy jednoczesnej rutynizacji zajęć domowych, która nastąpiła dzięki pojawieniu się sprzętów gospodarstwa domowego, kobiety mogły się już prawie wyłącznie poświęcić kultowi dziecka od kołyski po wiek przedszkolny. Nawet kiedy dzieci poszły już do szkoły, ich matki mogły pośrednio, a czasem wręcz dosłownie dzielić z nimi życie. Dla wielu kobiet relacja z własnym dzieckiem przekształciła się w relację miłosną, w swoistą symbiozę.

„Symbioza” to pojęcie z dziedziny biologii; ujmując rzecz najprościej, odnosi się ono do procesu współżycia dwóch organizmów. W przypadku istot ludzkich, kiedy płód znajduje się w macicy, krew matki podtrzymuje jego życie; pokarm, którym się matka odżywia, pozwala się płodowi rozwijać, tlen pochodzi z powietrza, którym ona oddycha, ona wydała produkty jego przemiany materii. Na początku między matką a dzieckiem rodzi się jedność natury biologicznej, zachodzi cudowny i skomplikowany proces. Relacja ta kończy się z chwilą przecięcia pępowiny i przyjścia dziecka na świat jako odrębnej istoty ludzkiej.

Na tym etapie psychologowie zajmujący się rozwojem dziecka konstruują psychologiczną czy też emocjonalną „symbiozę”, jaka się rodzi między matką i dzieckiem, polegającą na tym, że miłość macierzyńska zastępuje płyn owodniowy, w którym płód jest w macicy nieustannie zanurzony i który dostarcza mu pożywienia. Psychika dziecka karmi się tą emocjonalną symbiozą, dopóki nie będzie ono gotowe do psychicznych narodzin, jak wcześniej do narodzin biologicznych. W ten oto sposób autorzy literatury psychologicznej – podobnie jak ci, którzy wznosili literackie i religijne peany na cześć miłości macierzyńskiej przed nastaniem epoki rozkwitu psychologii – opisywali stan, w którym matka i dziecko nadal stanowią mistyczną jedność, w rzeczywistości nie są odrębnymi istotami. W interpretacji popularyzatorów psychologii „symbioza” zdecydowanie oznaczała, że nieustanna, pełna miłości opieka matki jest absolutnie niezbędnym warunkiem rozwoju dziecka – trudno określić, jak długo jest ona konieczna.

W ostatnich latach pojęcie „symbiozy” coraz częściej zaczęło się pojawiać w historiach dzieci z zaburzeniami psychicznymi. Jak się wydaje, skutkiem tej mocno symbiotycznej relacji z matką, która w jakimś sensie umożliwia dzieciom stanie się odrębną istotą, są coraz liczniejsze przypadki nowych patologicznych zachowań dziecięcych. Można odnieść wrażenie, że dzieci z zaburzeniami emocjonalnymi „uzewnętrzniają” nieświadome pragnienia matki lub jej konflikty wewnętrzne – dziecięce marzenia, z których nie wyrosła lub których się wyrzekła, lecz wciąż stara się je zrealizować w swoim dziecku.

Pojęcie „odreagowanie na zewnątrz” (*acting out*) jest wykorzystywane w psychoanalizie dla opisu zachowania pacjenta, które nie znajduje uzasadnienia w określonej, rzeczywistej sytuacji, ale jest wyrazem nieświadomych dziecięcych pragnień lub fantazji. Stwierdzenie, że nieświadome dziecięce pragnienia, które dziecko zaburzone emocjonalnie „uzewnętrznia”, nie są jego fantazją, lecz życzeniami jego matki, brzmieć może cokolwiek mistycznie. Psychoterapeuci potrafią jednak prześledzić poszczególne etapy postępowania matki, która wykorzystuje dziecko, by zaspokoić własne infantylne marzenia, nieświadomie zmuszając je do zachowań, które mogą destrukcyjnie wpłynąć na jego rozwój. Żona pewnego dyrektora z Westchester, która pchnęła swoją trzynastoletnią córkę na drogę rozwiązłości seksualnej, nie tylko zadbała o to, aby wyrosła z niej dziewczyna świadoma swych seksualnych wdzięków – zanedbując jednocześnie całkowicie rozwój osobowości dziecka – lecz ponadto, zadreńczając ją nieustannie ostrzeżeniami i pytaniami, wpoila jej przekonanie – i to jeszcze zanim dziewczynce zaczął rosnąć biust – że oczekuje się od niej, iż w prawdziwym życiu odegra matczyne fantazje o prostytutce.

Nigdy nie uznano za patologię postępowania matek i ojców, którzy za pośrednictwem swoich dzieci uzewnętrzniają własne marzenia, z wyjątkiem tych przypadków, kiedy fantazje rodzica ignorują realną sytuację dziecka i ją zafałszowują. Napisano wiele powieści i przytoczyć by można wiele historii opowiadających o chłopcu, który został kiepskim biznesmem tylko dlatego, że spełnił życzenie swego ojca, który o takim losie dla niego marzył, podczas gdy on sam byłby zapewne świetnym skrzypkiem; bądź o chłopcu, który skończył w wariatkowie, niweczając w ten sposób plany matki marzącej, iż będzie kiedyś wielkim skrzypkiem. Jeżeli w ostatnich latach proces ten zaczął przybierać wręcz patologiczny charakter, to dzieje

się tak dlatego, że marzenia matek, które ich dzieci uzewnętrzniają, uległy infantylizacji. Same matki są dziś osobami zdecydowanie bardziej infantylnymi, a ponieważ w coraz większym stopniu są zmuszone dążyć do zaspokojenia swych potrzeb za pośrednictwem dzieci, to okazuje się w końcu, że nie potrafią oddzielić się od dziecka. Może się w związku z tym wydawać, że w tej „symbiotycznej” relacji to dziecko jest tym, kto podtrzymuje życie w matce, i to ono zostaje w zasadzie najboleśniej poszkodowane wskutek tego procesu.

Ta destrukcyjna symbioza jest dosłownie wpisana w mistykę kobiecości. Sam proces ma postępujący charakter. Zaczyna się w jednym pokoleniu i rozwija się w następnym mniej więcej w taki oto sposób:

Pozwalając dziewczętom unikać zmierzenia się z rzeczywistością, uchylać się przed przyjęciem poważnych zobowiązań zarówno w szkole, jak i w świecie zewnętrznym, obiecując im magiczne spełnienie, jakie osiągną w małżeństwie, mistyka kobiecości zahamowuje ich rozwój na infantylnym poziomie, zanim w pełni ukształtuje się ich indywidualna tożsamość, co niechybnie skutkuje słabo rozwiniętym „Ja”.

Im większy infantylnizm i im słabiej rozwinięte „Ja”, tym wcześniej dziewczyna zaczyna poszukiwać „spełnienia” w roli matki i żony i tym bardziej żyć będzie wyłącznie życiem męża i dzieci. W ten oto sposób więzi, jakie ją łączą ze światem rzeczywistym, poczucie „Ja” i własnej tożsamości będą stopniowo słabły.

Ponieważ ludzki organizm ma wrodzoną chęć rozwoju, kobieta, która nie chce się rozwijać, chwytając się kurczowo dziecinnej ochrony, jaką jej daje rola pani domu – jako że ta rola nie pozwala jej dorosnąć – będzie przejawiała coraz poważniejsze zaburzenia psychiczne i emocjonalne. Jej macierzyństwo będzie przybierało coraz bardziej patologiczny charakter, dotkliwy zarówno dla niej samej, jak i jej dzieci. Im bardziej matka ulega infantylizacji, tym większe prawdopodobieństwo, że dziecko nie będzie w stanie osiągnąć dojrzałości w rzeczywistym świecie. Matki o infantylniej osobowości będą jeszcze bardziej infantylizowały swoje dzieci, które z kolei coraz wcześniej będą uciekały w świat fantazji, żeby nie musieć konfrontować się z rzeczywistością.

Oznaki tej patologicznej ucieczki od realnego świata będą bardziej widoczne w przypadku chłopców, albowiem już od małego oczekuje się od nich, że staną w szranki z rzeczywistością, podczas gdy dziewczynkom mi-

styka kobiecości pozwala na ucieczkę w świat seksualnych fantazji. Już jednak same te oczekiwania powodują, że chłopcy rozwijają się dalej, w zmaganiach z rzeczywistością kształtując silną osobowość, natomiast dziewczęta stają się najbardziej poszkodowanymi ofiarami, jak też najgorszym ogniskiem zarazy, jaką jest postępująca dehumanizacja własnych dzieci.

Od psychiatrów i lekarzy praktykujących na przedmieściach dowiedziałam się, na czym ten proces polega. Jeden z psychiatrów, Andras Angyal, opisał to zjawisko – które bynajmniej nie musi się odnosić wyłącznie do kobiet – jako „neurotyczne uchylanie się od rozwoju”. Można wyróżnić dwie zasadnicze metody, które pozwalają uchylać się od dojrzałości. Jedną jest „brak zaangażowania”: człowiek żyje – uczy się, pracuje, żeni się – zachowując pozory, lecz ani razu nie angażując się całym sercem w jakąkolwiek aktywność. Przeżywa swoje życie trochę tak, jakby „grał jakąś rolę”. Na pozór może się wydawać, że człowiek zachowuje się normalnie, że wszystko się w jego życiu zwyczajnie układa, lecz w istocie on tylko „zachowuje pozory”.

Drugim sposobem pozwalającym uchylać się od indywidualnego rozwoju jest metoda, którą Angyal określił formułą: „żyć cudzym życiem”. Polega ona na systematycznym wypieraniu się własnej osobowości i jej tłumieniu oraz na próbie zastąpienia jej cudzą osobowością, „wyidealizowaną koncepcją, standardem absolutnej dobroci, zgodnie z którym człowiek stara się żyć, tłumiąc wszelkie autentyczne impulsy, które są niezgodne z owym wyśrubowanym i nierealistycznym standardem postępowania”, lub też na przyjęciu osobowości, która jest „popularnym szablonem w danej epoce”.

„Najczęstszym przejawem zjawiska polegającego na życiu cudzym życiem jest szczególnie skonstruowana zależność od innej osoby, często mylnie brana za miłość. Tym niezwykle intensywnym i mocnym więziom brakuje jednak zasadniczych elementów, jakimi charakteryzuje się autentyczna miłość – poświęcenia, intuicyjnego rozumienia oraz zadowolenia, jakie daje istnienie drugiej osoby, która jest człowiekiem niezależnym, postępującym wedle własnych upodobań. Wręcz przeciwnie, więzi te mają niezwykle zaburczy charakter i na ogół przejawia się w nich skłonność do tego, by pozbyć partnera «własnego życia». (...) Druga osoba jest potrzebna nie po to, by wejść z nią w jakąś relację, lecz po to, by wypełnić czyjąś wewnętrzną pustkę, czyjąś nicość. To poczucie własnej marności początkowo było je-

dynie fantazją, ale stopniowo, wskutek stałego tłumienia swojego *Ja*, coraz bardziej staje się stanem faktycznym.

Wszelkie starania służące temu, by zyskać osobowość zastępczą poprzez życie cudzym życiem, kończą się fiaskiem, nie uwalniają bowiem człowieka od nieokreślonego poczucia pustki. Tłumienie autentycznych, spontanicznych impulsów wpędza człowieka w stan bolesnej emocjonalnej próżni, pozostawia go w poczuciu niemalże nieistnienia (...)”⁸.

„Brak zaangażowania” lub „życie cudzym życiem” można rozumieć – kończy swój wywód Angyal – jako „próbę znalezienia rozwiązania konfliktu między chęcią rozwijania się a lękiem przed zmierzeniem się z nowymi sytuacjami”, lecz choć na pewien czas jeden i drugi sposób mogą osłabić presję, jakiej ulega człowiek, w rzeczywistości nie rozwiążą samego problemu; „skutkiem obu postaw, choć niezamierzonym, jest zawsze uchylanie się od rozwoju osobistego”.

Brak zaangażowania i życie cudzym życiem są natomiast zasadniczym elementem tradycyjnej, przyjętej w naszej kulturze, definicji kobiecości. To sposób, w jaki mistyka kobiecości wpaja dziewczętom, iż powinny dążyć do „spełnienia się w kobiecej roli” – w ten sposób żyje dziś przecież większość kobiet w Ameryce. Skoro jednak ludzki organizm ma wrodzoną chęć rozwijania się, doskonalenia się, ewoluowania tak, by człowiek mógł się stać tym, kim chciałby być, to trudno się wobec tego dziwić, że ciała i umysły zdrowych kobiet zaczynają się buntować z chwilą, gdy próbują się one przystosować do roli, która nie pozwala im się rozwijać. Objawy, które tak bardzo zaintrygowały lekarzy i psychoanalitików, są sygnałem ostrzegawczym, że kobiety nie potrafią bez walki wyrzec się własnej egzystencji, zrezygnować z własnego rozwoju.

Widziałam walkę, jaką toczyły moje rozmówczynie oraz kobiety z mojego otoczenia – i niestety, muszę to przyznać, jest to często walka przegrana. Pewna młoda dziewczyna najpierw w liceum, a później na studiach w college’u zrezygnowała ze wszystkich poważnych zainteresowań i ambicji za cenę zdobycia „popularności”. Młodo wyszła za mąż, grała rolę tradycyjnej pani domu, prawie tak samo jak wcześniej na uczelni odgrywała rolę popularnej studentki. Nie wiem, w którym momencie straciła kontakt

⁸ Andras Angyal, *Evasion of Growth*, [w:] „American Journal of Psychiatry”, t. 110, nr 5, listopad 1953, s. 358–361. Zob. także: Erich Fromm, *Ucieczka od wolności*, dz. cyt., s. 137–197.

z rzeczywistością, przestała rozróżniać, co jest prawdziwe, a co tylko fasadą, ale kiedy urodziła dziecko, czasami rzucała się na podłogę i waliła w nią nogami w napadzie złości, mimo iż nie była w stanie znieść takiego zachowania u swojej trzyletniej córki. W wieku 38 lat podcięła sobie żyły, próbując popełnić samobójstwo.

Inna niezwykle inteligentna kobieta, która zrezygnowała z ambitnej kariery naukowej w dziedzinie onkologii, by zostać zwykłą panią domu, cierpiała na poważną depresję poporodową. Kiedy wyzdrowiała, tak „blisko” była związana z dzieckiem, że codziennie rano przez cztery miesiące musiała zostawać z synkiem w przedszkolu, inaczej bowiem wpadał w gwałtowne ataki płaczu i złości. W pierwszej klasie często rano wymiotował, kiedy musiał się z nią rozstać. Na podwórku chłopiec zachowywał się agresywnie, co stawało się niebezpieczne dla niego i innych dzieci. Kiedy pewnego razu sąsiad zabrał mu kij baseballowy, którym o mały włos nie uderzył innego dziecka w głowę, matka gwałtownie zaprotestowała, żeby nie „frustrować” jej małego, choć sama nie potrafiła mu narzucić żadnej dyscypliny.

W ciągu dziesięciu lat, kiedy zgodnie z oczekiwaniami kobieta ta stwarzała wszelkie pozory wywiązywania się z przypisanej jej roli matki z zamoznego przedmieścia, z jednym może wyjątkiem, że nie potrafiła wykaazać się stanowczością wobec własnych dzieci, widać było coraz bardziej, że z każdym dniem uchodzi z niej życie, że ma coraz mniejsze poczucie własnej wartości. Na dzień przed tym, kiedy się powiesiła w suterenie swego nieskazitelnego czystego, dwupoziomowego domu, zawiozła trójkę swoich dzieci na wizytę kontrolną do pediatry i załatwiła wszystkie sprawy związane z przygotowaniem urodzinowego przyjęcia dla córki.

Wprawdzie dla nielicznych pań domu z podmiejskich dzielnic ostatecznością jest samobójstwo, lecz mimo to są inne dowody świadczące o tym, że kobiety płacą wysoką emocjonalną i fizyczną cenę za uchylanie się od rozwoju osobistego. Nie są, jak już to dziś wiadomo, słabszym biologicznie gatunkiem. W każdym przedziale wiekowym umiera mniej kobiet niż mężczyzn. Jednak w Ameryce, od czasów, gdy kobiety przyjęły kobiecą, przypisaną ich płci, rolę gospodyń domowych, straciły zapał do życia, straciły całą radość, poczucie celu, jakimi się cechuje prawdziwie zdrowy człowiek.

W latach pięćdziesiątych psychiatrzy, psychoanalitiky i lekarze różnych specjalizacji zauważyli, że syndrom pani domu zaczyna przybierać coraz bardziej patologiczny charakter. Łagodne objawy, których nie dawało się

zdiagnozować – krwawiące bąble, apatia, nerwowość i zmęczenie występujące u młodych pań domu – przerodziły się w ataki serca, krwawiące wrzody żołądka, nadciśnienie, odoskrzelowe zapalenie płuc; nienazwane emocjonalne cierpienie przerodziło się w psychotyczne załamanie nerwowe. Na pewnym słonecznym przedmieściu wśród nowego pokolenia matek zajmujących się wyłącznie domem i dziećmi zaobserwowano w tym dziesięcioleciu niewiarygodny wprost wzrost przypadków „psychoz o podłożu macierzyńskim”, łagodnych i poważnych depresji, z próbami samobójczymi włącznie oraz halucynacji związanych z porodem. Według danych zebranych w latach pięćdziesiątych przez dr. Richarda Gordona, psychiatrę, i jego żonę Katherine, psycholożkę społeczną, na przedmieściach w hrabstwie Bergen w stanie Nowy Jork prawie co trzecia młoda matka cierpiała na depresję lub przeżyła psychiczne załamanie w związku z urodzeniem dziecka. W porównaniu z poprzednimi statystykami medycznymi daje to następujący obraz: jedna na 400 kobiet w ciąży przeżywała dawniej załamanie psychiczne, co osiemdziesiąta cierpiała na mniej poważną depresję.

„W hrabstwie Bergen w latach 1953–1957 co dziesiąta z 746 dorosłych pacjentek korzystających z porad psychiatrów była młodą żoną, która załamała się psychicznie po porodzie. W rzeczywistości młode panie domu (w przedziale wiekowym 18–44 lata), cierpiące nie tylko na depresję poporodową, lecz także na wszelkie psychiatryczne i psychosomatyczne zaburzenia mające coraz poważniejszy przebieg, stały się w latach pięćdziesiątych główną grupą pacjentów zakładów psychiatrycznych. Liczba młodych żon z zaburzeniami emocjonalnymi była o ponad połowę wyższa niż liczba młodych mężów i trzykrotnie wyższa od innych grup pacjentów. (W innych badaniach przeprowadzonych wśród należących do klasy średniej pacjentów prywatnych i publicznych szpitali psychiatrycznych uzyskano podobne dane.) Przez całe lata pięćdziesiąte młode żony coraz częściej niż mężczyźni miały zawał serca, cierpiały na wrzody, nadciśnienie, zapadały na oskrzelowe zapalenie płuc. W szpitalu, z którego usług korzystają mieszkańcy tego hrabstwa, kobiety stanowią dziś 40% pacjentów leczących się na wrzody żołądka”⁹.

⁹ Zob. Richard E. Gordon, Katherine Gordon, *Social Factors in the Prediction and Treatment of Emotional Disorders of Pregnancy*, [w:] „American Journal of Obstetrics and Gynecology”, 1959, nr 77 (5), s. 1074–1083. Zob. także: Richard E. Gordon, Katherine

Pojechałam na spotkanie z Gordonami, którzy coraz liczniejsze przypadki patologicznych zachowań, jakie można było stwierdzić u młodych pań domu z nowego pokolenia – a jakich nie spotykało się u kobiet z obszarów wiejskich bądź mieszkających na dawniej zbudowanych podmiejskich osiedlach lub w miastach – przypisywali „mobilności” nowej podmiejskiej społeczności. Ale przecież „mobilni” mężowie nie załamywali się psychicznie tak jak ich małżonki i dzieci. Z dawniej przeprowadzonych badań nad depresją poporodową wynikało, że kobiety z sukcesem wykonujące wolny zawód lub pracujące zawodowo czasami przeżywają „konflikt ról”, kiedy wchodzi w rolę matki zajmującej się wyłącznie domem i dziećmi. Jednak nowe ofiary, wśród których współczynnik zachorowań na depresję poporodową lub załamań psychicznych zdecydowanie przewyższał poprzednie szacunki, nigdy nie chciały być kimś innym, lecz wyłącznie panią domu i matką i tylko tego od nich oczekiwano. Gordonowie zauważyli, że z ich badań nie wynika bynajmniej, iż młode panie domu siłą rzeczy są bardziej narażone na stres niż ich mężowie; z jakiejś przyczyny kobiety wykazują po prostu większą skłonność do tłumienia stresu. Czyż mogło to zatem oznaczać, że rola pani domu i matki je przerastała, czy też że nie była dla nich wystarczająca?

W dzieciństwie tych kobiet trudno się było doszukać takich samych załączków neurozy; w rzeczywistości część z nich w ogóle nie miała doświadczeń, które mogłyby na to wskazywać. Z historii ich przypadków wyłaniało się jednak pewne uderzające podobieństwo, a mianowicie fakt, że przerwały edukację na poziomie daleko poniżej ich zdolności. Neurotyczne zachowania wykazywały kobiety, które porzuciły liceum lub studia w college’u; one częściej niż inne kobiety podejmowały naukę w college’u i zwykle po roku z niej rezygnowały¹⁰. Wiele pochodziło z „grup etnicznych przestrze-

Gordon, *Psychiatric Problems of a Rapidly Growing Suburb*, [w:] „American Medical Association Archives of Neurology and Psychiatry”, 1958, t. 79; *Psychosomatic Problems of a Rapidly Growing Suburb*, [w:] „Journal of the American Medical Association”, 1959, nr 170 (15); *Social Psychiatry of a Mobile Suburb*, [w:] „International Journal of Social Psychiatry”, 1960, nr 6 (1, 2), s. 89–99. Niektóre z tych wyników zostały spopularyzowane w zbiorze historii przypadków *The Split Level Trap* opisanych przez Gordonów we współpracy z Maxem Guntherem (New York, 1960).

¹⁰ Richard E. Gordon, *Sociodynamics and Psychotherapy*, [w:] „A.M.A. Archives of Neurology and Psychiatry”, kwiecień 1959, t. 81, s. 486–503.

gających surowszych reguł postępowania” (wywodziły się ze społeczności włoskich lub żydowskich) lub z małych miasteczek na południu Stanów, gdzie „kobiety były chronione i zależne od innych”. Większość nie dążyła do uzyskania wykształcenia czy podjęcia pracy zawodowej, zdobyć się na jakąkolwiek aktywność w świecie zewnętrznym przekraczało ich możliwości. Nieliczne spośród tych, które przeżyły załamanie psychiczne, wykonywały wcześniej pracę niewymagającą jakichś szczególnych umiejętności lub zaczynały właśnie rozwijać swoje zainteresowania, z których musiały zrezygnować, kiedy przeistoczyły się w panią domu i matkę z przedmieścia. Większość jednak nie miała żadnych ambicji z wyjątkiem jednej: poślubić kogoś dobrze zapowiadającego się młodego człowieka; wiele kobiet realizowało w ten sposób nie tylko własne marzenia, lecz także niespełnione marzenia swoich matek, które chciały niegdyś poślubić ambitnego mężczyznę, który coś w życiu osiągnie. Dr Gordon opisał tę sytuację następującymi słowami: „Nie były kobietami, które coś potrafią. Niczego w życiu nie osiągnęły. Nie potrafiły nawet zorganizować komitetów, które trzeba było tworzyć w takich miejscach. Nigdy się do niczego nie musiały przykładać, bo nikt tego od nich nie wymagał, nie musiały się uczyć, jak coś zrobić, żeby potem to wykonać. Wiele z nich rzuciło szkołę. Łatwiej urodzić dziecko, niż dostać celujący stopień. Nigdy nie nauczyły się radzić sobie ze stresem, cierpieniem, ciężką pracą. W momencie gdy pojawiły się pierwsze trudności, załamywały się”.

Być może właśnie dlatego, że dziewczyny te były bardziej pasywne, bardziej niesamodzielne od innych kobiet, siedziały zamknięte w czterech ścianach w domach na przedmieściach, niekiedy sprawiały wrażenie istot bardziej dziecinnych od swoich dzieci. Z kolei ich dzieci przejawiały pasywność i infantylizm przybierające wręcz patologiczny charakter, co w przypadku synów dawało się dość wcześnie zauważyć. Można się przekonać, że dziś w podmiejskich klinikach psychiatrycznych przytłaczającą większość dziecięcych pacjentów stanowią chłopcy, co jest poniekąd dramatyczną i w żaden sposób niewytłumaczalną odwrotnością tego, że większość dorosłych pacjentów we wszystkich klinikach i gabinetach lekarskich stanowią dziś kobiety, tj. gospodynie domowe. Pomijając całą teoretyczną terminologię, jaką się posługują jego koledzy po fachu, pewien bostoński psychoanalityk powiedział mi rzecz następującą:

„Faktycznie wśród pacjentów jest znacznie więcej kobiet niż mężczyzn. Uskarżają się na rozmaite dolegliwości, ale jeśli zajrzeć w głąb ich duszy, to znajdzie się tam ukryte poczucie pustki. To nie jest poczucie niższości. To niemal poczucie nicości. One w ogóle nie dążą do realizacji własnych celów”.

Inny lekarz z pewnej podmiejskiej kliniki psychiatrycznej opowiedział mi o przypadku młodej matki szesnastoletniej dziewczyny, która od czasów przeprowadzki na przedmieścia przed siedmioma laty bez reszty była zajęta wychowywaniem dzieci oraz w znikomym stopniu pracą „społeczną” na rzecz lokalnej społeczności. Mimo nieustannego zamartwiania się o córkę („Myślę o niej cały dzień – nie ma żadnych przyjaciół, czy dostanie się na studia?”) *zapomniała* o dniu, kiedy jej córka miała zdawać egzaminy wstępne do college’u.

„Niepokój o córkę i o to, co robi, był jej własnym lękiem – lękiem o siebie i o to, czego nie robi. Choć kobiety cierpią, myśląc w kółko o tym, czego ze sobą nie robią, dzieci tak naprawdę mają z nimi bardzo mały autentyczny kontakt. Przychodzi mi na myśl inne dziecko, pewien dwulatek, który wykazywał objawy poważnych zaburzeń, ponieważ prawie w ogóle nie miał prawdziwego kontaktu z własną matką. Ona bardzo dużo przebywa w domu, siedzi w nim całymi dniami. Muszę ją uczyć, jak nawiązać stały, fizyczny kontakt z dzieckiem. Problemu tego nie uda się jednak rozwiązać dopóty, dopóki matka nie zmierzy się z potrzebą samospełnienia, którą odczuwa. Fakt, że ktoś cały czas przebywa z dziećmi, nie ma nic wspólnego z ilością czasu, jaki się im poświęca – można być po to, żeby w ułamku sekundy zaspokajać potrzeby dziecka. Matka może być w domu cały dzień i w ogóle nie poświęcać uwagi dziecku, bowiem cały czas jest zaprzątnięta własnymi myślami. Dlatego dzieciak dusi się w napadach hysterii, szamocze się w gniewie, nie pozwala matce zostawić go w przedszkolu, jeszcze w wieku 9 lat chłopiec chce, by matka go kąpała, kładła się z nim do łóżka, bo inaczej nie zaśnie. Albo zamyka się w sobie, omal nie popadając w schizofrenię. Ona zaś rozpaczliwie próbuje zaspokoić potrzeby dziecka i jego kolejne żądania. Gdyby jednak rzeczywiście potrafiła się w życiu realizować, umiałaby także być ze swoim dzieckiem. Dlatego musi najpierw stać się sobą – i dopiero jako dojrzała osoba będzie potrafiła pomóc dziecku dorosnąć, nauczyć się radzić sobie z rzeczywistością, a nawet poznać, co tak naprawdę czuje”.

W kolejnej klinice psychoterapeuta opowiedział mi o matce, która wpadła w histerię, ponieważ jej dziecko nie potrafiło się nauczyć czytać w szkole, mimo że testy potwierdziły wysoki iloraz inteligencji. Matka zrezygnowała ze studiów, rzuciła się w wir obowiązków pani domu, żyła w ten sposób, dopóki jej syn nie poszedł do szkoły, a ona mogła spełniać się, żyjąc jego sukcesami. Dopóki terapia nie zmusiła matki do „rozdzielenia się” z dzieckiem, mały w ogóle nie miał poczucia, że jest odrębną istotą. Nawet w zabawie stał bez ruchu, dopóki ktoś nie powiedział mu, co ma robić. Nie potrafił się nawet nauczyć czytać, co byłoby aktem samodzielności.

Dziwne natomiast było to – jak zauważył psychoterapeuta – że tak jak tyle innych kobiet w tej epoce kultu „kobiecej roli”, starając się być „prawdziwą kobietą”, „dobrą żoną i matką”, pacjentka ta „w gruncie rzeczy odgrywała bardzo męską rolę. (...) Rozstawiała wszystkich po kątach – zdominowała dzieci, rządziła domem żelazną ręką, zajmowała się stolarką, zamęczała męża, żeby wykonywał w domu różne drobne prace, których on potem nigdy nie kończył, zarządzała domowym budżetem, pilnowała rozrywek i nauki – mąż był jedynie człowiekiem, który płacił rachunki”.

W społeczności w Westchester, której system szkolny słynie w świecie, odkryto niedawno, że maturzyści, którzy na świadectwie licealnym mieli najlepsze oceny, bardzo kiepsko radzili sobie na studiach i niewiele później w życiu osiągnęli. Badania przeprowadzone wśród absolwentów tamtejszych liceów ujawniły prostą psychologiczną przyczynę. Przez całą szkołę średnią matki dosłownie odrabiały za dzieci pracę domową i pisały semestralne prace zaliczeniowe. Oszustwem pozbawiły synów i córki możliwości samodzielnego rozwoju psychicznego.

Z kolei inny psychoanalitik wyjaśnia, dlaczego przyczyną zachowań chuligańskich młodzieży jest fakt, iż dziecko uzewnętrznia potrzeby matki, której rozwój psychiczny został zahamowany.

„Regularnie można się spotkać z sytuacją, kiedy ważniejszy z rodziców – zwykle matka, choć zawsze w jakimś stopniu dotyczy to również ojca – zachęca dziecko do amoralnych lub antyspołecznych zachowań. Neurotyczne potrzeby rodzica (...) są pośrednio zaspokajane postępowaniem dziecka. Tego typu neurotyczne potrzeby występują u któregoś z rodziców dlatego, że nie potrafią ich zaspokoić w świecie dorosłych albo z powodu ich stłumienia w dzieciństwie, albo też – z czym mamy częściej do czynienia – wskutek połączenia obu tych czynników”¹¹.

¹¹ Adelaide M. Johnson, S.A. Szurels, *The Genesis of Antisocial Acting Out in Children*

Osoby, które zaobserwowały przypadki takich zachowań i próbowały pomóc młodocianym chuliganom, przekonały się, na czym polega ten proces postępującej dehumanizacji, i odkryli, że sama miłość nie stanowi wystarczającej przeciwwagi. Symbiotyczna miłość lub pobłażliwość i nadmierny liberalizm – a tak się właśnie przejawiała miłość macierzyńska w czasach mistyki kobiecości – nie wystarczą, aby ukształtować w dziecku sumienie społeczne i siłę charakteru. Do tego potrzeba dojrzałej matki, mającej w pełni ukształtowaną, stabilną osobowość, której własne, seksualne, instynktowne potrzeby są zintegrowane z sumieniem społecznym. „Stabilność cechuje rodzica, który nauczył się (...), jak można osiągnąć wszystkie swoje główne cele w jakimś twórczym działaniu (...)”¹².

Psychoterapeuta opisał przypadek dziewięcioletniej dziewczynki, która kradła. Ona przecież z tego wyrośnie – stwierdziła jej opiekuńcza mamusia – prezentując „liberalizm zrodzony z jej własnej potrzeby czerpania satysfakcji z cudzych czynów”. W pewnym momencie dziewięciolatka spytała psychoterapeutę: „Kiedy mamusia sama zacznie kraść?”

Najbardziej skrajne przejawy tego wzorca postępującej dehumanizacji można dostrzec u dzieci chorujących na schizofrenię: dzieci „autystycznych” czy „nietypowych”, jak się je niekiedy nazywa. Odwiedziłam pewną słynną klinikę, w której od dwudziestu lat prowadzi się badania nad dziećmi cierpiącymi na tego typu zaburzenia. Niektórzy specjaliści sądzili, że w tym okresie zwiększyła się liczba przypadków dzieci, których rozwój zatrzymał się na bardzo prymitywnym, subinfantylnym poziomie. Dyrekcja szpitala różni się w ocenie przyczyn tego stanu rzeczy, a także tego, czy faktycznie zwiększyła się liczba tych przypadków, czy też tylko tak się wydaje, ponieważ dziś znacznie częściej udaje się postawić diagnozę. Jeszcze do niedawna sądzono, że większość dzieci z takimi zaburzeniami jest upośledzona umysłowo, jednak dziś lekarze i psychiatrzy coraz częściej mają do czynienia z takimi przypadkami w szpitalach i klinikach. Stan, w jakim się znajdują dzieci, nie przypomina nieodwracalnego upośledzenia umysłowego o podłożu organicznym. W tym wypadku można zastosować terapię, a niekiedy nawet wyleczyć.

Dzieci z takimi zaburzeniami często utożsamiają się z przedmiotami, z obiektami nieożywionymi – samochodami, odbiornikami radiowymi itp.

and Adults, [w:] „Psychoanalytic Quarterly”, 1952, nr 21, s. 323–343.

¹² Tamże.

lub ze zwierzętami – ze świnkami, psami, kotami. Sedno problemu wydaje się polegać na tym, że dzieci z takimi zaburzeniami nie rozwinęły w sobie dość silnego własnego „Ja”, żeby dać sobie radę z dziecięcą rzeczywistością; nie potrafią wyodrębnić się jako osobny byt ze świata zewnętrznego; żyją na poziomie przedmiotów bądź instynktownego popędu biologicznego, który w ogóle nie dał się podporządkować ludzkim normom postępowania. Co do przyczyn, dyrekcja szpitala była zdania, że „trzeba zbadać osobowość matki będącej medium, za pośrednictwem którego prymitywne niemowlę przeistacza się w zsocjalizowaną istotę ludzką”¹³.

W klinice, którą odwiedziłam (Centrum Dzieci im. Jamesa Jacksona Putnama), pracownicy przezornie nie wyciągali ostatecznych wniosków co do przyczyn choroby dzieci z głębokimi zaburzeniami. Jeden z lekarzy z pewną dozą zniecierpliwienia stwierdził, że spotyka się z narastającą lawiną „zagubionych ego, kruchego Ja, kiepsko rozwiniętych osobowości” – „Zawsze przecież o tym wiedzieliśmy: jeśli rodzic ma kruche ego, to będzie je miało i dziecko”.

Matki dzieci z nierozwiniętą osobowością i brakiem poczucia własnego „Ja” były na ogół „niezwykle niedojrzałymi jednostkami”, mimo iż na pozór „wydawały się osobami doskonale przystosowanymi”. Były mocno uzależnione od swoich matek, tę niesamodzielną wniósł w małżeństwo zawarte w młodym wieku, które stanowiło dla nich ucieczkę: „heroicznie walczyły o to, żeby zbudować i później podtrzymać stworzony przez siebie wizerunek idealnej kobiety, żony i matki”.

„Potrzeba bycia matką, nadzieja i oczekiwania, że dzięki temu doświadczeniu kobieta stanie się wreszcie prawdziwym człowiekiem, osobą zdolną do prawdziwych emocji, już ze swej istoty jest tak rozpaczliwa, że może wywoływać niepokój, uczucie ambiwalencji, lęk przed porażką. Ponieważ matka jest pozbawiona wszelkich spontanicznych przejawów uczuć macierzyńskich, czujnie zgłębia wszelkie nowe metody wychowawcze i czyta rozprawy o higienie fizycznej i psychicznej”¹⁴.

Wszechstronna opieka, jaką otacza dziecko, nie jest zachowaniem spontanicznym, lecz postępowaniem zgodnie z „wyobrażeniami, jak powinna się

¹³ Beata Rank, *Adaptation of the Psychoanalytical Technique for the Treatment of Young Children with Atypical Development*, [w:] „American Journal of Orthopsychiatry”, styczeń 1949, nr XIX (1).

¹⁴ Tamże.

zachowywać dobra matka”, w nadziei, że „identyfikując się z własnym dzieckiem, zrodzonym z jej ciała, może cieszyć się szczęściem innych, zaznać pośrednio radości prawdziwej egzystencji, poznać smak autentycznych przeżyć”.

W ten sposób dziecko zostaje zredukowane ze stanu „pasywnej bezwładności”, „krzyku rozlegającego się w nocy” do kondycji odczłowieczonej. „Pasywne dziecko jest mniejszym zagrożeniem, ponieważ nie stawia matce wygórowanych żądań, ona przecież i tak odczuwa nieustanne zagrożenie, że w końcu wyjdzie na jaw, iż pod względem emocjonalnym nie ma nic do zaoferowania lub bardzo niewiele, że jest oszustką”. Kiedy kobieta uświadamia sobie wreszcie, że naprawdę nie uda jej się osiągnąć spełnienia za pośrednictwem dziecka:

„(...) rozpaczliwie walczy o to, by nie stracić kontroli, być może już nie nad sobą, lecz nad dzieckiem. Walka, jaką toczy, by nauczyć dziecko korzystania z nocnika czy o to, by je odstawić od piersi, to na ogół walka, w której próbuje ocalić samą siebie. Dziecko pada prawdziwą ofiarą – ofiarą matczynej bezradności, która z kolei wywołuje w niej agresję przybierającą wręcz formę destrukcji. Dla dziecka jedynym ratunkiem jest wycofanie się, ucieczka nie tylko przed niebezpieczną matką, lecz w ogóle przed całym światem”¹⁵.

Tak oto dziecko staje się „przedmiotem” lub zwierzęciem albo „niestrudzonego wędrowcem nieszukającym nikogo ani niczego, snującym się po pokoju, kołyszącym się w przód i w tył, chodzącym w kółko wzdłuż ścian, jakby to były kraty, przez które chciałby się przedrzeć”.

We wspomnianej klinice lekarze często potrafili doszukać się podobnego wzoru zachowań kilka pokoleń wstecz. Dehumanizacja była w istocie postępująca.

„Biorąc pod uwagę kliniczne obserwacje, możemy przyjąć założenie, że konflikt, który zaobserwowaliśmy u dwóch pokoleń dzieci, równie dobrze mógł już istnieć w pokoleniach wcześniejszych – i będzie istniał w następnych, chyba że wzorzec zachowania zostanie przerwany wskutek terapeutycznej interwencji lub dziecko zostanie uratowane przez męską postać ojca, jakkolwiek z naszego doświadczenia wynika, że jest to płonna nadzieja”¹⁶.

¹⁵ Tamże.

¹⁶ Beata Rank, Marian C. Putna, Gregory Rochlin, *The Significance of the „Emotional Climate” in Early Feeding Difficulties*, [w:] „Psychosomatic Medicine”, październik 1948, nr X (5).

Ani terapia, ani miłość nie były jednak w stanie pomóc tym dzieciom, jeżeli matki w dalszym ciągu żyły życiem swojego dziecka. Ten sam wzorzec zachowania dostrzegłam u wielu kobiet, z którymi przeprowadzałam wywiady, u kobiet, które zdominowały swoje córki lub wpoili im pasywną zależność od innych i konformizm bądź nieświadomie pchnęły ku podjęciu aktywności seksualnej. Jedną z najtragiczniejszych postaci, z którymi rozmawiałam, była matka wspomnianej „lunatykującej” trzynastolatki. Żona zamożnego dyrektora, której na pozór niczego w życiu nie brakowało, żyła zgodnie z rozpowszechnionym na przedmieściach modelem „wspólnoty”, tyle że to był jedynie pancierz, który zapewniał jej osłonę przed światem. Mąż za to żył prawdziwym życiem, całkowicie koncentrując się na interesach, które prowadził; wiódł życie, którego nie potrafił dzielić z żoną. Ona z kolei usiłowała odzyskać sens życia, nieświadomie popychając swą trzynastoletnią córkę ku swobodnym zachowaniom seksualnym. Żyła pseudo-seksualnym życiem córki, które dla dziewczynki stało się do tego stopnia pozbawione rzeczywistego uczucia, że stała się w nim jedynie „rzeczą”.

Wielu psychoterapeutów i psychologów próbowało „pomóc” matce i ojcu, wychodząc – jak przypuszczam – z założenia, że gdyby seksualno-emocjonalne potrzeby matki zostały w małżeństwie zaspokojone przez męża, nie musiałyby rozwiązywać swoich problemów, żyjąc życiem córki – zaś córka wyrosłaby z poczucia, że jest tylko „rzeczą”, i sama stałaby się kobietą. Ponieważ małżonek miał wiele własnych problemów i szanse na to, że okaże matce wystarczająco wiele miłości, były dość marne, psycholodzy próbowali skłonić matkę do tego, by znalazła sobie jakieś prawdziwe zainteresowania w życiu.

W przypadku innych kobiet, które spotkałam i które uchylały się przed rozwojem osobistym, żyjąc życiem innych i nie mając własnych celów, nawet najbardziej kochający mężowie nie zdołali powstrzymać postępującego spustoszenia, jakie czyniły we własnym życiu i życiu swoich dzieci. Obserwowałam, co się dzieje, kiedy kobiety nieświadomie skłaniały córki do zbyt wczesnego rozpoczęcia współżycia płciowego, ponieważ przygoda seksualna była w życiu tych kobiet jedyną prawdziwą przygodą lub też sposobem osiągnięcia statusu czy tożsamości. Dzisiaj córki, które uzewnętrzniały marzenia bądź stłamszone ambicje swoich matek w „normalny” kobiecy sposób i wiązały swoje losy z ambitnymi, uzdolnionymi mężczyznami, prawdziwymi wschodzącymi gwiazdami, są często równie

sfrustrowane i niespełnione, jak ich matki. Nie wszystkie biegną na bosaka na posterunek policji ze strachu, że zamordują męża i dziecko, których obwiniają o to, że uwięzili je w domu. Nie wszyscy synowie staną się groźnym postrachem w sąsiedztwie i w szkole, nie wszystkie córki będą uzewnętrzniały seksualne fantazje matek, zachodząc w ciążę w wieku lat czternastu. Nie wszystkie panie domu zaczną popijać o jedenastej rano, żeby zagłuszyć głośny warkot zmywarki, pralki, suszarki, które są w końcu jedynymi oznakami życia w pustym domu, z którego dzieciaki kolejno uciekają do szkoły.

Na przedmieściach takich jak w hrabstwie Bergen współczynnik „separacji” wzrósł w latach pięćdziesiątych o niewyobrażalne 100%, ponieważ uzdolnieni, ambitni mężowie dbali w mieście o rozwój własnej kariery, podczas gdy ich żony nie rozwijały się wcale, żyjąc życiem innych bądź w nic się nie angażując, spełniając się w domu w kobiecej roli. Dopóki dzieci były w domu, dopóki był w nim mąż, żony cierpiały na coraz poważniejsze dolegliwości, lecz dochodziły do zdrowia. W ostatniej dekadzie w hrabstwie Bergen nastąpił jednak drastyczny wzrost liczby samobójstw wśród kobiet powyżej 45. roku życia oraz hospitalizowania w szpitalach psychiatrycznych kobiet, których dzieci dorosły i wyfrunęły z domu¹⁷. Panie domu, które musiały zostać hospitalizowane i które szybko nie wróciły do zdrowia, to były przede wszystkim kobiety, które nigdy nie rozwinęły własnych talentów w pracy poza domem¹⁸.

Można jedynie spekulować, czy dojdzie na masową skalę do załamania nerwowych, kiedy dzisiejsze pokolenie młodych pań domu, będących produktem mistyki kobiecości, skończy czterdziestkę. Postępująca infantylizacja synów i córek, czego odzwierciedleniem są pochopnie zawierane małżeństwa w młodym wieku, stała się już alarmującym faktem. W marcu 1962 roku podczas krajowej konferencji Towarzystwa Badań nad Dziećmi (Child Study Association) nowe zjawisko małżeństw młodocianych i wczesnego rodzicielstwa, które dawniej uważano za przejaw „emocjonalnej dojrzałości” młodego pokolenia, uznano w końcu za oznakę nasilającej się „infantylizacji”. Miliony młodych Amerykanów, którzy w latach sześćdziesiątych zawierali związek małżeński przed ukończeniem 20. roku

¹⁷ Richard E. Gordon, Katherine K. Gordon, *Social Psychiatry of Mobile Suburb*, dz. cyt., s. 89–100.

¹⁸ Tamże.

życia, byli niedojrzali i emocjonalnie uzależnieni, wskutek czego w małżeństwie upatrywali drogi na skróty do osiągnięcia statusu osoby dorosłej, magicznego rozwiązania problemów, którym sami nie potrafili sprostać, z czym zgadzali się specjaliści od problemów życia rodzinnego i wychowania dzieci. Te zdzienniniane panny młode oraz infantylni kawalerowie zostali zdiagnozowani jako ofiary pokolenia „kochającego własne dzieci chorą, smutną miłością”.

„Wiele dziewcząt przyzna, że chcą wyjść za mąż, ponieważ nie chcą już dłużej pracować. Snują marzenia o tym, jak to będą wiodły beztrudne życie otoczone opiekuńczym ramieniem, w urządzonym domu, gdzie będą wykonywały jedynie drobne prace domowe, będą jeździły do miasta na ekscytujące zakupy, będą żyły z gromadką szczęśliwych dzieci u boku i w otoczeniu miłych sąsiadów. Marzenie o mężu wydaje się poniekąd mniej ważne, ale w małżeńskich fantazjach dziewcząt chodzi zazwyczaj o mężczyznę, który ma siłę niezniszczalnego, niezawodnego, potężnego ojca, oraz o łagodność, ofiarność i pełną poświęcenia miłość dobrej matki. Młodzi mężczyźni jako powód chęci wczesnego ożenku bardzo często wskazują na pragnienie, by mieć w domu kobietę o cechach macierzyńskich oraz móc regularnie uprawiać seks bez proszenia i wszystkich zbędnych zabiegów. (...) To, co ma zapewnić dojrzałość i niezależność, w rzeczywistości jest ukrytą nadzieją, że zapewni niesamodzielność, przedłuży relację między rodzicem a dzieckiem, pozwalając zachować wszystkie przywileje dziecka i jednocześnie narzucając jak najmniej ograniczeń”¹⁹.

Zewsząd docierały złowieszcze sygnały narastającej, niekontrolowanej przemocy młodych rodziców wobec dzieci, które tkwiły w pułapce pasywnej zależności. Pewien psychiatra opowiadał, że żony na wrogość mężów reagowały jeszcze większą niesamodzielnością i pasywnością, tak że czasami dosłownie nie były w stanie wykonać żadnego ruchu, nie potrafiły samodzielnie zrobić kroku. Bynajmniej nie skłaniało to mężów do okazywania im większej miłości, tylko ich jeszcze bardziej rozwścieczało. Ale co się działo z wściekłością, której żony nie śmiały okazać mężom? Zastanówmy się nad najświeższymi informacjami na temat „syndromu maltretowanego dziecka” („Time”, 20 lipca 1962):

¹⁹ Oscar Sternbach, *Sex Without Love and Marriage Without Responsibility*, przemówienie wygłoszone podczas 38. corocznej konferencji Amerykańskiego Towarzystwa Badań nad Dziećmi, 12 marca 1962, Nowy Jork (maszynopis powielony).

„Dla wielu lekarzy przypadek ten staje się przygnębiająco znajomy. Do gabinetu lekarskiego trafia dziecko, zwykle poniżej trzeciego roku życia, z licznymi obrażeniami – nierzadko ze złamaną czaszką. Rodzice okazują stosowne zatroskanie, mówią, że dziecko spadło z łóżka lub sturłało się ze schodów albo zostało zranione przez kolegę podczas zabawy. Prześwietlenie rentgenowskie i doświadczenie skłania lekarza do wyciągnięcia innego wniosku: dziecko zostało pobite przez rodziców”.

Na podstawie dokumentacji zgromadzonej w 71 szpitalach zespół naukowców z Uniwersytetu Stanowego w Kolorado ustalił 302 przypadki maltretowanych dzieci w jednym tylko roku, z czego 33 dzieci zmarło, 85 doznało trwałego uszkodzenia mózgu. Rodzice, którzy doprowadzeni do wściekłości „kopali i bili pięściami dzieci, wykręcali im ręce, bili młotkami lub sprzączką paska, przypalali papierosami i żelazkami”, mieszkali zarówno w tych podmiejskich dwupoziomowych domach, jak i kamienicach czynszowych. Amerykańskie Towarzystwo Medyczne przewidywało, że jeśli statystyki dotyczące syndromu maltretowanego dziecka są kompletne, „istnieje duże prawdopodobieństwo, że [maltretowanie] może być częstszą przyczyną śmierci niż doskonale rozpoznawane i gruntownie przebadane choroby, takie jak: białaczka, mukowiscydoza i dystrofia mięśniowa”.

„Rodzicem”, który miał najczęstszą sposobność do maltretowania dziecka, była oczywiście matka. Jak powiedziała pewna matka czwórki dzieci, która przyznała się lekarzowi do myśli samobójczych:

„Chyba nie ma żadnego powodu, żebym dalej żyła. Nic mnie już w życiu nie czeka. Jim i ja już nawet nie rozmawiamy ze sobą – jedynym tematem są rachunki i sprawy do załatwienia w domu. Wiem, że ma do mnie pretensje o to, że mimo że jest młody, czuje się staro i jest uwiązany, obwinia mnie o to, ponieważ to ja chciałam, żebyśmy się wtedy pobrali. Najgorsze jest jednak to, że czuję się zazdrosna o dzieci. Prawie ich nienawidzę, gdyż one mają jeszcze życie przed sobą, podczas gdy moje już się skończyło”.

Być może i był to symboliczny zbieg okoliczności, ale w tym samym tygodniu, kiedy specjaliści od życia rodzinnego i wychowania dzieci dostrzegali, co się kryło za zjawiskiem zawierania małżeństw w młodym wieku, „The New York Times Book Review” (w niedzielę 18 marca 1962 roku) odnotował bezprecedensową popularność, jaką wśród młodych dorosłych Amerykanów cieszyły się książki o „miłości” między ludźmi i zwierzętami. W ciągu ostatniego półwiecza na amerykańskich listach bestsellerów

nie znalazło się tyle książek o zwierzętach jak w ciągu minionych trzech lat (1959–1962). O ile zwierzęta zawsze przeważały w literaturze dziecięcej, dorośli ludzie bardziej interesowali się innymi istotami ludzkimi. (To tylko symbol, ale w teście Rorschacha²⁰ przewaga obrazów zwierzęcych nad ludzkimi jest oznaką infantylizacji.) Tak oto w ciągu ostatnich piętnastu lat postępująca dehumanizacja przeorała wyobraźnię Amerykanów: od kultu młodości do tej „chorej relacji miłosnej” z własnym dzieckiem, od wyłącznego skupienia uwagi na fizycznych detalach życia seksualnego, analizowanych w oderwaniu od konstrukcji człowieka, do miłości między człowiekiem i zwierzęciem. Czym to się skończy?

Uważam, że trudno będzie położyć temu kres, dopóki mistyka kobiecości będzie maskowała pustkę wpisaną w rolę gospodyni domowej, zachęcając dziewczęta do uchylania się od obowiązku rozwijania się, do tego, by żyły cudzym życiem, w nic się nie angażując. Zbyt długo obwinialiśmy matki, które tłamszą osobowość swoich dzieci, które posiały ziarna postępującej dehumanizacji, ponieważ same nie dojrzały do pełni człowieczeństwa – i zbyt długo litowaliśmy się nad nimi. Jeżeli to matka jest winna, to czyż nie pora, aby zniweczyć ten wzorzec zachowań, skłaniając co prędzej wszystkie Śpiące Królowny, aby wreszcie wydorosłały i zaczęły żyć własnym życiem? Nie starczy bowiem Czarujących Książąt i psychoterapeutów, aby zburzyć ten model zachowań. To zadanie społeczeństwa, to obowiązek wszystkich kobiet. Zawiniła bowiem nie siła matek, lecz ich słabość, pasywna, dziecięca zależność od innych i niedojrzałość, które się mylnie uważa za charakterystyczne cechy „kobiecości”. Nasze społeczeństwo zmusza chłopców – w granicach możliwości – do tego, by dorośli, potrafili znieść trudy związane z osobistym rozwojem, by kształcili się do podjęcia pracy, by szli naprzód. Dlaczego zatem dziewcząt nie zmusza się do wydoroslenia, do kształtowania indywidualnej tożsamości, co pozwoliłoby skończyć z niepotrzebnym dylematem, narzucanym przez mistykę kobiecości, błędnym wyborem między kobiecością a człowieczeństwem?

Najwyższy czas przestać wmawiać matkom, że powinny jeszcze bardziej „kochać” swoje dzieci, powinny wreszcie zmierzyć się z paradoksem

²⁰ Test Rorschacha to test plam atramentowych, który został stworzony w 1921 roku przez szwajcarskiego psychoanalityka Hermana Rorschacha. Test ten pozwala wskazać nieświadome treści psychiczne, cechy osobowości oraz zaburzenia psychiczne (przyp. red.).

polegającym na tym, że mistyka wymaga od kobiet całkowitego poświęcenia się sprawom domu i dzieci, a jednocześnie większość problemów, które próbuje się dziś leczyć w klinikach dziecięcych, będzie można rozwiązać dopiero wtedy, kiedy matkom pomoże się rozwinąć własne autonomiczne zainteresowania, kiedy nie będą już musiały swoich emocjonalnych potrzeb zaspokajać za pośrednictwem dzieci. Pora przestać wmawiać kobietom, że powinny być jeszcze bardziej „kobiece”, skoro rodzi to tylko pasywność i niesamodzielność – cechy, która depersonalizują seks i narzucają mężom ciężar trudny do zniesienia, a w synach umacnia coraz większą bierność.

Bez przesady stan stagnacji, w jakim się znajdują miliony amerykańskich pań domu, można nazwać zwyrodnieniem – chorobą, która coraz bardziej osłabia rdzeń ludzkiej osobowości, przekazywaną synom i córkom w czasach, gdy aspekty współczesnej kultury masowej, mające dehumanizujący charakter, zmuszają kobiety i mężczyzn do pracy nad sobą, do rozwoju indywidualnej tożsamości – własne „Ja” musi być na tyle silne, żeby człowiek ocalił swoją indywidualność mimo groźnej, nieprzewidywalnej presji wywieranej przez zmieniające się środowisko człowieka. Przyczyną choroby nie jest siła kobiet – ona jest lekarstwem. Dopiero wtedy, kiedy kobietom wolno będzie w pełni korzystać ze swojej siły, kiedy będą mogły w pełni rozwinąć swój potencjał, mistyka kobiecości rozwieje się raz na zawsze i dopiero wtedy będzie można położyć kres postępującej dehumanizacji dzieci. Większość kobiet nie potrafi już zrobić użytku ze swojej siły, rozwinąć w pełni swojego ludzkiego potencjału w roli pań domu.

Trzeba koniecznie zrozumieć, jak to się dzieje, że już samo bycie panią domu może wywoływać u kobiet poczucie pustki, nieistnienia, nicości. Pewne aspekty związane z rolą pani domu wręcz uniemożliwiają inteligentnej dorosłej kobiecie zachowanie poczucia tożsamości, własnej indywidualności o wyrazistym rdzeniu, własnego „Ja”, bez którego człowiek – kobieta lub mężczyzna – tak naprawdę nie istnieje. Uważam, że dla uzdolnionej kobiety we współczesnej Ameryce niebezpieczeństwo kryje się już w samej istocie bycia panią domu. W pewnym sensie, a wbrew pozorom nie brzmi to aż tak nierealistycznie, kobiety, które „przystosowują się” do roli gospodyni domowej, które dorastając, nie pragną być niczym więcej jak „tylko panią domu”, znajdują się w takim samym niebezpieczeństwie jak miliony ludzi, którzy szli na śmierć w obozach koncentracyjnych – oraz jeszcze większe rzesze tych, którzy nie chcieli wierzyć w istnienie tych obozów.

Pewne psychologiczne obserwacje dotyczące zachowań więźniów w nazistowskich obozach koncentracyjnych dają w istocie niepokojący, nieprzyjemny wgląd w powody, dla których kobieta spełniająca się w roli pani domu tak łatwo traci poczucie własnej tożsamości. W warunkach celowo stworzonych z myślą o dehumanizacji człowieka więźniowie stawali się dosłownie „żywymi trupami”. Osoby, które „dostosowały się” do warunków obozowych, wyrzekły się człowieczeństwa, swej ludzkiej tożsamości, wręcz obojętnie szły na śmierć. O dziwo, to nie tortury i brutalność odarły wielu więźniów z człowieczeństwa, lecz warunki podobne do tych, które niszczą tożsamość amerykańskich pań domu.

W obozach koncentracyjnych zmuszano więźniów do zachowań dziecięcych, zmuszano do wyrzeczenia się własnej indywidualności i roztopienia się w bezkształtnej masie. Systematycznie niszczone ich zdolność do samostanowienia, umiejętność przewidywania przyszłości i przygotowywania się na to, co ma nastąpić. Był to stopniowy proces, jego poszczególne etapy były właściwie niezauważalne, ale efektem końcowym była dehumanizacja związana z utratą szacunku do samego siebie i punktu odniesienia w życiu. Proces ten zaobserwował Bruno Bettelheim, psychoanalityk i psycholog wychowania, kiedy był więźniem Dachau i Buchenwaldu w 1939 roku²¹.

Znalazłszy się w obozie koncentracyjnym, więźniowie zostawali w traumatyczny sposób odcięci od swych wcześniejszych zainteresowań, jakie rozwinęli w dorosłym życiu, co już samo w sobie było ogromnym ciosem wymierzonym w ich tożsamość, dotkliwie odczuwanym oprócz fizycznego uwięzienia. Tylko nieliczni mogli wykonywać pracę, która w jakimś stopniu była związana z ich dawnymi zainteresowaniami. Trudno jednak było zajęcia te wykonywać samemu; nawet rozmowa na temat życiowych zainteresowań lub przejawianie jakiegokolwiek inicjatywy świadczącej o tym, że chciałoby się je realizować, budziły wrogość pozostałych więźniów. Nowi więźniowie próbowali podtrzymywać swoje dawne zainteresowania, ale „starzy więźniowie sprawiali wrażenie, jakby interesowało ich wyłącznie zorganizowanie sobie jak najwygodniejszego życia w obozie”.

Dla starszych więźniów obozowy świat był ich jedyną rzeczywistością²². Zostali zredukowani do zachowań dziecięcych: ich zainteresowania ogra-

²¹ Bruno Bettelheim, *The Informed Heart – Autonomy in a Mass Age*, Glencoe, Ill., 1960.

²² Tamże, s. 162–169.

niczały się wyłącznie do kwestii jedzenia, wydalania, zaspokajania podstawowych potrzeb cielesnych; zostali pozbawieni prywatności i odcięci od bodźców ze świata zewnętrznego. Przede wszystkim jednak zmuszano ich do całodziennej pracy, co było ogromnie wycieńczające, nie dlatego jednak, że była to praca mordercza fizycznie, lecz ponieważ była monotonna, niekończąca się, nie wymagała umysłowej koncentracji, nie dawała żadnej nadziei na awans czy uznanie, bywała niekiedy pozbawiona sensu i podporządkowana potrzebom innych ludzi lub tempu pracy maszyn. Praca ta nie była w żaden sposób związana z osobowością więźnia; nie było w niej miejsca na jakąkolwiek inicjatywę, nie pozwalała wyrazić siebie, nie była nawet wyznacznikiem upływu czasu.

Im bardziej więźniowie rezygnowali z tożsamości dorosłego człowieka, tym bardziej lękali się, że utracą seksualną potencję, tym bardziej myśleli wyłącznie o zaspokajaniu najprymitywniejszych, zwierzęcych potrzeb. Z początku wyrzeczenie się własnej indywidualności dawało poczucie komfortu, pozwalało zatracić się w anonimowym tłumie – więźniowie mieli poczucie, że „wszyscy płyną na tej samej łodzi”. Co dziwniejsze, w obozowych realiach nie nawiązywano prawdziwych przyjaźni²³. Nawet rozmowy, które dawniej umilały więźniom czas w obozie i czyniły życie bardziej znośnym, wkrótce straciły sens²⁴. W więźniach zaczął narastać gniew. Gniew milionów ludzi, który mógłby pokonać druty kolczaste i broń esesmanów, lecz który zamiast tego obrócił się przeciwko samym więźniom oraz ich słabszym towarzyszom niedoli. Poczuli się wówczas jeszcze bardziej bezsilni, a esesmani i druty kolczaste stały się dla nich jeszcze trudniejsze do pokonania.

Można się było spotkać z opinią, że to nie esesmani, lecz sami więźniowie stali się swoim najgorszym wrogiem. Ponieważ nie potrafili dostrzec prawdziwych realiów sytuacji, w jakiej się znaleźli – ponieważ nie uświadamiali sobie, na czym polegał ich prawdziwy problem, więc w końcu „przystosowywali się” do warunków życia w obozie, jakby innej rzeczywistości nie było – zostali uwięzieni w pułapce własnych myśli. Broń esesmanów nie była na tyle groźna, żeby trzymać wszystkich więźniów w całkowitej podległości. Zostali zmanipulowani, tak że sami wpadli we własne sidła, sami zatrzasnęli za sobą bramy więzienia, rzeczywistość obozową rozciągając na cały świat, wymazując z pamięci dawny świat, zapominając o swoich teraźniejszych zobowiązaniach i szansach, jakie się przed nimi rysowały w przyszłości. Lu-

²³ Tamże, s. 231.

²⁴ Tamże, s. 233 i nast.

dzie, którzy przeżyli, którzy ani nie pomarli, ani nie zostali zgładzeni, to były osoby, które w jakimś elementarnym stopniu zachowały wartości i zainteresowania świata dorosłych, będące istotą ich dawnej tożsamości.

Wszystko to wydaje się niezwykle odległe od łatwego życia amerykańskiej pani domu z przedmieścia. Ale czy jej dom nie jest w rzeczywistości wygodnym obozem koncentracyjnym? Czyż kobiety żyjące zgodnie z modelem narzuconym przez mistykę kobiecości nie uwięziły się w czterech ścianach swoich domów? Nauczyły się „dostosowywać” do swej biologicznej roli. Stały się pasywne, niesamodzielne, infantylne; porzuciły punkt odniesienia, którym się w życiu kieruje człowiek dorosły, aby żyć na niższym poziomie człowieczeństwa ograniczającym się do jedzenia i dóbr materialnych. Praca, którą wykonują, nie wymaga zdolności, jakimi powinien się wykazać człowiek dorosły; to niekończąca się, monotonna, niewdzięczna harówka. Amerykańskich kobiet nie czeka oczywiście masowa eksterminacja, ale konają powoli, ich umysł i duch obumierają. Tak jak w przypadku więźniów obozów koncentracyjnych, można spotkać Amerykanki, które nie dają się śmierci, stawiają opór, które zdołały zachować własną tożsamość, które nie straciły kontaktu ze światem zewnętrznym, które potrafią znaleźć twórcze ujście dla swoich zdolności. Są to kobiety wielkiego umysłu i ducha, które odmówiły „przystosowania się” do roli pani domu.

Wielokrotnie można się było spotkać ze stwierdzeniem, że wykształcenie uniemożliwiło Amerykankom „przystosowanie się” do roli gospodyń domowych. Skoro jednak edukacja, która służy rozwojowi człowieka, która destyluje to, co ludzki umysł odkrył i stworzył w przeszłości, oraz daje człowiekowi zdolność do tworzenia własnej przyszłości – skoro zatem dzięki wykształceniu coraz więcej Amerykanek czuje się w roli pań domu jak w więzieniu, skoro są sfrustrowane i przepełnione poczuciem winy, to z pewnością w tym właśnie zjawisku należałoby dostrzec wyraźny sygnał świadczący o tym, że *kobiety wyrosły z roli pani domu*.

Nie można zachować własnej tożsamości, dostosowując się na jakiś czas do układu odniesienia, który z istoty swej jest dla tej tożsamości destrukcyjny. W rzeczywistości człowiekowi bardzo trudno jest trwać w takim „wewnętrznym” stanie rozszczepienia, kiedy na zewnątrz podporządkowuje się jednej rzeczywistości, jednocześnie próbując w głębi ducha zachować wartości, których się wypiera. Wygodny obóz koncentracyjny, którego bramy Amerykanki zatrzasnęły za sobą lub w którym po prostu dały się zamknąć,

słuchając tego, co mają do powiedzenia inni, jest właśnie taką rzeczywistością, układem odniesienia, który odmawia kobietom tożsamości dorosłego człowieka. Przystosowując się do tych realiów, kobieta tłamsi własną inteligencję, dziecinnieje, porzuca indywidualną tożsamość, by przeistoczyć się w anonimowego, biologicznego robota w bezwolnej masie. Staje się niepełnym człowiekiem, ulega zewnętrznej presji, a w końcu sama zaczyna zadreć swojego męża i dzieci. Im dłużej trwa proces dostosowywania się, tym kobieta ma mniejsze poczucie, że naprawdę istnieje. Szuka poczucia bezpieczeństwa w dobrach materialnych, w ciągłym potwierdzaniu własnej potencji seksualnej ukrywa swój lęk, iż może stracić swój ludzki potencjał, żyje cudzym życiem, karmiąc się masą iluzji lub żyjąc życiem męża i dzieci. Nie chce, aby jej przypominano o świecie zewnętrznym; utwierdza się w przekonaniu, że nie może nic zrobić z własnym życiem lub ze światem, bo przecież to i tak nie zmieniłoby jej sytuacji. Jednak bez względu na to, jak często próbuje sobie wmówić, że rezygnacja z własnej tożsamości jest konieczną ofiarą, którą musi ponieść dla dobra męża i dzieci, taka postawa nie służy żadnemu realnemu celowi. Dlatego właśnie agresywna energia, którą powinna spożytkować w świecie zewnętrznym, przekształca się w straszliwy gniew, którego nie ośmiela się okazać mężowi i wstydzi się okazać dzieciom, dlatego zwraca tę złość przeciwko sobie, aż w końcu zatracą poczucie istnienia. Jednak w tym wygodnym obozie koncentracyjnym, tak jak w obozie prawdziwym, coś bardzo silnego w głębi jej ducha stawia opór, nie godząc się na śmierć.

Opisując doświadczenie prawdziwego obozu koncentracyjnego, którego nigdy nie zapomni, Bettelheim wspomina o grupie nagich więźniarek – które nie były już istotami ludzkimi, lecz raczej uległymi robotami – stojących jedna za drugą przed wejściem do komory gazowej. Oficer SS, który dowodził akcją, dowiedziawszy się, że jedna z więźniarek była w przeszłości tancerką, rozkazał jej dla siebie zatańczyć. Ta, podczas tańca podeszła do niego blisko, chwyciła jego broń i zastrzeliła go. Sama natychmiast zginęła od kuli, zaś historia ta skłoniła Bettelheima do postawienia następującego pytania:

„Czyż nie jest prawdopodobne, że mimo groteskowej scenerii, w jakiej przyszło jej tańczyć, to taniec sprawił, że ponownie stała się człowiekiem. Tańcząc, zaistniała jako jednostka, została poproszona o taniec, który niegdyś był jej powołaniem. Nie była już numerem, bezimienną, bezosobową więźniarką, lecz tancerką, którą przecież kiedyś była. Przeobraziwszy się,

choćby na chwilę, zareagowała w sposób charakterystyczny dla jej dawnej tożsamości, unicestwiając wroga zdecydowanego ją unicestwić, mimo iż ceną była śmierć.

Pomimo setek tysięcy żywych trupów, które potulnie szły na śmierć, ten jeden przykład świadczy o tym, że w jednej chwili można odzyskać dawną osobowość, powstrzymać jej destrukcję, jeżeli tylko zapagniemy położyć kres naszej egzystencji jako jednostek w systemie. Przeżywając utraconą wolność, której nawet obóz koncentracyjny nie był w stanie odebrać – decydując się samodzielnie ocenić warunki własnej egzystencji – ta tancerka wyrwała się na wolność z prawdziwego więzienia. Potrafiła się na to zdobyć, ponieważ była gotowa zaryzykować własne życie, byle tylko osiągnąć autonomię, choćby i po raz ostatni²⁵.

Dom na przedmieściach nie jest niemieckim obozem koncentracyjnym, amerykańskich pań domu nie czeka śmierć w komorze gazowej. Znalazły się jednak w pułapce i jeśli chcą z niej uciec, to muszą, tak jak uczyniła to owa tancerka, zrobić w końcu użytek ze swojej ludzkiej wolności i odzyskać poczucie sensu własnego istnienia. Muszą się sprzeciwić anonimowości, odczłowieczeniu, manipulacji i zacząć znowu żyć swoim własnym życiem, dążąc do wybranego przez siebie celu. Muszą zadbać o własny rozwój.

²⁵ Tamże, s. 265.

Rozdział 13

Utracone „Ja”

Badacze zajmujący się ludzkim zachowaniem w coraz większym stopniu zaczęli się interesować podstawową ludzką potrzebą rozwoju, wolą człowieka, aby stać się tym, kim mógłby być, gdyby urzeczywistnił cały swój potencjał. Myśliciele z rozmaitych dziedzin – od Bergsona poczynając, a na Kurcie Goldsteinie, Heinzu Hartmannie, Allporcie, Rogersie, Jungu, Adlerze, Ranku, Horney, Angyalu, Frommie, Mayu, Maslowie, Bettelheimie, Riesmanie, Tillichu i egzystencjalistach kończąc – wszyscy oni skłaniali się ku przyjęciu tezy, że organizm ma w sobie jakąś ukrytą skłonność do samorozwoju, która wewnętrzną siłą zmusza człowieka do doskonalenia się, do samorealizacji. Ta „wola mocy”, „asertywność”, „dominacja” czy „autonomia”, jak różnie się tę wewnętrzną skłonność określa, nie oznacza agresji czy też dążenia do rywalizacji w zwykłym sensie tego słowa – to sposób, w jaki człowiek potwierdza swoją egzystencję i możliwości samodzielnego istnienia; to „odwaga bycia jednostką”¹. Ponadto wielu z wymienionych tu myślicieli rozwinęło nową koncepcję człowieka zdrowego psychicznie – sformułowali definicję normalności i patologii. Normalność uważa się zatem za „najwyższą doskonałość, jaką jesteśmy w stanie osiągnąć”. Przekonanie to opiera się na założeniu, że człowiek jest szczęśliwy, zdrowy, akceptuje siebie, nie ma poczucia winy tylko wtedy, kiedy spełnia się i staje się tym, kim może być, urzeczywistniając swój potencjał.

¹ Rollo May, *The Origins and Significance of the Existential Movement in Psychology*, [w:] *Existence, A New Dimension in Psychiatry and Psychology*, red. Rollo May, Ernest Angel, Henri F. Ellenberger, New York 1958, s. 30 i nast. Zob. także: Erich Fromm, *Ucieczka od wolności*, dz. cyt., s. 266 i nast., A.H. Maslow, *Motywacja i osobowość*, tłum. Józef Radzicki, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2006, David Riesman, *Samotny tłum*, dz. cyt.

choćby na chwilę, zareagowała w sposób charakterystyczny dla jej dawnej tożsamości, unicestwiając wroga zdecydowanego ją unicestwić, mimo iż ceną była śmierć.

Pomimo setek tysięcy żywych trupów, które potulnie szły na śmierć, ten jeden przykład świadczy o tym, że w jednej chwili można odzyskać dawną osobowość, powstrzymać jej destrukcję, jeżeli tylko zapagniemy położyć kres naszej egzystencji jako jednostek w systemie. Przeżywając utraconą wolność, której nawet obóz koncentracyjny nie był w stanie odebrać – decydując się samodzielnie ocenić warunki własnej egzystencji – ta tancerka wyrwała się na wolność z prawdziwego więzienia. Potrafiła się na to zdobyć, ponieważ była gotowa zaryzykować własne życie, byle tylko osiągnąć autonomię, choćby i po raz ostatni²⁵.

Dom na przedmieściach nie jest niemieckim obozem koncentracyjnym, amerykańskich pań domu nie czeka śmierć w komorze gazowej. Znalazły się jednak w pułapce i jeśli chcą z niej uciec, to muszą, tak jak uczyniła to owa tancerka, zrobić w końcu użytek ze swojej ludzkiej wolności i odzyskać poczucie sensu własnego istnienia. Muszą się sprzeciwić anonimowości, odczłowieczeniu, manipulacji i zacząć znowu żyć swoim własnym życiem, dążąc do wybranego przez siebie celu. Muszą zadbać o własny rozwój.

²⁵ Tamże, s. 265.

Rozdział 13

Utracone „Ja”

Badacze zajmujący się ludzkim zachowaniem w coraz większym stopniu zaczęli się interesować podstawową ludzką potrzebą rozwoju, wolą człowieka, aby stać się tym, kim mógłby być, gdyby urzeczywistnił cały swój potencjał. Myśliciele z rozmaitych dziedzin – od Bergsona poczynając, a na Kurcie Goldsteinie, Heinzu Hartmannie, Allporcie, Rogersie, Jungu, Adlerze, Ranku, Horney, Angyalu, Frommie, Mayu, Maslowie, Bettelheimie, Riesmanie, Tillichu i egzystencjalistach kończąc – wszyscy oni skłaniali się ku przyjęciu tezy, że organizm ma w sobie jakąś ukrytą skłonność do samorozwoju, która wewnętrzną siłą zmusza człowieka do doskonalenia się, do samorealizacji. Ta „wola mocy”, „asertywność”, „dominacja” czy „autonomia”, jak różnie się tę wewnętrzną skłonność określa, nie oznacza agresji czy też dążenia do rywalizacji w zwykłym sensie tego słowa – to sposób, w jaki człowiek potwierdza swoją egzystencję i możliwości samodzielnego istnienia; to „odwaga bycia jednostką”¹. Ponadto wielu z wymienionych tu myślicieli rozwinęło nową koncepcję człowieka zdrowego psychicznie – sformułowali definicję normalności i patologii. Normalność uważa się zatem za „najwyższą doskonałość, jaką jesteśmy w stanie osiągnąć”. Przekonanie to opiera się na założeniu, że człowiek jest szczęśliwy, zdrowy, akceptuje siebie, nie ma poczucia winy tylko wtedy, kiedy spełnia się i staje się tym, kim może być, urzeczywistniając swój potencjał.

¹ Rollo May, *The Origins and Significance of the Existential Movement in Psychology*, [w:] *Existence, A New Dimension in Psychiatry and Psychology*, red. Rollo May, Ernest Angel, Henri F. Ellenberger, New York 1958, s. 30 i nast. Zob. także: Erich Fromm, *Ucieczka od wolności*, dz. cyt., s. 266 i nast., A.H. Maslow, *Motywacja i osobowość*, tłum. Józef Radzicki, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2006, David Riesman, *Samotny tłum*, dz. cyt.

Według nowej szkoły psychologii, która dąży do zrozumienia przyczyn, dla których człowiek jest człowiekiem, definiującą neurozę jako czynniki, które niszczą zdolność człowieka do samorealizacji, istotne napięcie wiąże się z przyszłością. Nie wystarczy bowiem, aby jednostka była kochana, aby została zaakceptowana przez innych, aby „się przystosowała” do swojej kultury. Człowiek musi potraktować swoje istnienie na tyle poważnie, aby podjąć własne zobowiązania wobec życia i przyszłości; rezygnuje z własnej egzystencji, jeśli nie potrafi urzeczywistnić swojego potencjału.

Od lat psychiatrzy próbują „leczyć” wewnętrzne konflikty pacjentów, przystosowując ich do kultury. Jednak według myślicieli z nowej szkoły psychologii przystosowanie do kultury, które nie pozwala na pełne urzeczywistnienie potencjału jednostki, nie jest żadną metodą leczenia.

„Pacjent akceptuje wówczas ograniczony świat w sposób bezkonfliktowy, albowiem teraz jego świat jest tożsamy z kulturą. Jako że lęk rodzi się wyłącznie w sytuacji wolności, pacjent naturalnie go przewycięża: objawy przestają go męczyć, ponieważ rezygnuje z możliwości, które wywołały u niego ów stan lękowy. (...) Z pewnością można by postawić pytanie, czy przypadkiem ulga, jaką daje uwolnienie się od konfliktów wewnętrznych dzięki rezygnacji z istnienia, nie wywoła u jednostek i u grup ukrytej rozpaczy, urazy, która później wybuchnie ze zdwojoną siłą w postaci autodestrukcji, albowiem jak już historia niejednokrotnie dowiodła, wcześniej czy później przypomni o sobie ludzka potrzeba wolności”².

Wspomniani myśliciele być może nawet nie zdają sobie sprawy z tego, jak wiernie opisują ten rodzaj przystosowania się, jaki narzucono amerykańskim paniom domu. To, co przedstawiają jako ukrytą w człowieku autodestrukcyjność, jest – jak sądzę – nie mniej destrukcyjne w przypadku kobiet, które podporządkowują się regułom mistyki kobiecości, oczekując, że życie będą życiem męża i dzieci, pragnąc miłości, bezpieczeństwa i akceptacji przez innych, które nie podejmują żadnych zobowiązań wobec społeczeństwa czy wobec przyszłości ani nie realizują swojego ludzkiego potencjału. Jednostki przystosowane, czytaj: wyleczone, które żyją w sposób bezkonfliktowy, bez lęku w świecie ograniczającym się do czterech ścian domu, wyrzekły się własnego jestestwa, zaś inne – kobiety nieszczęśliwe, sfrustrowane – mają jeszcze niejaką nadzieję. Albowiem ów nienazwany problem,

² Rollo May, *Contributions of Existential Psychotherapy*, [w:] *Existence, A New Dimension in Psychiatry and Psychology*, dz. cyt., s. 87.

będący powodem cierpień rzeszy kobiet we współczesnej Ameryce, zrodził się z przystosowania się do modelu, który nie pozwala im stać się tym, kim w dzisiejszych czasach mogłyby być. Problemem jest pogłębiająca się desperacja kobiet, które wyrzekły się swojej egzystencji, aczkolwiek być może decydując się na ten krok, zdołały uchronić się przed owym przerażającym uczuciem dojmującej samotności, jakie nieodłącznie towarzyszy wolności.

„Lęk pojawia się w momencie, gdy przed jednostką zaczynają się rysować możliwości, z którymi musi się ona skonfrontować, gdy otwiera ją się przed nią pewne możliwości spełnienia swej egzystencji, choć już sama ta perspektywa wymaga unicestwienia obecnego bezpieczeństwa, co w rezultacie rodzi skłonność do wymawiania się od realizacji nowych możliwości”³.

Nowa szkoła myślenia, która bynajmniej nie ogranicza się wyłącznie do egzystencjalistów, nie poddałaby psychoanalizie indywidualnego poczucia winy człowieka wynikającego z odmowy zaakceptowania przez niego intelektualnych i duchowych możliwości własnej egzystencji. Nie wszystkie uczucia wynikające z poczucia winy są bezpodstawne; wyrzutów sumienia po zamordowaniu człowieka nie można poddać psychoanalizie, podobnie jak nie można przeanalizować poczucia winy z powodu zbrodni popełnionej na sobie samym. Jak stwierdzono w przypadku pewnego mężczyzny: „Pacjent miał poczucie winy, ponieważ zablokował w sobie podstawowe możliwości”⁴.

Niemówność zrealizowania w pełni egzystencjalnych możliwości w przypadku kobiet nie była przedmiotem badań jako zachowanie patologiczne, ponieważ tak w Ameryce, jak i w większości krajów na świecie uważa się tę przypadłość za normalne przystosowanie się do kobiecej roli. Niemniej jednak do sytuacji milionów kobiet, przystosowanych do roli pań domu, można by odnieść spostrzeżenia neurologów i psychiatrów badających zachowania pacjentów z częściowo uszkodzonym mózgiem oraz schizofreników, którzy z innych powodów utracili zdolność do nawiązywania kontaktów ze światem rzeczywistym. Obecnie uważa się, że tacy pacjenci utracili unikatową cechę właściwą wyłącznie istotom ludzkim: umiejętność przekraczania teraźniejszości i działania w obliczu tego, co może nastąpić – tajemniczą zdolność do kształtowania przyszłości⁵.

³ Tamże, s. 52.

⁴ Tamże, s. 53.

⁵ Tamże, s. 59 i nast.

To właśnie ta unikatowa, właściwa człowiekowi umiejętność wznoszenia się ponad teraźniejszość, życia zgodnie z dalekosiężnymi celami wybiegającymi w przyszłość – życia nie na łasce świata, lecz bycia budowniczym i twórcą tego świata – jest cechą odróżniającą ludzkie zachowanie od zachowania zwierzęcia, odróżniającą człowieka od maszyny. Na podstawie swoich badań nad zachowaniem żołnierzy, którzy doznali poważnych uszkodzeń mózgu, dr Kurt Goldstein odkrył, że utracili oni właśnie tę właściwą ludziom zdolność abstrakcyjnego myślenia: myślenia w kategoriach „tego, co możliwe”, porządkowania z pomocą idei chaosu konkretnych detali, postępowania zgodnie z jakimś celem. Badani mężczyźni stali się więźniami aktualnego położenia, w jakim się znaleźli, ich poczucie czasoprzestrzeni drastycznie się skurczyło, utracili ludzką wolność⁶.

Codziennosc doświadczana w podobny sposób zawęży świat osoby chorującej na depresję schizofreniczną, dla której „każdy dzień jest osobną wyspą bez przeszłości i bez przyszłości”. Kiedy taki pacjent zaczyna mieć groźne urojenia, kiedy zaczyna mu się wydawać, że dni jego są policzone, to jest to „skutkiem, nie zaś przyczyną jego własnego wypaczonego stosunku do przyszłości”.

„Pacjent nie podejmował żadnych działań ani nie przejawiał żadnych pragnień, zrodzonych z chwili teraźniejszej, które by wybiegały w przyszłość, łączyły nudne, niczym się nieróżniące dni. W rezultacie każdy dzień był czymś niesłychanie osobnym, nie dało się go zanurzyć w wyobrażeniu życia jako pewnej ciągłości, każdego dnia życie zaczynało się od nowa, niczym samotna wyspa na szarym oceanie upływającego czasu. (...) Można było odnieść wrażenie, że pacjent wcale nie pragnie iść naprzód, każdy dzień był dla niego rozpaczliwą monotonią tych samych słów, identycznych skarg, aż w końcu człowiek nabierał przekonania, iż taka egzystencja straciła wszelki sens dalszego, koniecznego trwania. (...) Pacjent nie potrafił na niczym dłużej skupić uwagi, zdawało się, że nie potrafi wyjść poza najbanalniejsze pytania”⁷.

⁶ Zob. Kurt Goldstein, *The Organism, A Holistic Approach to Biology Derived From Pathological Data on Man*, New York and Cincinnati 1939. Zob. także tego autora: *Abstract and Concrete Behaviour*, Evanston, Ill. 1950; *Case of Idiot Savant* (we współpracy z Martinem Scheererem), Evanston 1945; *Human Nature in the Light of Psychopathology*, Cambridge 1947; *After-Effects of Brain Injuries in War*, Nowy Jork 1942.

⁷ Eugene Minkowski, *Findings in a Case of Schizophrenic Depression*, [w:] *Existence*,

W wyniku eksperymentalnych doświadczeń przeprowadzonych ostatnio przez różnych psychologów odkryto, że owca przez mniej więcej kwadrans potrafi połączyć przeszłość i przyszłość z teraźniejszością, a pies przez pół godziny. Człowiek natomiast tysiącletnią przeszłość potrafi uczynić częścią teraźniejszości, jako punkt odniesienia dla własnych działań, potrafi w wyobraźni wybiec w przyszłość, i to nie na ledwie pół godziny, lecz o całe tygodnie i lata. Ta umiejętność „przekraczania bezpośrednich ograniczeń czasowych”, działania i reagowania, postrzegania własnych doświadczeń w perspektywie przeszłości i przyszłości jest unikatową cechą ludzkiej egzystencji⁸. Żołnierze, którzy doznali obrażeń mózgu, byli wobec tego skazani na nieludzkie piekło wiecznej „codziennosci”.

Panie domu, które dręczy ów nienazwany problem, są ofiarami tej samej śmiertelnie nudnej „codziennosci”. Jedna z nich mi wyznała: „Radzę sobie z prawdziwymi problemami, ale do rozpacz doprowadza mnie ta niekończąca się codzienna nuda”. Panie domu, które żyją zgodnie z regułami mistyki kobiecości, nie mają w życiu dalekosiężnego celu, a nie mając przed sobą celu, dzięki któremu mogłyby w pełni wykorzystać swoje umiejętności, nie potrafią poprzez rozwój osiągnąć samospełnienia. Pozbawione takiego celu, tracą poczucie własnej tożsamości, nie wiedzą, kim są, albowiem to właśnie ów cel nadaje egzystencji ludzkiej wymiar⁹.

Amerykańskie panie domu nie mają przecież uszkodzonych mózgów ani też nie są schizofreniczkami w klinicznym sensie tego słowa. Jednakże

A New Dimension in Psychiatry and Psychology, dz. cyt., s. 132 i nast.

⁸ O. Hobart Mowrer, *Time as a Determinant in Integrative Learning*, [w:] *Learning Theory and Personality Dynamics*, New York 1950.

⁹ Eugene Minkowski, *Findings in a Case of Schizophrenic Depression*, dz. cyt., s. 133–138: „Myślimy, działamy i pragniemy wbrew śmierci, której przecież nie unikniemy. Już samo istnienie takiego zjawiska jak pragnienie, by zrobić coś dla przyszłych pokoleń, wyraźnie świadczy o naszym nastawieniu w tym względzie. W przypadku naszego pacjenta wydawało się, że brakuje mu właśnie owego pędu ku przyszłości. (...) W tym indywidualnym impulsie zawiera się element ekspansji; przekraczamy ograniczenia ego i odciskamy własny ślad na otaczającym nas świecie, tworząc dzieła, które odcinają się od nas, by żyć dalej własnym życiem. Towarzyszy temu specyficzne pozytywne uczucie, które określamy mianem zadowolenia – jest to przyjemność, jaka towarzyszy każdemu skończonemu działaniu czy podjętej decyzji. Jest to uczucie wyjątkowe. (...) Cała nasza indywidualna ewolucja polega na próbach przekroczenia tego, co już zostało dokonane. Kiedy nasze życie psychiczne przygasa, przyszłość się przed nami zatrzymuje (...)”.

jeżeli ta nowa szkoła myślenia nie myli się w swej diagnozie i jeżeli podstawowym ludzkim popędem nie jest pragnienie przyjemności czy zaspokojenia biologicznych potrzeb, lecz potrzeba rozwoju i realizacji w pełni swojego potencjału, to faktycznie ich wygodna, jałowa, pozbawiona wszelkiego celu egzystencja jest przyczyną nieokreślonej udręki. W imię kobiecości uchylają się przed dokonywaniem wyborów, dzięki którym zyskałyby w życiu jakiś osobisty cel, miałyby poczucie istnienia. Albowiem, jak twierdzą egzystencjaliści, życie ludzkie nie staje się automatycznie wartościowe. „Człowiek, w przeciwieństwie do drzewa czy kamienia, może utracić swoje jestestwo wskutek dokonywanych wyborów”¹⁰.

Do całego ludzkiego potencjału kobiety odnosi się zapewne to, co dawniej psychologowie uważali za prawdziwe jedynie w przypadku jej seksualnego potencjału – a mianowicie że jeżeli zabroni jej się realizowania jej prawdziwej natury, będzie to ze szkodą dla jej zdrowia. Stłumienie nie tylko takich potrzeb jak seks, lecz również indywidualnych zdolności może się bowiem przerodzić w neurozę. Lęk można uśmierzyć terapią lub środkami uspokajającymi, można się przed nim chwilowo uchronić, rzucając się w wir pracy, jednakże niepokój, rozpacz, które kobieta odczuwa, są mimo wszystko sygnałem ostrzegawczym, że zagrożona jest jej ludzka egzystencja, choćby i zgodnie z założeniami mistyki kobiecości spełniała się ona w roli żony i matki.

Dopiero niedawno uświadomiliśmy sobie, że istnieje pewna ewolucyjna skala czy też hierarchia potrzeb człowieka (a zatem i kobiety), która zaczyna się od potrzeb określanych zazwyczaj mianem instynktów, jako że cechują one i ludzi, i zwierzęta, a kończy na potrzebach, które pojawiają się później w toku ludzkiego rozwoju. Te ostatnie potrzeby – potrzeba wiedzy, samo-realizacji – są równie instynktowne dla człowieka, podobnie jak wspólne zwierzętom i ludziom potrzeby jedzenia, seksu i przeżycia. Wyklarowanie się tych późniejszych potrzeb zależy – jak się wydaje – od uprzedniego zaspokojenia potrzeb fizjologicznych. Człowiek bardzo głodny w sytuacji gdy głód zagraża jego zdrowiu, myśli tylko i wyłącznie o jedzeniu. Zdolności

¹⁰ Rollo May, *Contributions of Existential Psychotherapy*, dz. cyt., s. 31 i nast. Według filozofii Nietzschego ludzka indywidualność i godność są „nam dane lub przypisane jako zadanie, któremu sami musimy podołać”; według filozofii Tillicha, jeżeli człowiek nie ma „odwagi, żeby być”, traci swoje jestestwo; według Sartre’a istnienie człowieka wyznaczają wybory, jakich dokonuje.

nieprzydatne w zaspokojeniu głodu schodzą na plan dalszy. „Jest niewątpliwie prawdą, że ludzie żyją samym chlebem – gdy nie ma chleba. Ale jakie są ich pragnienia, gdy chleba jest pod dostatkiem i gdy ich żołądki są zawsze pełne? Od razu pojawiają się inne (wyższe) potrzeby i to one, a nie fizjologiczny głód, dominują w organizmie”¹¹.

W pewnym sensie ta ewoluująca hierarchia potrzeb coraz bardziej oddala się od poziomu fizjologicznego, który zależy od materialnego środowiska, i przesuwają się na poziom stosunkowo niezależny od środowiska, poziom większej suwerenności. Człowiek może się jednak zafiksować na poziomie potrzeb niższego rzędu; wyższe potrzeby mogą się zagmatwać lub utknąć w starych koleinach i w ogóle się nie pojawić. Postęp, dzięki któremu człowiek powinien się wznieść na najwyższy poziom rozwoju, łatwo można zablokować – poprzez niezaspokojenie potrzeb niższego rzędu – na przykład potrzeby jedzenia czy seksu, ale także poprzez ukierunkowanie całej egzystencji na potrzeby niższego rzędu i odmowę uznania, że istnieją wyższe potrzeby.

W naszej kulturze rozwój kobiet został zablokowany na poziomie fizjologicznym, przy czym w wielu wypadkach nie dostrzega się w ogóle wyższych potrzeb, z wyjątkiem potrzeby miłości czy zaspokojenia seksualnego. Nawet potrzeba poczucia własnej wartości, potrzeba szacunku do samego siebie i szacunku okazywanego przez innych – „pragnienie mocy, osiągnięć, kompetencji, mistrzostwa i fachowości, pewności siebie w konfrontacji ze światem oraz niezależności i wolności” (s. 70) – nie są w przypadku kobiet dostrzegane. Z pewnością jednak zablokowanie potrzeby szacunku do samego siebie, co w efekcie rodzi w człowieku niskie poczucie własnej wartości, poczucie słabości i bezradności, może mieć w przypadku kobiet taki sam skutek. Poczucie własnej wartości – tak u kobiety, jak i u mężczyzny – może się opierać wyłącznie na rzeczywistych zdolnościach, kompetencjach i osiągnięciach, raczej na zasłużonym szacunku okazywanym przez innych niż nieuzasadnionych pochlebstwach. Mimo gloryfikacji zawodu „pani domu”, jako że prowadzenie domu i wychowywanie dzieci nie jest zajęciem wymagającym od kobiety wykorzystania w pełni swoich zdolności ani nie daje takich możliwości, dlatego nie może zapewnić jej odpowiedniego poczucia własnej wartości, a w jeszcze mniejszym stopniu daje możliwość samorealizacji na wyższym poziomie.

¹¹ Abraham H. Maslow, *Motywacja i osobowość*, dz. cyt. s. 65.

Żyjemy w czasach, gdy wiele ludzkich potrzeb wyższego rzędu zostaje zredukowanych do symbolicznego przepracowania potrzeb seksualnych lub też są w ten sposób postrzegane. Wielu postępowych myślicieli poważnie dziś kwestionuje takie „wyjaśnienia poprzez redukcję”. O ile można się doszukać seksualnego symbolizmu i emocjonalnej patologii wszelkiego typu w dziełach i wczesnym dzieciństwie Szekspira, Leonarda da Vinci, Lincolna, Einsteina, Freuda czy Tołstoja, jeżeli tylko z taką intencją są one analizowane, o tyle tego typu „redukcjonistyczne wyjaśnienia” nie tłumaczą dzieła, które żyje niezależnie od jego twórcy, jest jedyną w swoim rodzaju kreacją, a nie dziełem człowieka cierpiącego na jakąś patologiczną przypadłość. Łatwiej jednak zrozumieć symbol seksualny, niż dostrzec, że seks pełni funkcję symboliczną. Jeżeli w naszej kulturze kobieta nie zdaje sobie sprawy z potrzeby tożsamości, szacunku dla samej siebie, osiągnięć ani z potrzeby wyrażenia swojej niepowtarzalnej ludzkiej indywidualności i potrzeby te nie są dostrzegane przez innych, musi wówczas szukać tożsamości i poczucia własnej wartości w jedyny dostępny jej sposób: dążąc do seksualnego zaspokojenia, macierzyństwa i posiadania dóbr materialnych. Uwięziona w pułapce tych celów, zatrzymuje się w rozwoju na niższym poziomie istnienia, pozbawiona możliwości realizacji ludzkich potrzeb wyższego rzędu.

Rzecz jasna, niewiele wiadomo na temat patologii czy dynamiki u człowieka wyższych potrzeb – pragnienia wiedzy i rozumienia, poszukiwania wiedzy, prawdy i mądrości, pragnienia zgłębiania tajemnic kosmosu – albo- wem nie są one ważne w klinicznej tradycji leczenia chorób. W porównaniu z objawami klasycznej nerwicy – na przykład zaobserwowanymi przez Freuda symptomami powstałymi na skutek stłumienia potrzeb seksualnych – ten rodzaj psychopatologii byłby ulotny, subtelny, łatwy do przeoczenia – lub też można by go uznać za objaw normalności.

Faktem jest jednak, i to udokumentowanym historycznie, ale także klinicznie czy laboratoryjnie, że człowiek zawsze, nawet w obliczu największego niebezpieczeństwa, dążył do wiedzy i prawdy. Najnowsze badania przeprowadzone nad zachowaniami ludzi zdrowych psychicznie wykazały ponadto, że owo dążenie, skoncentrowanie się na wielkich pytaniach jest jednym z kryteriów ludzkiego zdrowia. Osoby, które ani razu nie zaangażowały się w jakąś ideę, ani razu nie podjęły ryzyka zgłębiania niewiedomego, ani razu nie zdobyły się na wysiłek kreacyjny, do czego i kobiety,

i mężczyźni są potencjalnie zdolni, są w pewnym sensie pozbawione pełni człowieczeństwa. Jak stwierdza Abraham H. Maslow:

„Zdolności głośno domagają się, aby zrobić z nich jakiś użytek – i ten krzyk cichnie dopiero wtedy, kiedy zostaną we właściwy sposób spożytkowane. To znaczy, że zdolności są jednocześnie potrzebami. Nie tylko przyjemnie jest zrobić użytek z naszych zdolności, lecz jest to również konieczne. Umiejętności, z których się nie korzysta, czy nieużywany organ mogą się stać ogniskiem choroby, czyli inaczej atrofii, tym samym nadwątłając siły człowieka”¹².

Mimo to w Ameryce nie zachęca się kobiet do tego, aby w pełni wykorzystywały swoje zdolności, ani też nikt nie ma wobec nich takich oczekiwań. W imię kobiecości nakłania się je natomiast do tego, by uchylały się przed właściwym człowiekowi rozwojem.

„Rozwój jest nie tylko czymś satysfakcjonującym i przyjemnym, zawsze nierozzerwalnie wiąże się z nim wiele cierpienia. Każdy krok to wejście w nieznaną, każdy krok jest potencjalnie niebezpieczny. Wymaga to często rezygnacji z tego, co znane, dobre i satysfakcjonujące. Łączy się często z rozłąką i odseparowaniem od innych, dając w zamian tęsknotę, samotność i smutek. Często również wiąże się to z rezygnacją z prostszego, łatwiejszego i niewymagającego wysiłku życia w zamian za życie trudniejsze i bardziej wymagające. Rozwój odbywa się na przekór tym stratom, wymaga przeto od człowieka siły i odwagi, lecz także ochrony, pozwolenia i zachęty ze strony otoczenia, szczególnie gdy dotyczy dziecka”¹³.

W takim razie co się dzieje w przypadku, gdy otoczenie z dezaprobatą spogląda na siłę i odwagę, jakie wykazuje dziecko, które jest dziewczynką, a czasem wręcz dosłownie zabrania jej dalszego rozwoju, w rzeczywistości zaś rzadko ją do tego zachęca? Co się dzieje w sytuacji, gdy ludzki rozwój uważa się za sprzeczny z kobiecością, spełnianiem się w kobiecej roli, z kobiecą seksualnością? Mistyka kobiecości zmusza do wyboru między „byciem kobietą” a zaryzykowaniem cierpień związanych z ludzkim rozwojem. Tysiące kobiet, które przez swoje otoczenie zostały zredukowane wyłącznie do funkcji biologicznych, których czujność uspiono wizją anonimowego bezpieczeństwa, jakie miały znaleźć w swym wygodnym obozie koncen-

¹² Abraham H. Maslow, *Some Basic Propositions of Holistic-Dynamic Psychology*, niepublikowana rozprawa, Brandeis University.

¹³ Tamże.

tracyjnym, dokonało złego wyboru. Ironia ukryta w tym błędnym wyborze polega na tym, że mistyka podsuwa „spełnienie się w kobiecej roli” jako nagrodę za bycie wyłącznie żoną i matką. Nieprzypadkowo jednak tysiące gospodyń domowych z domów na przedmieściach nie znalazło tej nagrody. Jak się wydaje po prostu dlatego że warunkiem osiągnięcia przez kobiety seksualnego spełnienia i najwyższych uniesień miłosnych jest możliwość rozwoju, by mogły w pełni wykorzystać swój potencjał. Albowiem według teoretyków nowej szkoły psychologicznej samorealizacja – bynajmniej nie stanowiąca przeszkody w przeżywaniu najwyższych rozkoszy seksualnych – nierozzerwalnie się z tym wiąże. Mamy nie tylko teoretyczne powody, by sądzić, że dotyczy to zarówno kobiet, jak i mężczyzn.

Pod koniec lat trzydziestych XX wieku profesor Maslow przystąpił do badań nad związkiem między seksualnością a tym, co określił u kobiet jako „uczucie dominacji”, „poczucie własnej wartości” czy też „poziom ego”. Przebadał przypadki 130 kobiet, absolwentek college’u, o porównywalnej inteligencji, w przedziale wiekowym 20–28 lat, z których większość była mężatkami, protestantkami z klasy średniej¹⁴. Wbrew temu, czego można by się spodziewać po psychoanalizie i tradycyjnym modelu kobiecości, odkrył, że im bardziej „dominująca” kobieta, tym większą satysfakcję osiąga ona w życiu seksualnym i tym większą wykazuje zdolność do „uległości” w psychologicznym sensie tego słowa, do swobodnego oddania się w miłości, do osiągnięcia orgazmu. Nie chodziło o to, że kobiety o bardziej „dominującej osobowości” miały „silniejszy popęd seksualny”, ważne było to, że przede wszystkim bardziej były sobą, czuły się na tyle wolne, żeby być sobą – to zaś chyba nierozzerwalnie wiązało się z większym poczuciem wolności, pozwalającym na uległość w miłości. Kobiety te nie były „kobiece” w zwykłym sensie tego słowa, ale w znacznie większym stopniu przeżywały rozkosz seksualną niż kobiety tradycyjnie kobiece, uczestniczące we wspomnianym badaniu.

Nie spotkałam się jeszcze z tym, aby wnioski płynące z tych badań omówiono w popularnej literaturze psychologicznej poświęconej kwestiom kobiecości czy kobiecej seksualności. Być może nawet teoretycy nie dostrzegali w swoim czasie ich przełomowości. Tym niemniej wyniki przytoczonych tu

¹⁴ Abraham H. Maslow, *Dominance, Personality and Social Behaviour in Women*, [w:] „Journal of Social Psychology”, 1939, t. 10, s. 3–39 oraz *Self Esteem (Dominance-Feeling) and Sexuality in Women*, [w:] „Journal of Social Psychology”, 1942, t. 16, s. 259–294.

badan prowokują dziś do myślenia o współczesnych Amerykankach, które żyją pod dyktando mistyki kobiecości. Należy jednak pamiętać, że badania te przeprowadzono pod koniec lat trzydziestych, zanim mistyka stała się wszechpotężna. Najwyraźniej w przypadku tych silnych, energicznych, wykształconych kobiet nie było żadnego konfliktu między popędem do tego, aby być sobą, a miłością. Profesor Maslow w następujący sposób zestawiał przypadki tych kobiet z ich bardziej „kobiecymi” siostrami, zarówno jeśli chodzi o umiejętność bycia sobą, jak i ich seksualność:

„Wysokie poczucie dominacji wymaga mocnej wiary w siebie, asertywności, wysokiej samooceny, przekonania co do własnych umiejętności i poczucia wyższości, a także braku nieśmiałości, płochliwości, skrępowania czy wstydlivosti. Niskie poczucie dominacji wiąże się z brakiem samoświadomości, asertywności i poczucia własnej wartości; zamiast tego człowiek ma dość silne i szczególne poczucie, że jest kimś gorszym, występują u niego takie cechy jak: nieśmiałość, wstydlivość, lękliwość, skrępowanie. (...) Osoba, która mówi o sobie, że nie ma w niej ani krzty «ogólnej wiary w siebie», jednocześnie stwierdza, że świetnie sobie radzi w domu, doskonale gotuje, szyje, jest wspaniałą matką (...), mimo to prawie zawsze w jakimś stopniu nie docenia swoich specyficznych zdolności i talentów; natomiast osoba przejawiająca silną skłonność do dominacji zwykle właściwie i realistycznie ocenia swoje umiejętności”¹⁵.

Kobiety przejawiające silną skłonność do dominacji nie były „kobiece” w tradycyjnym sensie tego słowa, po części dlatego, że miały poczucie, iż mają swobodę wyboru, nie czuły się spętane tradycją, a częściowo dlatego, że były silniejszymi indywidualnościami niż większość kobiet.

„Takie kobiety wolą, żeby je traktowano «jak człowieka, a nie jak kobietę». Wolą być niezależne, samodzielne i – ogólnie rzecz biorąc – nie podobają im się kompromisy, które oznaczają, że są kimś gorszym, istotą słabszą lub też że potrzebują specjalnej troski i że nie potrafią same o siebie zadbać. Nie znaczy to jednak, że nie potrafią postępować zgodnie z tradycją. Postępują w ten sposób zawsze wtedy, kiedy z jakiegokolwiek powodu jest to konieczne lub pożądane, ale zwykłych konwenansów nie traktują poważnie. Najczęściej można z ich ust usłyszeć: «Mogę być miła i słodka, mogę być kobietą-bluszczem jak inne kobiety, ale nie dam sobie w kaszę dmuchać».

¹⁵ Abraham H. Maslow, *Dominance, Personality and Social Behaviour in Women*, dz. cyt., s. 3–11.

(...) Dla tych kobiet zasady jako takie nie mają na ogół żadnego znaczenia. Dopiero z chwilą gdy zaakceptują reguły postępowania, gdy dostrzegają ukryty za nimi cel, z którym się zgodzą, tylko wówczas będą ich przestrzegały w życiu. (...) są silne, pewne siebie, z uporem dążące do celu, postępują zgodnie z regułami, ale zasady te muszą być autonomiczne i osobiście przez nie wypracowane. (...)

Kobiety nieprzejawiające skłonności do dominacji są zupełnie inne. Zwykle nie ośmielają się złamać reguł postępowania, nawet jeśli się z nimi nie zgadzają (co zresztą rzadko ma miejsce). (...) Moralność i etyka, jakimi się w życiu kierują, mają wymiar całkowicie tradycyjny. To znaczy, że kobiety o niedominującej osobowości postępują tak, jak im to wpoili rodzice, nauczyciele czy też religia. Na ogół nie kwestionują otwarcie opinii autorytetów, są bardziej skłonne zaaprobować *status quo* w każdej dziedzinie życia, czy to religijnej, ekonomicznej, edukacyjnej czy politycznej¹⁶.

Profesor Maslow odkrył, że im u kobiety silniejsza skłonność do dominacji, im silniejsze „Ja”, tym mniej jest ona skoncentrowana na sobie i tym bardziej kieruje swoją uwagę ku światu zewnętrznemu, ku innym ludziom i problemom. Z drugiej strony kobiety nieprzejawiające skłonności do dominacji, bardziej tradycyjne, bardziej kobiece skupiały się głównie na sobie i własnych niedoskonałościach. Z psychologicznego punktu widzenia kobieta przejawiająca silną skłonność do dominacji była bardziej podobna do mężczyzny o dominującej osobowości niż do kobiety niemającej skłonności do dominacji. W związku z tym profesor Maslow proponował, aby zarówno mężczyzn, jak i kobiety o dominującej osobowości opisywać jako „męskich” albo zrezygnować z obu terminów – „męski” i „kobięcy” – ponieważ oba są „mylące”.

„Nasze kobiety przejawiające silną skłonność do dominacji uważają, że mają więcej wspólnego z mężczyznami niż z kobietami, jeśli chodzi o upodobania, nastawienie, uprzedzenia, skłonności, filozofię i ogólnie rzecz biorąc, wewnętrzną osobowość. (...) Wiele cech przypisywanych w naszej kulturze mężczyznom można dostrzec u nich w dużym natężeniu – na przykład zdolności przywódcze, siła charakteru, nakierowanie na wyraźny cel społeczny, wyzwolenie od błahostek i trywialności dnia codziennego, brak lęku, nieśmiałości i inne. Kobiety o dominującej osobowości zwykle nie chcą zajmować się wyłącznie domem czy kuchnią, lecz pragną łączyć

¹⁶ Tamże, s. 13 i nast.

małżeństwo z pracą zawodową. (...) Godzą się nawet na pensję nie wyższą od wynagrodzenia gospośi, uważają jednak, że ważniejsza jest inna praca niż szycie, gotowanie etc.”¹⁷.

Przede wszystkim kobieta o dominującej osobowości była psychicznie bardziej wolna – bardziej autonomiczna. Kobieta niemająca skłonności do dominacji nie mogła być sobą, była ukierunkowana na innych. Im bardziej deprecjonowała siebie, im mniejsze miała zaufanie do własnych zdolności, tym było bardziej prawdopodobne, że opinie innych ludzi będą się dla niej bardziej liczyły niż jej własne zdanie, że będzie pragnęła być jak inni. Takie kobiety „zazwyczaj bardziej podziwiają i szanują innych niż siebie”, zaś temu „ogromnemu poszanowaniu autorytetu”, uwielbieniu innych i ich naśladowaniu, całkowicie „dobrowolnemu podporządkowaniu się innym” i okazywaniu innym najwyższego szacunku towarzyszyły uczucia „nienawiści i urazy, zawiść, zazdrość, podejrzenia i nieufność”.

O ile kobiety o dominującej osobowości potrafiły okazać gniew, o tyle kobiety nieprzejawiające skłonności do dominacji „nie miały dość «śmiałości», by powiedzieć, co myślą, ani dość odwagi, by w razie potrzeby okazać złość”. A zatem tak oto ich „kobieca” potulność szła w parze z „nieśmiałością, poczuciem niższości i ogólnym przeświadczeniem, że wszystko, co powiedzą, będzie głupie lub zostanie wyśmiane”. Kobieta o niedominującej osobowości „nie ma aspiracji przywódczych, tylko w fantazjach przewodzi innym, boi się bowiem być na pierwszej linii frontu, boi się odpowiedzialności, wydaje jej się, że byłaby osobą niekompetentną”.

Profesor Maslow odkrył zatem, że istnieje oczywisty związek między siłą własnego „Ja” i seksualnością, wolnością, która pozwala być sobą, i wolą „podporządkowania się”. Maslow stwierdził, że kobiety, które były „płochliwe, nieśmiałe, skromne, staranne, taktowne, ciche, introwertyczne, wstydliwe, bardziej kobiece, przywiązane do tradycji”, nie potrafiły czerpać satysfakcji seksualnej w przeciwieństwie do kobiet przejawiających silną skłonność do dominacji i mających wysokie poczucie własnej wartości, które nie miały z tym żadnych trudności.

„Wydawałoby się, że każdy popęd seksualny lub pragnienie kiedykolwiek wypowiedziane może się u tych kobiet swobodnie i bez żadnych zahamowań pojawić. (...) Ogólnie rzecz ujmując, akt seksualny jest zazwyczaj traktowany nie jako poważny rytuał budzący lęk i różniący się w sposób

¹⁷ Tamże, s. 180.

fundamentalny od pozostałych czynów, lecz jako gra, igraszka, jak dający najwyższą rozkosz akt zwierzęcy”¹⁸.

Ponadto Maslow odkrył, że nawet w snach i fantazjach kobiety przejawiające ponadprzeciętną skłonność do dominacji czerpały przyjemność z życia seksualnego, podczas gdy w przypadku kobiet o niedominującej osobowości ich sny seksualne zawsze miały „charakter romantyczny albo też były niespokojne, zniekształcone, ich treści były ukryte w symbolach i na pozór niewidoczne”.

Czyżby twórcy mistyki kobiecości nie dostrzegali owych silnych, czerpiących radość z życia seksualnego kobiet, kiedy definiowali pasywność oraz wyrzeczenie się osobistych osiągnięć i aktywności w świecie zewnętrznym jako cenę, jaką kobiety płacą za osiągnięcie zaspokojenia seksualnego? Być może Freud i jego uczniowie nie zaobserwowali takich przypadków w swoich klinikach, kiedy tworzyli swoją wizję pasywnej kobiecości. Być może silna indywidualność, którą Maslow odkrył u badanych kobiet, była zupełnie nowym zjawiskiem.

Mistyka kobiecości była powodem, dla którego nawet behawioryści nie zgłębiali w następnej epoce związku między seksem a osobowością kobiet. Abstrahując już jednak od spraw dotyczących kobiet, w ostatnich latach behawioryści zaczęli się coraz bardziej niepokoić tym, że przedstawiana przez nich wizja ludzkiej natury opiera się na badaniach chorych lub opóźnionych w rozwoju przedstawicieli gatunku, czyli pacjentów w klinikach psychiatrycznych. Dlatego później profesor Maslow przystąpił do badań nad ludźmi – umarłymi i żyjącymi – którzy nie mieli żadnych objawów neurozy, psychozy czy psychopatycznej osobowości; ludźmi, którzy w jego opinii dawali pozytywne świadectwo samorealizacji czy „samourzeczywist-

¹⁸ Abraham H. Maslow, *Self-Esteem (Dominance-Feeling) and Sexuality in Women*, dz. cyt., s. 288. Maslow zauważa jednak, że kobiety „niepewne swojego ego” udawały, że mają „poczucie własnej wartości”, którego w rzeczywistości nie miały. Takie kobiety musiały „dominować” w zwykłym sensie tego słowa w relacjach seksualnych po to, żeby zrekompensować sobie to, że są „niepewne swojego ego”. Tym samym były albo kastracyjne, albo masochistyczne. Jak już zauważyłam, można było zapewne spotkać wiele takich kobiet w społeczeństwie, które daje kobietom niewielką szansę na to, by mogły mieć poczucie własnej wartości. Bez wątplenia na tej właśnie podstawie został ufundowany mit o kobietach-modliszkach, to dlatego Freud utożsamiał kobiecość z kastracyjną zazdrością o penisa i/lub masochistyczną pasywnością.

nienia”, definiowanych przez niego jako „jako pełne wykorzystanie talentów, zdolności, możliwości itp. Jeśli chodzi o ludzi samorealizujących się, to spełniają się oni i robią to, do czego są zdolni, najlepiej jak potrafią. (...) Są ludźmi, którzy rozwinęli się lub rozwijają aż do osiągnięcia tak pełnego poziomu, do jakiego są zdolni”¹⁹.

Z badań tych wyłania się wiele kwestii, które bezpośrednio rzutują na problem, z jakim borykają się dziś kobiety w Ameryce. Po pierwsze, wśród osób życia publicznego uwzględnionych w badaniach profesor Maslow był w stanie znaleźć tylko dwie kobiety, które się rzeczywiście w życiu spełniły – Eleanor Roosevelt i Jane Addams²⁰. (Wśród mężczyzn wymieniał: Lincolna, Jeffersona, Einsteina, Freuda, G.W. Carvera, Debsa, Schweitzera, Kreislera, Goethego, Thoreau, Williama Jamesa, Spinozę, Whitmana, Franklina Roosevelta, Beethovena.) Oprócz postaci publicznych i historycznych przebadiał również wnikliwie niewielką liczbę anonimowych osób spełniających sformułowane przez niego kryteria – wszystkie w przedziale wiekowym 50–70 lat – oraz prześwietlił 3 tysiące studentów college’u, wśród których znalazł jedynie dwadzieścia osób, o których można było powiedzieć, że dążą do samorealizacji, choć także i w tej grupie było zaledwie kilka kobiet. Z odkryć Maslowa rzeczywiście wynikało, że w naszym społeczeństwie samourzeczywistnienie, czyli realizacja w pełni ludzkiego potencjału, jest w przypadku kobiet prawie w ogóle niemożliwe.

Na podstawie swoich badań profesor Maslow ustalił, że ludzie, którzy się realizują w życiu, zawsze podejmują jakieś zobowiązania, mają poczucie misji, jaką mają do spełnienia w życiu, dzięki czemu żyją w rozległym ludzkim świecie, w układzie odniesienia nieograniczającym się do prywatności i skupienia się na drobnych szczegółach codzienności.

„Osoby te zazwyczaj mają jakąś misję w życiu, jakieś zadanie do spełnienia, jakiś problem natury zewnętrznej, który pochłania wiele ich energii.

¹⁹ Abraham H. Maslow, *Motywacja i osobowość*, dz. cyt., s. 204.

²⁰ Jane Addams (1860–1935) – amerykańska feministka, dziennikarka, socjolożka, przewodnicząca Women’s International League for Peace and Freedom (Międzynarodowej Ligi Kobiet na rzecz Pokoju i Wolności). W 1931 roku wraz z Nicholasem Butlerem otrzymała Pokojową Nagrodę Nobla za propagowanie paktu Brianda-Kellogga (międzynarodowego traktatu ustawiającego wyrzeczenie się wojny jako instrumentu polityki narodowej), była obrończynią praw nie tylko kobiet, ale również Murzynów i emigrantów (przyp. red.).

(...) Zwykle zadania te są nieosobiste czy nieegoistyczne, a chodzi w nich raczej o ogólne dobro ludzkości, narodu czy też kilku członków rodziny. (...) Nasi badani zazwyczaj interesują się problemami podstawowymi i odwiecznymi pytaniami, które przywykliśmy nazywać filozoficznymi lub etycznymi. Tacy ludzie żyją zwykle w jak najszerszym układzie odniesienia. (...) W swej pracy kierują się wartościami, które są ogólne, a nie drobiazgowo, uniwersalne, a nie lokalne i pojmowane raczej w kategoriach stulecia niż chwili. (...)”²¹.

W dalszej części swoich rozważań profesor Maslow zauważył, że ludzie, którzy się realizują w życiu, żyjący w świecie z szerszymi horyzontami, w pewnym sensie dlatego właśnie nie przestają się cieszyć codziennością, drobiazgami, które z kolei osobom, dla których są całym światem, mogą się wydawać nieznośnie irytujące. „Mają cudowną zdolność do doceniania wciąż na nowo, w sposób świeży i naiwny, podstawowych dobrodziejstw życia z podziwem, przyjemnością, zachwytem, a nawet uniesieniem, chociaż dla innych doświadczenia te mogłyby się już stać banalne”²².

Maslow w swojej rozprawie stwierdzał również, że „przyjemność seksualna u ludzi samorealizujących się może być bardzo intensywna”. Wydawało się, jakby realizacja indywidualnych możliwości w wielkim świecie otwierała nowe perspektywy osiągnięcia seksualnej ekstazy. A jednak seks, czy nawet miłość, nie był decydującym celem w życiu tych osób.

„Dla osób samorealizujących się orgazm jest jednocześnie ważniejszy i mniej ważny niż dla ludzi przeciętnych. Często orgazm jest głębokim i niemal mistycznym przeżyciem, a jednak osoby te łatwiej znoszą abstynencję seksualną. (...) Miłość na poziomie wyższych potrzeb sprawia, że niższe potrzeby oraz ich frustracje i zaspokojenie stają się mniej ważne, mniej centralne, łatwiej bagatelizowane. Jednocześnie powoduje ona, że z zaspokojenia tych potrzeb czerpie się większą, pełniejszą przyjemność. (...) Seks może być w pełni przeżywaną przyjemnością, znacznie większą, niż jest to możliwe u przeciętnego człowieka, chociaż nie odgrywa centralnej roli w filozofii życiowej osób samorealizujących się. Jest czymś, z czego należy czerpać przyjemność, co należy uważać za rzecz naturalną, na czym można budować, co ma podstawowe znaczenie jak woda i pokarm i czym tak samo

²¹ Abraham H. Maslow, *Motywacja i osobowość*, dz. cyt., s. 214.

²² Tamże, s. 217.

można się bardzo cieszyć – jednakże zaspokojenie potrzeby seksualnej powinno się uważać za coś oczywistego”²³.

Dla osób samorealizujących się orgazm nie zawsze jest „mistycznym przeżyciem”, może być traktowany raczej lekko, może być czymś „radosnym i beztrudnym, raczej zabawą niż poważnym, głębokim doznaniem czy nawet obojętną powinnością. (...) lekko i łagodnie ciesząc się seksem jako podniecającym, przyjemnym, radosnym, zabawnym rodzajem doświadczenia, zamiast zgłębiać otchłanie najbardziej intensywnej, ekstatycznej emocjonalności” (s. 238). W przeciwieństwie do tradycyjnych zapatrywań na sprawy seksualne i ezoterycznych teoretyków seksu Maslow stwierdził, że w przypadku ludzi samorealizujących się jakość miłości i osiągniętej satysfakcji seksualnej poprawia się w miarę trwania związku. („W miarę trwania związku rozwija się intymność, szczerość i autoekspresja”). Ponieważ z wiekiem taka osoba staje się coraz bardziej sobą, jest coraz bardziej uczciwa wobec siebie, to wydaje się również, że potrafi nawiązać głębsze i intensywniejsze relacje z innymi ludźmi, jest zdolna do większej jedności, większej miłości, doskonalszego utożsamienia się z innymi ludźmi, potrafi przezwyciężyć własne ograniczenia, nie rezygnując jednocześnie z własnej indywidualności.

„W związku miłosnym widzimy połączenie wielkiej zdolności do kochania z ogromnym szacunkiem dla drugiej osoby i siebie samego. (...) Nawet w najbardziej intensywnych i ekstatycznych związkach miłosnych osoby te nie zmieniają się, żyją zgodnie z własnymi standardami, pozostając ostatecznie panami siebie, mimo że ogromnie cieszą się sobą nawzajem”²⁴.

W naszym społeczeństwie, przynajmniej jeśli chodzi o kobiety, miłość definiowano zazwyczaj jako pełne zespolenie dwóch ego i utratę odrębności – jako „wspólnotę” (*togetherness*), raczej jako wyrzeczenie się własnej indywidualności niż jej umocnienie. Jeśli zaś chodzi o miłość ludzi samorealizujących się, Maslow odkrył, że ich indywidualność zostanie

²³ Tamże, s. 237–238.

²⁴ Tamże, s. 243–244. Maslow odkrył, że ludzie samorealizujący się „w niezwyklej stopniu posiadli rzadką umiejętność znajdowania zadowolenia w sukcesach partnera, niż traktowania ich jako zagrożenia. (...) Przykładem najbardziej godnym podziwu pod tym względem jest autentyczna, nieklamana duma, jaką takiego mężczyznę napawają osiągnięcia żony, nawet jeśli miałyby przyćmić jego własne sukcesy” (tamże, s. 252).

wzmocniona, że „ego w pewnym sensie stapia się z drugim ego, lecz w innym znaczeniu pozostaje odrębne i silne jak zawsze. Te dwie tendencje – do wykraczania poza indywidualność oraz do uwydatniania się i umacniania – trzeba widzieć jako współdziałające ze sobą, a nie sprzeczne” (s. 244).

W miłości osób samorealizujących się Maslow odkrył także skłonność do jak największej spontaniczności, wyzbycia się reakcji obronnych, coraz większej intymności, szczerości i autoekspresji. Dla tych ludzi możliwe okazało się zachowanie własnej indywidualności, mogli czuć się naturalnie; mogli czuć się psychicznie (jak również fizycznie) nadzy, a mimo to kochani, pożądani i bezpieczni; nie mieli nic przeciwko temu, aby ich przewiny, słabości, wady fizyczne i psychiczne były odsłonięte. Nie zawsze musieli starać się za wszelką cenę ukrywać sztuczne zęby, siwe włosy, oznaki starzenia się; nie musieli nieustannie „pracować” nad swoimi związkami; było w tym może znacznie mniej tajemniczości i uroku, ale też znacznie mniej rezerwy, skrytości i sekretów. Wydawało się, że w przypadku osób samorealizujących się jest mniej wrogości między płciami. W rzeczywistości Maslow odkrył, że osoby samorealizujące się „w istocie nie różnicowały wyraźnie ról i osobowości dwóch płci” (s. 238).

„Nie zakładały one, że kobiety powinny być bierne, a mężczyźni aktywni – w seksie, w miłości czy w jakiegokolwiek innej dziedzinie. Osoby te były tak pewne swojej męskości czy kobiecości, że nie miały nic przeciwko przejmowaniu pewnych kulturowych aspektów roli płci przeciwnej. Szczególnie godne uwagi jest to, że mogły one być zarówno aktywnymi, jak i pasywnymi kochankami, co występowało najwyraźniej w akcie seksualnym i pieszczotach fizycznych. Całować, być całowanym, być na górze albo na dole podczas aktu seksualnego, podejmować inicjatywę, być biernym i przyjmować miłość, pobudzać i być pobudzonym – to wszystko występowało u obu płci”²⁵.

A zatem o ile według tradycyjnych, a nawet bardziej nowoczesnych poglądów wydawało się, że miłość kobiety i mężczyzny, zachowania aktywne i pasywne były przeciwnymi biegunami, o tyle w przypadku ludzi samorealizujących się „te dychotomie zanikają, a jednostka staje się zarazem aktywna i bierna, samolubna i niesamolubna, męska i kobieca, zarazem zainteresowana sobą i zapominająca o sobie”.

W przypadku ludzi samorealizujących się miłość różni się od trady-

²⁵ Tamże, s. 238–239.

cyjnej definicji miłości pod jeszcze jednym względem – nie jest ona motywowana potrzebą, aby zrekompensować ułomności własnego „Ja”, lecz jest raczej czystą miłością „dawania”, czymś w rodzaju „spontanicznego zachwyty”²⁶.

Taką bezinteresowną admirację i miłość uważano dawniej za nadludzką zdolność, a nie naturalne zdolności człowieka. Jednak jak twierdzi Maslow, „istoty ludzkie u szczytu swych możliwości, w pełni dojrzałe, wykazują wiele cech, które niegdyś, w poprzedniej epoce, uważano za nadprzyrodzone prerogatywy”.

I właśnie w tych słowach „w pełni dojrzałe” kryje się klucz do zrozumienia problemu, który nie ma nazwy. Doświadczenie przekroczenia własnego „Ja” w osiąganym orgazmie, tak jak w przeżyciu twórczym, dane będzie tylko temu, kto jest sobą, kto jest w pełni człowiekiem, kto zyskał własną tożsamość. Teoretycy wiedzą, że jest to prawdziwe w wypadku mężczyzny, jakkolwiek nigdy nie zastanawiali się nad tym, jakie to ma następstwa dla kobiet. Lekarze, ginekolodzy, położnicy, psychiatrzy dziecięcy, pediatrzy, psychoterapeuci małżeńscy i pastory z przedmieść – ci wszyscy, którzy próbowali zaradzić problemom kobiet – dostrzegali to zjawisko, choć go nie nazwali, a nawet nie pisali o nim jako o pewnym fenomenie. To, co zaobserwowali, potwierdza jednak, że tak dla kobiety, jak i dla mężczyzny potrzeba samospełnienia – potrzeba autonomii, samorealizacji, niezależności, indywidualności, samourzeczywistnienia – jest równie ważna, jak potrzeby seksualne i ma równie poważne konsekwencje w sytuacji, gdy udaremniona zostanie jej realizacja. W tym sensie problemy seksualne kobiet są efektem ubocznym stłumienia ich elementarnej potrzeby rozwoju i spełnienia możliwości, które są im – jako istotom ludzkim – dane, urzeczywistnienia potencjału, który mistyka kobiecego spełnienia ignoruje.

Psychoanalitycy od dawna już podejrzewali, że kobieca inteligencja nie rozwija się w pełni, jeśli kobieta wypiera się swojej seksualnej natury, ale czyż jej seksualna natura może w pełni rozkwitnąć, skoro kobieta musi się wyprzeć swojej inteligencji, najwyższego ludzkiego potencjału? We wszystkich słowach krytyki, które napisano, piętnując Amerykanki za kastrowanie mężów i synów, zdominowanie dzieci, zachłanną miłość macierzyńską, seksualną oziębłość czy też wypieranie się swojej kobiecości, być może kryje się po prostu fundamentalna prawda, a mianowicie że

²⁶ Tamże, s. 241.

kobiety – tak samo jak mężczyźni – mogą żyć samym seksem oraz że ich walka o tożsamość, autonomię – tę „indywidualną produktywną orientację opartą na ludzkiej potrzebie aktywnego udziału w jakimś twórczym przedsięwzięciu” – wiąże się nierozdzielnie z seksualnym zaspokojeniem, będącym warunkiem ich dojrzałości. Próbuąc żyć samym seksem, zgodnie z wizją mistyki kobiecości, kobieta nie ma wyjścia: musi w końcu „wykastrować” swojego męża i synów, którzy nie potrafią dać jej dość satysfakcji, aby mogła w ten sposób zrekompensować brak własnego „Ja”, swoim córkom przekazuje natomiast w milczeniu własne rozczarowanie, autodeprecjację i niezadowolenie.

Profesor Maslow powiedział mi, że jego zdaniem dla współczesnych Amerykanek jedyną szansą samorealizacji jest możliwość rozwoju za pośrednictwem drugiego człowieka – to znaczy, jeśli kobieta może realizować swój potencjał za pośrednictwem męża i dzieci. „Nie wiemy, czy to jest możliwe, czy też nie” – stwierdził profesor.

Teoretycy od niedawna zajmujący się problemem osobowości, którzy są mężczyznami, zwykle uchylali się przed poruszaniem kwestii samorealizacji kobiet. Zdeprymowani mistyką kobiecości, wychodzą z założenia, że musi istnieć jakaś dziwna „różnica”, która pozwala kobiecie spełniać się, żyjąc życiem męża i dzieci, podczas gdy mężczyźni muszą samodzielnie się realizować. Nawet najbardziej postępowemu psychologowi wciąż trudno jest dostrzec w kobiecie odrębne „Ja”, ludzką istotę, która – jeśli chodzi o jej potrzebę rozwoju – nie różni się pod tym względem niczym od mężczyzny. Większość tradycyjnych teorii dotyczących kobiet, podobnie jak sama mistyka kobiecości, opiera swoje tezy na tej „różnicy”. „Różnica” ta polega jednak w rzeczywistości na tym, że kobiety wcześniej nie miały możliwości prawdziwej samorealizacji.

Wielu psychologów, nie wyłączając samego Freuda, popełniło błąd, przyjmując na podstawie obserwacji kobiet, które nie miały wykształcenia i nie mogły się swobodnie realizować w świecie, fałszywe założenie, że istotą kobiecej natury jest pasywność, konformizm, zależność, lękliwość, dziecinność, podobnie zresztą jak Arystoteles, który opierając wizję ludzkiej natury na greckiej kulturze i specyficznych uwarunkowaniach własnej epoki, wyszedł z błędnego założenia, że ponieważ człowiek jest niewolnikiem, stan niewolnictwa jest istotą jego natury, a zatem „być niewolnikiem jest dla niego czymś dobrym”.

Dzisiaj, kiedy wykształcenie, wolność, prawo do pracy na wielkich ludzkich rubieżach – wszystkie drogi, którymi mężczyźni podążali ku samorealizacji – stoją otworem także przed kobietami, jedynie przeszłość wpisana w mistykę kobiecego spełnienia, która się kładzie mrocznym cieniem, uniemożliwia im znalezienie własnej drogi. Mistyka kobiecości obiecuje kobietom seksualne zaspokojenie pod warunkiem, że wyrzekną się siebie, że zrezygnują z własnego „Ja”. Można jednak przytoczyć masę danych statystycznych świadczących o tym, że już samo otwarcie przed Amerykankami możliwości budowania swojej społecznej tożsamości przyniosło wśród kobiet autentyczny, ogromny wzrost zdolności do osiągnięcia satysfakcji seksualnej – do osiągnięcia orgazmu. W okresie między „emancypacją” kobiet, jaką wywalczyły feministki, a seksualną kontrrewolucją mistyki kobiecości Amerykanki z każdą dekadą zyskiwały większą zdolność osiągnięcia orgazmu. Kobiety zdolne do najwyższej rozkoszy seksualnej należały do tych, które zaszły najdalej na drodze samorealizacji, które były kształcone do aktywnego uczestnictwa w świecie rozpościerającym się za progiem domu.

Dowody potwierdzające, że tak jest w istocie, można znaleźć w dwóch słynnych badaniach, które się na ogół rzadko przywołuje w tym kontekście. Pierwsze studium – raport Kinseya – opierało się na wywiadach przeprowadzonych z 5940 kobietami, które dorastały wprawdzie w różnych dekadach XX wieku, kiedy emancypacja kobiet stała się faktem, lecz nim nastąpiła epoka mistyki kobiecości. Nawet według Kinseyowskiej metody mierzenia poziomu osiągniętej satysfakcji seksualnej – orgazmu (który wielu psychologów, socjologów i psychoanalityków krytykowało za zbyt wąskie, mechaniczne i zbyt fizjologiczne ujęcie, przy jednoczesnym pominięciu podstawowych niuansów psychologicznych), jego badania pokazują zasadniczy w tym okresie wzrost liczby przypadków orgazmu osiąganego przez kobiety. Zjawisko to zaobserwowano już w przypadku pokolenia kobiet urodzonych między 1900 a 1909 rokiem, które osiągnęły dojrzałość i wyszły za mąż w latach dwudziestych XX wieku – w epoce feminizmu, kiedy kobiety wywalczyły sobie prawa wyborcze, kiedy ogromny nacisk kładziono na prawa kobiet, ich niezależność, pracę zawodową i równość z mężczyznami, nie wyłączając praw kobiet do rozkoszy seksualnej. W kolejnych pokoleniach było coraz więcej żon osiągających orgazm i coraz mniej kobiet oziębłych seksualnie, nie wyłączając przedstawicielek najmłodszej generacji

kobiet uczestniczących w badaniach Kinseya, które wyszły za mąż w latach czterdziestych²⁷.

Najbardziej „wyemancypowane” kobiety, mające co najmniej dyplom ukończenia college’u, przygotowujące się do podjęcia pracy zawodowej, wykazywały daleko większą zdolność do osiągnięcia satysfakcji seksualnej, pełnego orgazmu niż pozostałe kobiety. Wbrew temu, co głosiła mistyka kobiecości, z danych z raportu Kinseya wynikało, że im bardziej wykształcona kobieta, tym bardziej prawdopodobne, że częściej będzie jej dane osiągnąć pełen orgazm, i tym mniejsze ryzyko, że będzie oziębła seksualnie. Okazało się, że w porównaniu z kobietami, które swoją edukację zakończyły na szkole podstawowej lub średniej, absolwentki college’u czerpały większą satysfakcję ze swojego życia seksualnego w pierwszym roku po ślubie,

²⁷ Alfred C. Kinsey i in., *Sexual Behaviour in the Human Female*, dz. cyt., s. 356 I nast., tabela 97, s. 397; tabela 104, s. 403.

Dekada przyścia na świat a odsetek stosunków małżeńskich zakończonych orgazmem

W pierwszym roku małżeństwa, % kobiet				
Dekada przyścia na świat				
% stosunków małżeńskich zakończonych orgazmem	Przed 1900	1900-1909	1910-1919	1920-1929
0	33	27	23	22
1-29	9	13	12	8
30-59	10	22	15	12
60-89	11	11	12	15
90-100	37	37	38	43
Liczba przypadków	331	589	834	484
W piątym roku małżeństwa, % kobiet				
Dekada przyścia na świat				
% stosunków małżeńskich zakończonych orgazmem	Przed 1900	1900-1909	1910-1919	1920-1929
0	23	17	12	12
1-29	14	15	13	14
30-59	14	13	16	19
60-89	12	13	17	19
90-100	37	42	42	36
Liczba przypadków	302	489	528	130

a także później, po pięciu, dziesięciu i piętnastu latach małżeństwa, zaś kobiety, które poszły na studia magisterskie, potrafiły czerpać jeszcze większą przyjemność z seksu. Jakkolwiek Kinsey ustalił, że tylko co dziesiąta Amerykanka nigdy nie przeżyła orgazmu, to jednak większość kobiet, z którymi przeprowadził wywiady, nie osiągnęła pełnego orgazmu lub też nie zawsze go osiągała – wyjątkiem były kobiety z wyższym wykształceniem. Z danych zebranych przez Kinseya wynikało również, że kobiety, które wyszły za mąż przed ukończeniem 20. roku życia, mogły w ogóle nie osiągnąć orgazmu lub mogły go osiągać rzadziej czy to w małżeństwie, czy w związkach pozamałżeńskich, mimo iż współżycie płciowe rozpoczęły pięć, sześć lat wcześniej niż absolwentki college’u czy studiów magisterskich.

O ile z danych zgromadzonych przez Kinseya wynikało, że z biegiem lat „zdecydowanie więcej lepiej wykształconych kobiet – w porównaniu z absolwentkami szkół podstawowych i średnich – rzeczywiście coraz częściej osiągało orgazm podczas aktu seksualnego z małżonkiem, o tyle coraz większe zadowolenie z życia seksualnego nie wiązało się na ogół dla kobiet z większą częstotliwością pożycia seksualnego. W zasadzie można było zauważyć przeciwną tendencję. Wzrost liczby stosunków pozamałżeńskich w mniejszym stopniu dotyczył kobiet z wyższym wykształceniem²⁸.

Być może w tej rzekomo „niekobiecej” sile, samorealizacji będącej udziałem kobiet, które zdobyły wykształcenie, by podjąć pracę zawodową, tkwi coś, co pozwalało im czerpać większą – mierzoną osiąganym orgazmem – satysfakcję seksualną w małżeństwie niż pozostałym kobietom, w związku z czym było mniej prawdopodobne, że będą szukały zaspokojenia seksualnego w związkach pozamałżeńskich. A może po prostu miały mniejszą potrzebę dążenia do osiągnięcia statusu, sukcesów czy tożsamości poprzez seks? W przypadku kobiety związek pomiędzy zaspokojeniem seksualnym a samorealizacją, na jaki wskazywały wyniki badań Kinseya, zostaje dodatkowo uwypuklony dzięki temu, że – jak zauważyło wielu krytyków – w próbie badawczej Kinseya zdecydowanie przeważały profesjonalistki, absolwentki college’u, kobiety przejawiające niezwykle silną skłonność do „dominacji” lub o niezwykle silnym własnym „Ja”. W grupie kobiet uczestniczących w badaniach Kinseya niedoreprezentowane były „typowe” amerykańskie panie domu, które swoje życie poświęciły mężowi, dzieciom i sprawom domu; niedoreprezentowane były również kobie-

²⁸ Tamże, s. 355.

ty niewykształcone; a ponieważ w badaniach udział brały ochotniczki, to niedoreprezentowane były także kobiety pasywne, uległe, konformistyczne, które – jak wynikało z ustaleń Maslowa – były niezdolne do osiągnięcia zadowolenia seksualnego²⁹. Stwierdzony przez Kinseya wzrost liczby przypadków zaspokojenia seksualnego i coraz rzadsze przypadki oziębłości seksualnej w okresie po wyemancypowaniu się kobiet być może w mniejszym stopniu dotyczyły „przeciętnej” amerykańskiej pani domu, były natomiast udziałem mniejszej grupy kobiet, które bezpośrednio doświadczyły dobrodziejstw emancypacji dzięki wykształceniu i pracy zawodowej. Tym niemniej spadek liczby przypadków oziębłości seksualnej w tej dużej, acz niedoreprezentowanej próbie badawczej obejmującej prawie 6 tysięcy kobiet był na tyle spektakularny, że nawet krytycy Kinseya uznali, iż jest to istotne zjawisko.

Nieprzypadkowo bowiem chyba liczba kobiet osiągających satysfakcję seksualną wzrosła w czasach, gdy kobiety dążyły do równego uczestnictwa w życiu społecznym w Ameryce, domagając się równych praw, prawa do edukacji, pracy i podejmowania decyzji. Jednoczesna seksualna emancypacja amerykańskich mężczyzn – uchylenie zasłony milczenia wokół pogardy i upokorzenia doznawanych podczas stosunku seksualnego – z pewnością wiązała się z tym, że zaczęli oni inaczej traktować kobiety, jako istoty równe sobie, a nie tylko jako obiekt seksualny. Widocznie im bardziej kobiety się emancypowały, tym bardziej seks stawał się dla mężczyzn stosunkiem między dwojgiem ludzi, a nie przedmiotem wulgarnych żartów, i tym bardziej kobiety potrafiły kochać mężczyzn, zamiast po prostu biernie, ze wstrętem ulegać ich seksualnej żądzy. W istocie sama mistyka kobiecości – uznająca kobietę za podmiot, nie zaś wyłącznie za obiekt aktu seksualnego, opierająca się na założeniu, że aktywny, dobrowolny udział kobiety jest warunkiem przyjemności osiąganego przez mężczyznę – nie zrodziłaby się, gdyby nie emancypacja kobiet i ich dążenie do równości. Jak przewidywały pierwsze feministki, prawa kobiet naprawdę sprzyjały większemu seksualnemu zaspokojeniu osiąganemu i przez kobiety, i przez mężczyzn.

²⁹ Zob. Judson T. Landis, *The Women Kinsey Studied*, George Simpson, *Nonsense about Women* oraz Abraham H. Maslow, James M. Sakoda, *Volunteer Error in the Kinsey Study*, [w:] *Sexual Behaviour in American Society*, dz. cyt.

Inne badania również wykazały, że wykształcenie i niezależność pozytywnie wpłynęły na zdolność Amerek do czerpania przyjemności w relacjach seksualnych z mężczyznami, a tym samym do pełniejszego afirmowania swojej seksualnej kobiecej natury. W raportach z badań, które zostały przeprowadzone przed badaniami Kinseya i w późniejszych latach, wielokrotnie wskazywano na to, że w grupie absolwentek college'u jest znacznie niższy od krajowej średniej współczynnik rozwodów. Precyzując, problem rozwodów był przedmiotem przeprowadzonych na dużą skalę, głośnych badań socjologicznych autorstwa Ernesta W. Burgessa i Leonarda S. Cottrella, z których wynikało, że szanse kobiet na małżeńskie szczęście zwiększają się wraz z ich lepszym przygotowaniem zawodowym – okazało się, że nauczycielki, dyplomowane pielęgniarki, lekarki i prawniczki są mniej nieszczęśliwe w małżeństwie niż pozostałe grupy kobiet. Kobiety z wymienionych grup miały większe szanse na małżeńskie szczęście niż kobiety pracujące jako wykwalifikowane sekretarki, które z kolei żyły w szczęśliwszych związkach małżeńskich niż kobiety, które nie pracowały przed zamążpójściem lub w ogóle nie miały zawodowych ambicji albo które wykonywały pracę nieodpowiadającą ich aspiracjom bądź ich jedynym doświadczeniem zawodowym była praca w domu lub praca niewymagająca żadnych kwalifikacji. W istocie im wyższe były dochody kobiety zamężnej, tym miała ona większe szanse na małżeńskie szczęście. Jak stwierdzili socjologowie:

„Najwidoczniej w przypadku mężatek cechy świadczące o sukcesie w świecie biznesu, który się mierzy wysokością miesięcznego dochodu, są jednocześnie warunkiem udanego małżeństwa. W tym miejscu należałoby, oczywiście, zauważyć, że dochód jest pośrednim miernikiem poziomu wykształcenia, bowiem poziom wykształcenia wpływa na wysokość dochodu”³⁰.

Spośród 526 par niecałe 10% wykazało się „niskim” poziomem przystosowania się do życia małżeńskiego – w małżeństwach tych żona pracowała zawodowo od co najmniej siedmiu lat, była absolwentką college'u lub zdobyła wykształcenie przygotowujące ją do wykonywania określonego zawodu i nie wyszła za mąż przed ukończeniem 22. roku życia. W małżeństwach, w których żona miała co najmniej dyplom ukończenia college'u, niecałe 5% par małżeńskich uzyskało „niskie” notowania w zakresie

³⁰ Ernest W. Burgess, Leonard S. Cottrell Jr., *Predicting Success or Failure in Marriage*, New York 1939, s. 271.

poziomu szczęścia. Poniższa tabela pokazuje zależność między szczęściem małżeńskim a osiągnięciami edukacyjnymi mężatek.

Poziom przystosowania się do małżeństwa w zależności od różnego poziomu wykształcenia

Poziom wykształcenia żony	Poziom przystosowania się do małżeństwa			
	Bardzo niski	Niski	Wysoki	Bardzo wysoki
Studia magisterskie	0,0	4,6	38,7	56,5
College	9,2	18,9	22,9	48,9
Szkoła średnia	14,4	16,3	32,2	37,1
Szkoła podstawowa	33,3	25,9	25,9	14,8

Z powyższych danych można było wyciągnąć wniosek, że kobiety, które przez mistykę kobiecości zostały zachęcane do zamążpójścia przed 20. rokiem życia, do rezygnacji – w imię kobiecości – z wyższego wykształcenia, z pracy zawodowej, do wyrzeczenia się niezależności i równości z mężczyznami, będą miały stosunkowo nikłe szanse na szczęście małżeńskie, satysfakcjonujące życie seksualne czy nawet osiągnięcie orgazmu. I rzeczywiście, jeśli chodzi o najmłodszą grupę mężatek uczestniczących w badaniach Kinseya – pokolenie kobiet urodzonych w latach 1920–1929, które bezpośrednio zetknęły się z mistyką kobiecości w latach czterdziestych, kiedy rozpoczął się pospieszny odwrót do domu – okazało się, że w piątym roku małżeństwa nastąpiło gwałtowne odwrócenie tej tendencji: pożycie małżeńskie stawalo się coraz bardziej satysfakcjonujące pod względem seksualnym i utrzymywało się to we wszystkich dziesięcioleciach od czasów emancypacji kobiet w latach dwudziestych.

„Odsetek kobiet osiągających orgazm przez cały lub prawie cały czas trwania ich małżeńskiego pożycia seksualnego wzrósł w piątym roku małżeństwa z 37% w pokoleniu kobiet urodzonych przed 1900 rokiem do 42% w pokoleniu kobiet urodzonych w następnym dwudziestoleciu. Kobiety z najmłodszej grupy, których piąty rok małżeństwa przypadał na lata dwudzieste, przeżywały pełen orgazm jeszcze rzadziej (36%), niż miało to miejsce w przypadku kobiet urodzonych przed 1900 rokiem”³¹.

³¹ Alfred C. Kinsey i in., *Sexual Behaviour in the Human Female*, dz. cyt., s. 403.

Gdyby ponownie przeprowadzić badania Kinseya, to czy okazałoby się, że młode mężatki będące produktem mistyki kobiecości jeszcze rzadziej osiągają satysfakcję seksualną niż ich bardziej wyemancypowane, bardziej niezależne, lepiej wykształcone, dojrzałe w momencie zamążpójścia poprzedniczki? Chociaż większość kobiet biorących udział w badaniach Kinseya była mężatkami, to tylko 14% wyszło za mąż przed 20. rokiem życia, natomiast większość – 53% kobiet – zawarła związek małżeński przed ukończeniem 25 lat. Jest to dość wyraźna różnica w porównaniu z Ameryką lat sześćdziesiątych, kiedy połowa kobiet wychodzi za mąż, mając lat naście.

Niedawno Helene Deutsch, znamienita psychoanalityczka, która posuwała się znacznie dalej niż Freud, utożsamiając kobiecość z masochistyczną pasywnością i ostrzegając kobiety, iż „aktywność ukierunkowana na świat zewnętrzny” oraz „maskulinizujący” intelektualizm mogą być przeszkodą w osiągnięciu przez kobietę pełnego orgazmu, wywołała poruszenie na psychoanalitycznej konferencji, wysuwając sugestię, iż być może zbyt dużą wagę przywiązuje się do kobiecego „orgazmu”. W latach sześćdziesiątych nieoczekiwanie zmieniła zdanie: nie miała już pewności, czy kobiety rzeczywiście muszą osiągać prawdziwy orgazm, czy w ogóle są do tego zdolne. Być może mogły liczyć jedynie na „rozproszoną” przyjemność. Wśród swoich pacjentek miała przecież dawniej psychotyczki, które przeżywały orgazm, jednak większość kobiet, które dziś są jej pacjentkami, chyba w ogóle nie osiąga orgazmu.

Cóż to mogło znaczyć? Czy w takim razie kobiety mogłyby w ogóle nie przeżywać orgazmu? A może coś się wydarzyło w okresie, kiedy tak dużą wagę zaczęto przywiązywać do satysfakcji seksualnej, co uniemożliwia kobietom osiągnięcie orgazmu? Nie wszyscy eksperci zgodzili się z tym poglądem. Jednak w innym kontekście, który nie dotyczył kobiet, psychoanaliticy stwierdzali, że osoby pasywne, które „mają poczucie psychicznej pustki” – którym nie udaje się „rozwinąć odpowiedniego ego”, mające „niskie poczucie własnej tożsamości” – nie potrafią przeżywać orgazmu z lęku, że mogłyby się w tych doznaniach całkowicie zatracić, że mogłyby przestać istnieć³². Wiele kobiet, które uległy Freudowskiej wizji „kobiecości” rozta-

³² Sylvan Keiser, *Body Ego During Orgasm*, [w:] „The Psychoanalytic Quarterly”, 1952, t. XXI, s. 153–166: „Jednostki należące do tej grupy charakteryzują się niemożnością rozwinięcia odpowiedniego ego. (...) W podszytym niepokojem przywiązaniu do własnego ciała i troskliwej dbałości o nie kryje się odczuwane w głębi ducha uczucie pustki

czanej przez popularyzatorów jego teorii i rzuciły się w pogoń za przygodami seksualnymi, w rezultacie wyrzekło się wszystkiego w zamian za miraż orgazmu, który miał być spełnieniem wszelkich marzeń. Delikatnie mówiąc, sporą część swojej emocjonalnej energii i potrzeb skierowały na sam akt seksualny. Jak ktoś kiedyś powiedział o pewnej pięknej Amerykance: tak często można ją było oglądać w reklamach, w telewizji, w filmach, że kiedy człowiek spotkał ją osobiście, mocno się rozczarowywał. Nawet bez zagłębiania się w mroczne otchłanie nieświadomości można było przyjąć, że nazbyt wiele oczekiwano od cudownego orgazmu, nie tylko dlatego, że chciano sprawdzić jego przereklamowane właściwości, lecz także dlatego, że seks miał być ekwiwalentem czegoś zupełnie innego – miał zastąpić podwyżkę pensji, dobrą recenzję z premiery, awans na starszego redaktora lub profesora nadzwyczajnego, w zdecydowanie mniejszym stopniu poszukiwano w nim innych przeżyć – „przeżywania siebie”, poczucia tożsamości³³. Jak stwierdził jeden z psychoterapeutów:

„Jak na ironię, jedną z głównych przyczyn tego, że seksualność wielu kobiet nie może w pełni rozkwitnąć, jest to, że są dziś zbyt zdeterminowane, żeby ten stan osiągnąć. Tak bardzo się wstydzą tego, że nie potrafią wznieść

i niedoskonałości. (...) Tacy pacjenci mają niskie poczucie własnej tożsamości i zawsze są gotowi przyswoić sobie osobowość kogoś innego. Właściwie nie mają własnych poglądów, chętnie ulegają opinii innych. (...) To głównie takim pacjentom stosunek płciowy sprawia przyjemność tylko do momentu, gdy mają osiągnąć orgazm. (...) Nie mają odwagi, by pozwolić sobie na swobodne dojście do orgazmu, czemu niechybnie towarzyszyć musi utrata kontroli, utrata świadomości ciała lub śmierć. (...) W przypadkach braku pewności co do struktury i granic obrazu ciała można by powiedzieć, że skóra nie służy jako koperta, która wyraźnie określa przejście między *Ja* a otoczeniem – jedno stopniowo stapia się z drugim; nie ma pewności, że jest się odrębnym bytem obdarzonym siłą, którą się z siebie wydobywa bez szkody dla swojej integralności”.

³³ Lawrence Kubie, *Psychiatric Implications of the Kinsey Report*, [w:] *Sexual Behaviour in American Society*, s. 270 i nast.: „Prosty cel biologiczny przytłacza wiele subtelnych celów, których jednostka sobie zwykle nie uświadamia. Część z nich można osiągnąć, inne nie. W przypadku gdy większość celów jest osiągalna, wówczas zwieńczeniem seksualnej aktywności będzie miłe wspomnienie spokojnego zakończenia i satysfakcji. W sytuacji jednak gdy nieuświadomione cele są nieosiągalne, wówczas niezależnie od tego, czy udało się osiągnąć orgazm, czy też nie, po stosunku utrzymuje się stan niezaspokojonej potrzeby, a czasami także lęk, wściekłość czy przygnębienie”.

się na wyżyny ekspresyjnej zmysłowości, że tragicznie wręcz sabotują własne pragnienia. Mówiąc wprost, zamiast skupić się wyraźnie na rzeczywistym problemie, z którym się borykają, kobiety te koncentrują się na czymś zupełnie innym, a mianowicie: «Ależ ze mnie idiotka i nieudacznica, skoro nie potrafię bez problemu osiągnąć satysfakcji». Współczesne kobiety często mają obsesję na punkcie tego, *jak* im idzie, a nie tego, *co* robią w czasie aktu seksualnego z mężem. To ma fatalne skutki”.

Jeżeli sam seks – jak z kolei stwierdził inny psychoanalityk – zaczyna być w Ameryce „depresyjnym” doświadczeniem, to być może jest to spowodowane tym, że wielu Amerykanów – zwłaszcza gdy mowa o kobietach poszukujących przygód seksualnych – lokuje w swoich poszukiwaniach seksualnych niezaspokojone potrzeby związane z samorealizacją. Amerykanki cierpią po prostu na masową chorobę zdepersonalizowanego seksu. Nikt ich nigdy nie ostrzegł, że seks nie może być substytutem indywidualnej tożsamości, że sam seks nie zapewni kobiecie tożsamości, podobnie jak nie pomoże mężczyźnie jej odnaleźć, że kobieta, która w seksie szuka własnego „Ja”, może w ogóle nie zaznać satysfakcji seksualnej.

Pytanie, w jaki sposób człowiek może najpełniej realizować swój potencjał i tym samym zyskać tożsamość, stało się ważnym problemem zaprzątającym umysły współczesnych filozofów, socjologów i psychologów – i jest po temu powód. Myśliciele innych epok sformułowali teorię, że ludzi w ogromnej mierze definiuje praca, którą wykonują. Wysilek, który człowiek musiał podjąć, żeby zdobyć pożywienie, utrzymać się przy życiu, zaspokoić fizyczne potrzeby swojego otoczenia, narzuciła mu tożsamość. I w tym sensie, skoro pracę postrzega się wyłącznie jako sposób umożliwiający przeżycie, ludzka tożsamość została zdeterminowana przez biologię.

W dzisiejszych czasach problem ludzkiej tożsamości wygląda inaczej, bowiem praca, która dawniej określała status społeczny człowieka i jego poczucie tożsamości, zmieniła jednocześnie jego świat. Praca, rozwój wiedzy zmniejszyły zależność człowieka od środowiska, w którym żyje; biologia człowieka i praca, którą musi wykonać, żeby zapewnić sobie biologiczne przeżycie, nie wystarczają już do określenia swojej tożsamości. Wyraźnie to widać w naszym zamożnym społeczeństwie: ludzie nie muszą już pracować cały dzień po to, żeby jeść. Cieszą się bezprecedensową wolnością wyboru rodzaju pracy, którą będą wykonywać; dysponują również niespotykaną

ilością wolnego czasu, oprócz godzin i dni, które muszą rzeczywiście poświęcić na zapewnienie sobie warunków egzystencji. Człowiek niespodziewanie zaczyna sobie uświadamiać wagę współczesnego kryzysu tożsamości, który dotyka kobiety i w coraz większym stopniu – mężczyzn. Zaczyna dostrzegać, jakie znaczenie ma dla człowieka praca – nie tylko jako środek umożliwiający biologiczne przeżycie, lecz jako fundament własnego „Ja”, jako coś, co pozwala wznieść się ponad własne „Ja”, jako czynnik tworzący ludzką tożsamość i przyczyniający się do ewolucji człowieka.

„Samorealizacja”, „samospelnienie” czy „tożsamość” nie rodzi się stąd, że człowiek przegląda się w lustrze, kontemplując w skupieniu swój obraz. Osoby, które się najpełniej zrealizowały, w takim sensie, który zostanie przez ludzki umysł dostrzeżony, choćby nie zostało to wyraźnie określone, postąpiły tak, realizując jakiś cel ogólniejszej natury, wykraczający poza indywidualny charakter. Myśliciele reprezentujący najróżniejsze dyscypliny naukowe odmiennymi słowami opisywali ów tajemniczy proces, z którego rodzi się poczucie własnego jestestwa. Religijni mistycy, filozofowie, Marks, Freud – wszyscy inaczej definiowali ten proces: człowiek znajduje siebie, tracąc siebie; człowieka określa jego stosunek do środków produkcji; ego, „Ja” rozwija się poprzez rozumienie rzeczywistości i panowanie nad nią – poprzez pracę i miłość.

Wydaje się, że kryzys tożsamości, o którym w ostatnich latach pisali Erik Erikson i inni badacze, dostrzegając, iż jest on udziałem amerykańskiego mężczyzny – przychodzi wtedy, gdy człowiek nie ma pracy, jakiegoś bodźca bądź celu, który wyzwoliłby u niego kreatywność – zaradzić mu można przez znalezienie tychże³⁴. Niektórym ludziom w ogóle nie będzie dane odnaleźć swojej tożsamości, albowiem nie rodzi się ona z monotonnej pracy czy też dlatego, że podbijamy kartę czasu pracy. Nie zrodzi się ona tylko dlatego, że będziemy zarabiać na życie, pracować według przyjętych norm, że jako człowiek zorganizowany znajdziemy dla siebie bezpieczne miejsce. Już argumentacja wysunięta przez Riesmana i innych myślicieli wskazująca, że praca, która sprowadza się wyłącznie do wypłaty cotygodniowych poborów, nie będzie dla człowieka źródłem tożsamości, opiera

³⁴ Erik H. Erikson, *Dzieciństwo i społeczeństwo*, dz. cyt., s. 239–283, 367–380. Zob. także: Erich Fromm, *Ucieczka od wolności*, dz. cyt. oraz *Niech się stanie człowiek: z psychologii etyki*, tłum. Robert Saciuk, PWN, Warszawa 2005; David Riesman, *Samotny tłum*, dz. cyt.

się na założeniu, że tożsamość rodzi się dzięki twórczej, autonomicznej pracy, którą człowiek wykonuje na rzecz ludzkiej wspólnoty: „Ja” staje się świadomym bytem, urzeczywistnia się i rozwija dzięki pracy, która jest motorem postępu ludzkości.

Praca, od dawna będąca chlebem powszednim dla ekonomistów, stała się nowym obszarem w psychologii. Psychiatrzy już dawniej stosowali „terapię zajęciową” wobec pacjentów w szpitalach psychiatrycznych; niedawno odkryli natomiast, że zyska ona rzeczywistą wartość psychologiczną, jeśli nie będzie to tylko „terapia”, lecz prawdziwa praca, służąca jakiemuś rzeczywistemu celowi do zrealizowania w społeczeństwie. Pracę można dziś uznać za klucz do rozwiązania owego problemu, który nie ma nazwy. Kryzys tożsamości, jaki dziś dotyka kobiety w Ameryce, zaczął się w ubiegłym stuleciu, z chwilą gdy coraz więcej i więcej pracy istotnej dla świata, pracy, w której mogły spożytkować swoje ludzkie zdolności i dzięki której mogły się realizować, zostało im odebrane.

Do ubiegłego wieku, a nawet jeszcze w XIX stuleciu silne, samodzielne kobiety były potrzebne, aby zdobywać nowe ziemie – u boku mężów zarządzały farmami, plantacjami i gospodarstwami osadników na zachodnich rubieżach. Kobiety te cieszyły się powszechnym szacunkiem, miały poczucie własnej wartości, a swoją osadniczą aktywność koncentrowały na domu. Siła i niezależność, odpowiedzialność i wiara we własne siły, samodyscyplina i odwaga, wolność i równość były elementami amerykańskiego charakteru niezależnie od płci, cechowały pierwsze pokolenia osadników. Kobiety, które przyplłynęły do Stanów trzecią klasą na statkach z Irlandii, Włoch, Rosji i Polski, pracowały ramię w ramię u boku mężów w nędznych warunkach w fabrykach i pralniach, uczyły się nowego języka i oszczędzały każdy grosz, aby posłać dzieci na studia do college’u. Kobiety w Ameryce nigdy nie były aż tak „kobiece” ani traktowane tak pogardliwie jak Europejki. Europejskim podróżnikom Amerykanki wydawały się dawniej mniej pasywne, mniej infantylne i nie tak kobiece jak ich francuskie, niemieckie czy angielskie małżonki. Przypadek w dziejach zadecydował o tym, że Amerykanki dłużej dzieliły z mężczyznami trudy pracy dla społeczeństwa i miały takie same możliwości rozwoju. Prawie zawsze regułą była taka sama dla chłopców i dziewcząt edukacja na poziomie podstawowym i średnim, zaś w zachodnich stanach, gdzie kobiety najdłużej dzieliły trudy osadników, nawet uniwersytety były od samego początku koedukacyjne.

Dla kobiet w Ameryce kryzys tożsamości zaczął się dopiero wtedy, kiedy energia, siła i zdolności osadniczek przestały być potrzebne, kiedy przestano wykorzystywać ich potencjał w zamożnych domach klasy średniej położonych na Wschodnim Wybrzeżu i Środkowym Zachodzie, kiedy etap pionierski został zakończony, a mężczyźni zaczęli budować nowe społeczeństwo w przemyśle i zawodach wykonywanych poza domem. Tymczasem córki osadniczek dorosły, ale były zbyt nawykłe do wolności i pracy, by zadowolić się jedynie rozrywkami i pasywną kobiecością³⁵.

³⁵ Alva Myrdal i Viola Klein (w *Women's Two Roles*) zauważają, że dziś liczba Amerykanek pracujących poza domem wydaje się większa, niż jest w rzeczywistości, ponieważ wątpliwe są podstawy, które służą zwykle do porównań: w ubiegłym wieku odsetek Amerykanek pracujących poza domem był zdecydowanie mniejszy niż w krajach europejskich. Innymi słowy, problem kobiecy w Ameryce był prawdopodobnie niezwykle poważny, ponieważ przesunięcie Amerykanek od istotnej pracy i tożsamości w społeczeństwie było zdecydowanie drastyczniejsze – przede wszystkim z powodu niezwykle gwałtownego rozwoju i uprzemysłowienia amerykańskiej gospodarki. Kobiety, które dorastały razem z mężczyznami w czasach osadnictwa, niemal z dnia na dzień zostały wpędzone w stan anomii – który jest bardzo sugestywnym terminem socjologicznym oznaczającym poczucie nieistnienia czy braku tożsamości, na które cierpi ten, kto nie ma realnego miejsca w społeczeństwie – kiedy ważną pracę zaczęto wykonywać poza domem, w którym one zostały. Dla odmiany we Francji, gdzie proces uprzemysłowienia przebiegał wolniej i gdzie gospodarstwa rolne oraz małe rodzinne sklepy nadal odgrywały ważną rolę w gospodarce, wiele kobiet w XIX wieku nadal pracowało – na polu i w sklepie – zaś dziś większość Francuzek nie jest pełnoetatowymi paniami domu w amerykańskim rozumieniu mistyki kobiecości, bowiem ogromna liczba kobiet nadal pracuje na polach, a oprócz tego co trzecia, tak jak w Ameryce, pracuje w przemyśle, handlu, biurach i wykonuje wolny zawód. Rozwój kobiet we Francji w dużo większym stopniu przebiegał równolegle do rozwoju społeczeństwa, ponieważ odsetek Francuzek pracujących zawodowo podwoił się w ciągu pięćdziesięciu lat. Warto odnotować, że we Francji mistyka kobiecości nie jest tak rozpowszechniona jak w Ameryce; we Francji jest uprawniony wizerunek kobiety pracującej zawodowo i kobiety-intelektualistki, Francuzi wydają się wrażliwi na seksualne wdzięki kobiet bez jednoczesnego utożsamiania kobiecości czy to z gloryfikowaną pustką, czy to z kastrującą mamuszką pożerającą mężczyzn. Fakt, że kobiety pracują w przemyśle bądź wykonują wolne zawody, nie osłabił również rodziny – czy to faktycznie, czy na poziomie mistyki. Myrdal i Klein pokazują, że Francuzki pracujące zawodowo nie przestają rodzić dzieci, ale nie mają ich tylu, ile rodzą wykształcone amerykańskie panie domu nowego typu.

To nie Amerykanka, ale kobieta z Republiki Południowej Afryki, pani Olive Schreiner³⁶, ostrzegła u schyłku ubiegłego stulecia, że ilość i jakość funkcji, jakie kobiety pełnią w społecznym uniwersum, maleje w miarę cywilizacyjnego postępu, zwracała uwagę na to, że jeśli kobietom nie zostanie przywrócone prawo do pełnego uczestnictwa w szanowanej i użytecznej pracy, umysł i mięśnie kobiety osłabną, kiedy będzie trwała w pasożytniczym stanie, jej potomstwo – córki i synowie – będą stopniowo tracili siły, zaś sama cywilizacja podupadnie³⁷.

Feministki wyraźnie to dostrzegły: wykształcenie i prawo do wykonywania postępowej pracy na rzecz społeczeństwa były największymi potrzebami kobiet. Walczyły o to, żeby kobiety miały prawo do kształtowania swojej nowej tożsamości, do pełni człowieczeństwa – i udało im się to wywalczyć. Dlaczego jednak nieliczne spośród ich córek i wnuczek zdecydowały się spożytkować twórczo swoje wykształcenie i swoje zdolności w dążeniu do realizacji jakiegoś celu ogólniejszej natury, podejmując się odpowiedzialnej pracy dla dobra społeczeństwa? Ile spośród nich zostało oszukanych, a ile oszukało się samych, chwytając się monsturalnej, infantrylnej kobiecości zaklętej w modelu „zawód: pani domu”?

Błędny wybór, jakiego dokonały, nie był bynajmniej sprawą błahą. Dziś już wiemy, że zarówno kobiety, jak i mężczyźni mają ten sam potencjał i zdolności. Kobiety, tak jak i mężczyźni, mogą znaleźć własną tożsamość tylko poprzez pracę, w której w pełni będą mogły wykorzystać swój potencjał. Kobieta nie odkryje swojej tożsamości, żyjąc życiem innych – swojego męża, dzieci. Nie znajdzie jej w monotonnej rutynie domowych obowiązków. Jak twierdzili myśliciele każdej epoki, tylko wtedy, kiedy człowiek skonfrontuje się uczciwie z tym, że może przegrać życie, stanie się naprawdę świadom siebie i zacznie z powagą traktować własną egzystencję. Ta świadomość rodzi się niekiedy dopiero w chwili śmierci. Czasami rodzi się

³⁶ Olive Schreiner (1862–1920) – południowoafrykańska pisarka, córka niemieckiego misjonarza. W 1883 roku ukazała się pod pseudonimem Ralph Iron jej książka pt. *The Story of an African Farm*, która odniosła niemal natychmiastowy sukces. Ponadto napisała m.in.: *An English South African's View of the Situation* (1899), *Woman and Labour* (1911). Na podstawie: http://en.wikisource.org/wiki/1922_Encyclopædia_Britanica/Schreiner,_Olive (przyp. red.).

³⁷ Sidney Ditzon, *Marriage, Morals and Sex in America, A History of Ideas*, New York 1953, s. 277.

w momencie uświadomienia sobie bardziej subtelnej formy śmierci: śmierci własnego „Ja” pogrążonego w pasywnym konformizmie, w bezsensownej pracy. Mistyka kobiecości zaleca kobietom tę egzystencję żywego trupa. Konfrontując się z powolnym umieraniem własnego „Ja”, Amerykanki muszą wreszcie zacząć poważnie traktować swoje życie.

„Oczywiście oceniamy samych siebie według różnych kryteriów. Nasza siła i nasza inteligencja, nasza zamożność, a nawet szczęście, jakie nam sprzyja, są to rzeczy, które wywołują w nas radość i sprawiają, iż czujemy, że dobrze dajemy sobie radę w życiu. Jednak głębsze niż to wszystko i wystarczające samo w sobie jest poczucie wielkości wysiłku, jaki możemy z siebie dać”³⁸.

Jeżeli kobiety nie zdobędą się w końcu na wysiłek, aby stać tym, kim mogą być, mając po temu odpowiednie predyspozycje, utracą swoje człowieczeństwo. Współczesna kobieta, która nie ma żadnego celu w życiu, żadnych dążeń, ambicji, które by zorganizowały jej dni, podporządkowując je przyszłym planom, dzięki którym jej wysiłek i rozwój nie ograniczałby się wyłącznie do tych krótkich dwudziestu lat, kiedy jej ciało może wypełnić biologiczną funkcję, popełnia w pewnym sensie samobójstwo. Albowiem musi przeżyć następnych pięćdziesiąt lat, kiedy minie okres prokreacji – i jest to fakt, któremu Amerykanki nie mogą zaprzeczyć. Nie może również zaprzeczyć temu, że jako pani domu jedynie biernie obserwuje, jak świat za progiem jej domu naprawdę szybko się zmienia. Odczuwa prawdziwy strach, skoro nie ma dla niej miejsca w tym świecie.

Mistycy kobiecości udało się pogrzebać żywcem miliony Amerykanek. Nie ma innego sposobu, by kobiety te wydostały się ze swoich wygodnych obozów koncentracyjnych, jak tylko zdobyć się wreszcie na wysiłek – ludzki wysiłek nieograniczający się do biologicznych funkcji, do czterech ścian domu – po to, żeby podjąć trud kształtowania przyszłości. Tylko podejmując osobiste zobowiązania wobec przyszłości, Amerykanki będą w stanie uwolnić się z pułapki, jaką jest dla nich rola pani domu, i znaleźć prawdziwe spełnienie w roli żony i matki, realizując swój unikatowy potencjał jako samodzielne istoty ludzkie.

³⁸ William James, *Psychologia: kurs skrócony*, tłum. Michał Zagrodzki, PWN, Warszawa 2002, s. 435.

Rozdział 14

Nowy życiowy plan dla kobiet

„Łatwo powiedzieć – zauważa kobieta uwięziona w pułapce roli pani domu – ale jak mam temu podołać, sama w domu, z wrzeszczącymi dziećmi, z praniem, które trzeba posortować, nie mając na podorędziu żadnej babci, która mogłaby się zająć dziećmi?”. Łatwiej żyć życiem innych, niż w pełni stać się sobą. Wolność pozwalająca planować własne życie i potem żyć zgodnie z własnym planem jest przerażająca, jeżeli człowiek wcześniej się z tym nie zmierzył. Jest przerażająca wtedy, kiedy kobieta uświadomi sobie w końcu, że odpowiedzi na pytanie: „Kim jestem?” udzielić może tylko ona sama. Może całe lata spędzić na kozetce u psychoanalityka, przepracowując swoje „przystosowanie się do kobiecej roli”, wewnętrzne zahamowania, które uniemożliwiają jej „spełnienie się w roli żony i matki”, a mimo to ów wewnętrzny głos będzie szeptał: „To nie to”. W tej sytuacji nawet najlepszy psychoanalitik może jedynie dodać jej odwagi, by mogła wsłuchać się w ów wewnętrzny głos. Skoro społeczeństwo tak mało wymaga od kobiet, to każda kobieta musi się wsłuchać w swój wewnętrzny głos, żeby odkryć swoją tożsamość w zmieniającym się świecie. Musi stworzyć, kierując się swoimi potrzebami i zdolnościami, nowy plan na życie, w którym znajdzie się miejsce i na miłość, i na dzieci, i na dom – dawniej definiujące kobiecość – i zdoła to wszystko pogodzić z pracą na rzecz realizacji celów ogólniejszej natury kształtującej przyszłość.

Skonfrontowanie się z tym problemem nie oznacza bynajmniej, że zostanie on rozwiązany. Jednak gdy kobieta zmierzy się z nim, tak jak to ma teraz miejsce w całej Ameryce, gdzie kobiety bez większej pomocy ze strony ekspertów stawiają mu czoła, gdy postawi sobie pytanie: „Co chcę robić?”, wtedy zaczną znajdować swoje własne odpowiedzi. Gdy dostrzeże iluzje, jakie roztacza przed nią mistyka kobiecości, i uświadomi sobie, że ani mąż,

Być może obserwacja, że przy kręgielniach i supermarketach są kąci dla dzieci, podczas gdy w szkołach, college'ach, laboratoriach naukowych i urzędach państwowych nie ma żłobków ani przedszkoli, nie ma tu nic do rzeczy. Jednak już jak najbardziej na miejscu jest stwierdzenie, że jeśli utalentowana Amerykanka nie wykorzysta swojej energii i zdolności do osiągnięcia jakichś istotnych celów (co siłą rzeczy oznacza rywalizację, albowiem jest ona wpisana w realizację wszystkich ważnych celów w naszym społeczeństwie), wówczas roztrwoni swoją energię na neurotyczne objawy, bezproduktywne czynności czy destrukcyjną „miłość”.

Należy wreszcie skończyć z gołosłownymi deklaracjami, że kobiety w Ameryce odniosły zwycięstwo we wszystkich dziedzinach, że nie ma sensu walczyć o prawa kobiet, ponieważ wszystko zostało już wywalczone. To śmieszne kazać dziewczętom siedzieć cicho, kiedy wkraczają czy to w jakąś nową, czy starą dziedzinę, tak żeby mężczyźni nie zauważyli ich obecności. Niemal w każdej dziedzinie zawodowej, w biznesie, humanistyce, w naukach ścisłych kobiety są nadal traktowane jak obywatelki drugiej kategorii. Dziewczeta, które chcą pracować na rzecz społeczeństwa, należałoby uprzedzić, że powinny się spodziewać owej subtelnej, przykrej dyskryminacji – odda im się ogromną przysługę, jeśli przekona się je do tego, aby nie siedziały cicho w nadziei, że wkrótce to nieprzyjemne traktowanie się skończy, lecz walczyły z tym. Dziewczyna nie powinna się spodziewać specjalnych przywilejów z racji swojej płci, nie powinna też „przystosowywać się” do uprzedzeń i dyskryminacji.

Musi się zatem nauczyć rywalizować – ale nie jako kobieta, lecz jako człowiek. Dopiero wtedy, kiedy kobiety masowo zaczną się przesuwac z peryferii do głównego nurtu, dopiero wtedy społeczeństwo zapewni odpowiednią organizację i środki pozwalające realizować ich nowy plan na życie. Każda dziewczyna, która podoła temu zadaniu, studiując prawo czy medycynę, kończąc studia magisterskie czy robiąc doktorat, i która zamierza w życiu zrobić użytek ze studiów, pomoże innym pójść tą samą drogą. Każda kobieta, która walczy z istniejącymi barierami ukrytymi w mistyce kobiecości, żeby osiągnąć pełną równość, ułatwia zadanie następnej kobiecie. Już samo istnienie Prezydenckiej Komisji ds. Statusu Kobiet¹⁶ powoła-

Magazine”, 1 kwietnia 1962 – artykuł opisuje, jak przy torach wyścigowych rozwijają się usługi opiekuńcze dla dzieci i „kliniki” dla gospodyń domowych z przedmieść.

¹⁶ Następczynią Prezydenckiej Komisji ds. Statusu Kobiet była założona w 1966 roku

nej za czasów Eleanor Roosevelt tworzy klimat, który umożliwia dostrzeżenie dyskryminacji kobiet i podjęcie działań jej przeciwdziałających, i to nie tylko, jeśli chodzi o kwestie wynagrodzeń, ale także subtelne bariery blokujące równość szans. Nawet w polityce kobiety muszą wnieść swój wkład nie jako „panie domu”, lecz jako obywatelki. Być może krokiem we właściwym kierunku będzie protest kobiet przeciwko próbom nuklearnym zorganizowany pod hasłem „Kobiety strajkują dla pokoju!”. Dlaczego jednak rysownicza, która stoi na czele ruchu, mówi, że jest „zwykłą panią domu”, zaś jej zwolenniczki twierdzą, że z chwilą gdy próby zostaną przerwane, zostaną szczęśliwe w domu z dziećmi? Nawet w miejskich bastionach dużych partii politycznych kobiety mogą zmienić (i już zaczynają to robić) podstępne, niepisane zasady, w myśl których wolno im się po domowemu krzątać w polityce, podczas gdy wszystkie decyzje polityczne podejmują mężczyźni¹⁷.

Kiedy wystarczająco wiele kobiet zacznie formułować swoje życiowe plany nastawione na realizację swoich prawdziwych zdolności, kiedy zaczną domagać się urlopów macierzyńskich, a nawet macierzyńskich urlopów naukowych, profesjonalnie prowadzonych żłobków i przedszkoli oraz innych koniecznych zmian w obowiązujących zasadach, nie będą musiały wreszcie poświęcać prawa do honorowej rywalizacji i prawa do własnego udziału ani rezygnować z małżeństwa i macierzyństwa. To źle, że nie wyjaśnia się istoty niepotrzebnych wyborów, wskutek których kobiety nieświadomie bronią się albo przed podejmowaniem zobowiązań, albo przed

National Organization for Women – NOW – największa amerykańska organizacja feministyczna. Wśród założycielek była też Betty Friedan, zob. *Epilog* w niniejszym tomie (przyp. red.).

¹⁷ Zob. uwagi stanowej parlamentarzystki Dorothy Bell Lawrence z Partii Republikańskiej z Manhattanu opublikowane w „New York Times” 8 maja 1962 roku. Pierwsza kobieta, która została wybrana na stanowisko szefowej oddziału Partii Republikańskiej w Nowym Jorku, mówi: „Wykonywałam całą pracę, więc powiedziałam szefowi oddziału w hrabstwie, że chcę być przewodniczącą. Stwierdził, że to sprzeczne z zasadami, żeby kobieta piastowała stanowisko, ale potem zmienił te reguły”. W „reformatorskim” ruchu demokratów kobiety również zaczynają obejmować stanowiska kierownicze wspólnie do pracy, jaką wykonały, zaczyna się powoli likwidować dawne „żeńskie oddziały pomocnicze” i „żeńskie komitety”.

macierzyństwem¹⁸ i które hamują proces uświadomienia sobie, że istnieje konieczność przeprowadzenia zmian społecznych. Nie chodzi o to, żeby kobieta zjadła ciastko i miała ciastko. Kobieta jest upośledzona z racji własnej płci i sama hamuje rozwój społeczeństwa dlatego, że niewolniczo naśladuje model kariery zawodowej mężczyzny i sposób jego postępowania, lub dlatego, że w ogóle nie chce rywalizować z mężczyzną. Gdyby jednak miała własny plan na życie, wówczas z taką samą powagą mogłaby wypełniać zobowiązania zawodowe, działać w polityce, podołać obowiązkom małżeńskim i macierzyńskim.

Kobiety, które w ten sposób postąpiły – wbrew złowieszczyim przestrogom mistyki kobiecości – są w pewnym sensie w fazie „przepoczwarzania się”, wyobrażenia sobie, kim mogłyby być kobiety w Ameryce. Kiedy nie pracowały zawodowo lub nie mogły pracować zarobkowo na pełen etat, pracowały w niepełnym wymiarze godzin i robiły to, co je naprawdę interesowało. Ponieważ czas się liczył, często nie marnowały go na detale pracy domowej czy zawodowej, niewymagające ich osobistego zaangażowania.

Czy były tego świadome, czy nie, kobiety realizowały swój plan na życie. Dzieci urodziły przed stażem lub tuż po nim, między jednym stypendium a drugim. Jeżeli w czasie gdy dzieci były małe, nie miały dobrej, pełnoetatowej opiekunki, wówczas rezygnowały z posady i podejmowały pracę w niepełnym wymiarze godzin, która mimo że nie była sownie wynagradzana, pozwalała jednak nie wypaść z zawodu. Nauczycielki wprowadzały innowacje w funkcjonowaniu komitetów rodzicielskich lub podejmowały pracę na zastępstwo; lekarki podejmowały pracę w klinikach czy laboratoriach bliżej domu; redaktorki i autorki zaczynały pracować na zlecenia. Nawet jeśli pieniądze, które kobiety zarabiał, nie były potrzebne na opłacenie zakupów czy pomocy domowej (choć zwykle tak właśnie było), w namacalny sposób udowadniały, że potrafią dołożyć się do domowego budżetu. Nie uważały, iż to „szczęście” być panią domu, rywalizowały w społeczeństwie. Wiedziały, że małżeństwo i macierzyństwo są istotnym elementem egzystencji, lecz nie są całym życiem.

¹⁸ Wśród wielu moich rozmówczyń, które – idąc za radą mistyki kobiecości – całkowicie wyrzekły się własnych ambicji, żeby zostać żoną i matką, zauważyłam powtarzającą się historię poronień. W kilku przypadkach dopiero kiedy kobieta wróciła do pracy lub na studia, była w stanie donosić ciążę i urodzić upragnione drugie czy trzecie dziecko.

Te kobiety „w fazie przepoczwarzania się” cierpiały z powodu „braku kulturowej ciągłości w przyswajaniu sobie roli”, „kryzysu związanego z rolą społeczną” i kryzysu tożsamości, ale pokonały wszystkie trudności. Oczywiście, miały poważne problemy – z kolejnymi ciążami, ze znalezieniem opiekunek do dzieci i gosposi, musiały zrezygnować z dobrej pracy, kiedy męża przenoszono służbowo do innego miasta. Musiały jednocześnie radzić sobie z wrogością ze strony innych kobiet, wiele z nich musiało także znosić niezadowolenie małżonka, który nie omieszkał dać temu wyraz. Zaś z powodu mistyki kobiecości wiele kobiet niepotrzebnie cierpiało, miały bowiem poczucie winy. Musiały mieć w życiu niezwykle ważny cel, żeby realizować swój życiowy plan w sytuacji, gdy społeczeństwo bynajmniej wcale tego od nich nie oczekiwało. Jednak w odróżnieniu od pań domu uwięzionych w pułapce udomowienia, których problemy z latami się nawarstwiały, te kobiety rozwiązywały swoje problemy i szły do przodu. Stawiły opór perswazjom i manipulacjom, którym były powszechnie poddawane, i nie zrezygnowały z własnych, często okupionych cierpieniem wartości dla wygod związanych z przystosowaniem się. Nie uciekały w prywatność, lecz stawiały czoło wyzwaniom prawdziwego świata. Teraz z pewnością już wiedzą, kim są.

Być może nawet nie zdając sobie z tego sprawy, postępowały tak, jak dziś wszyscy mężczyźni i kobiety muszą postępować, żeby dotrzymać kroku coraz szybszemu tempu zmieniającego się świata i odkryć – lub też zachować – swoją indywidualną tożsamość w społeczeństwie kultury masowej. Kryzysu tożsamości, jaki jest udziałem kobiet i mężczyzn, nie uda się przezwyciężyć w ciągu jednego pokolenia; w naszym gwałtownie zmieniającym się społeczeństwie nieustannie musimy się z nim mierzyć, z raz pokonanym będziemy musieli się ponownie skonfrontować w ciągu życia. Życiowy plan musi być otwarty na zmiany, ponieważ tak w społeczeństwie, jak i przed jednostką otwierają się nowe możliwości. Dziś w Ameryce żadna kobieta, która właśnie zaczyna poszukiwania swojej tożsamości, nie ma pewności, dokąd ją te peregrynacje mogą zaprowadzić. Żadna kobieta nie rozpoczyna dziś tych poszukiwań bez walki, wewnętrznych zmagania, konfliktów, nie mając dość odwagi, by podjąć ten wysiłek. Kobiety, które spotkałam, które podążały tą nieznaną drogą, nie żałowały cierpień, wysiłku ani ryzyka, jakie musiały podjąć.

W świetle wieloletniej walki kobiet o emancypację seksualną kontrrewolucja, jakiej jesteśmy dziś świadkami w Ameryce, jest być może ostatnim

kryzysem, osobliwą przerwą, wstrzymaniem oddechu, zanim larwa wydobędzie się ze swej skorupy i osiągnie dojrzałość – to okres moratorium, w czasie którego miliony kobiet zamarły i przestały się rozwijać. Podobno pewnego dnia nauka będzie w stanie przedłużyć życie człowieka wskutek hibernacji. Amerykanki żyją ostatnio znacznie dłużej niż mężczyźni – przez resztę życia wędrują niczym żywe trupy. Być może mężczyźni mogliby żyć dłużej w Ameryce, gdyby kobiety odciążyły ich w zmaganiach ze światem, gdyby same przestały być ciężarem. Sądzę, że ich zmarnowana energia będzie mieć destruktywny wpływ na mężów, dzieci, ale także będzie dla nich samych destrukcyjna, o ile nie zostanie spożytkowana na zmagania ze światem. Kiedy zarówno kobiety, jak i mężczyźni przekroczą poziom swej biologicznej egzystencji, żeby realizować swoje człowieczeństwo, wówczas ta reszta życia, która im pozostała, może się dla nich stać okresem największego spełnienia¹⁹.

¹⁹ Spodziewana długość życia Amerykanek – 75 lat – należy do najdłuższych na świecie. Jak jednak zauważają Myrdal i Klein w *Women's Two Role*, coraz powszechniej przyjmuje się, że u ludzi wiek chronologiczny różni się od wieku biologicznego: „w chronologicznym wieku 70 lat rozbieżności w wieku biologicznym mogą być na tyle duże, że obejmują one przedział wiekowy 50–90 lat”. Z nowych badań nad starzeniem się ludzi wynika, że osoby najlepiej wykształcone, które wiodą najbardziej złożone i aktywne życie, przejawiające głębokie zainteresowanie różnymi sprawami i gotowe na nowe doświadczenia i naukę, nie „starzeją się” w takim sensie jak inni ludzie. Szczegółowa analiza 300 życiorysów (zob. Charlotte Buhler, *The Curve of Life as Studied in Biographies*, [w:] „Journal of Applied Psychology”, XIX, sierpień 1935, s. 405 i nast.) pokazuje, że w drugiej połowie życia produktywność jednostki jest niezależna od biologicznego wyposażenia, w rzeczywistości zaś jest często lepsza niż biologiczna wydajność – to znaczy, o ile jednostka wzniosła się ponad poziom biologicznej egzystencji. W sytuacji gdy „czynniki duchowe” dominują nad aktywnością, największą produktywność jednostka przejawia w drugiej połowie życia, natomiast w przypadku gdy w życiu człowieka decydującą rolę odegrały „fizyczne fakty”, szczytowa faza produktywności przypada na lata wcześniejsze, zaś krzywa psychologiczna jest bardziej zbieżna z biologiczną. Z przywołanych wcześniej badań przeprowadzonych wśród wykształconych kobiet wynika, że znacznie mniej cierpiały one w okresie menopauzy w porównaniu z tym, co się dziś uważa za „normalne” w Ameryce. Większość kobiet, których horyzonty nie ograniczały się do fizycznej krzątania w domu i ich biologicznej roli, nie czuła się staro w wieku lat 50 i 60. Wiele z nich stwierdzało ze zdziwieniem, że w okresie menopauzy odczuwają

Wówczas pęknięty wizerunek będzie można scalić, a córki nie będą musiały stawiać czoła sytuacji, kiedy znów znajdują się w punkcie wyjścia w wieku 21 czy 41 lat. Mając spełnione matki, dziewczyny będą miały pewność, że chcą być kobietami, nie będą musiały „zmuszać się” do kobiecości; będą sięgały dalej i dalej, aż dzięki własnym wysiłkom będą wiedziały, kim są. Nie będą potrzebowały uwagi ze strony chłopca czy mężczyzny, żeby czuć, że żyją. Kiedy kobiety nie będą musiały żyć życiem swojego męża i dzieci, wtedy mężczyźni przestaną się bać miłości i siły kobiet ani nie będą potrzebowali słabości drugiego człowieka, żeby dowieść własnej męskości. Wreszcie i kobiety, i mężczyźni będą w stanie się poznać i zrozumieć. To zaś może być kolejnym etapem w ewolucji człowieka.

Któż może wiedzieć, kim mogą być kobiety, kiedy wreszcie wolno im będzie być sobą? Któż może wiedzieć, co mogą wnieść kobiety swoją inteligencją, kiedy będą ją mogły pielęgnować, nie wyrzekając się jednocześnie miłości? Któż może wiedzieć, co może zdziałać miłość, kiedy kobiety i mężczyźni będą się dzielić nie tylko opieką nad dziećmi, obowiązkami związanymi z prowadzeniem domu i utrzymaniem ogrodu, będą nie tylko wypełniać swoje biologiczne role, lecz będą wspólnie dzielić obowiązki i pasje związane z pracą, która tworzy przyszłość ludzkości i pełną wiedzę człowieka o tym, kim się naprawdę jest? Kobiety dopiero zaczęły poszukiwać swojej tożsamości. Wkrótce jednak nadejdzie czas, kiedy głos mistyki kobiecości przestanie zagłuszać ów wewnętrzny głos, który zachęca kobiety do tego, by osiągnęły pełnię człowieczeństwa.

znacznie mniejszy dyskomfort, niż sądziły, kierując się doświadczeniem matek. Therese Benedek wysuwa hipotezę (w artykule *Climacterium: A Developmental Phase*, [w:] „Psychoanalytical Quarterly”, XIX, 1950, s. 1), że mniejszy dyskomfort i erupcja twórczej energii, które są udziałem wielu kobiet w okresie menopauzy, są co najmniej jednym ze skutków „emancypacji” kobiet. Dane przytoczone przez Kinseya zdają się wskazywać, że kobiety, które dzięki wykształceniu wyzwoliły się z roli wyłącznie biologicznej, wbrew temu, czego można by się spodziewać, przeżywają najwyższe rozkosze w późniejszym okresie życia, właściwie zaś po czterdziestce i po menopauzie. Być może najlepszym przykładem tego fenomenu jest Colette – ta wyemancypowana Francuzka, w pełni będąca człowiekiem, która żyła, kochała i pisała prawie tak samo przez całe życie, mając lat osiemdziesiąt stwierdziła: „Gdybyż tylko człowiek całe życie miał 58 lat, bowiem w tym wieku jest się wciąż pożądanym i pełnym nadziei na to, co przyniesie przyszłość”.